

Mniejszość w warunkach zagrożenia. Pamiętniki Łemków, pod redakcją Wojciecha Sitka, Wrocław 1996.

Słowo wstępne

Jedenaście wypowiedzi zamieszczonych w tym tomie to plon konkursu ogłoszonego przez Instytut Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego dla członków społeczności Łemków w Polsce. Prawie wszystkie mają charakter refleksyjnych wspomnień. Jeden tekst to anonimowy pamiętnik. Wypowiedzi te stanowią, chwilami przejmujący, opis tego fragmentu losów mniejszości łemkowskiej, który poprzez akcję „Wisła” splótł się z powojenną historią Polski.

O rozpoczętej 28 kwietnia 1947 roku akcji „Wisła” piszę więcej w artykule otwierającym tom. Do jesieni 1947 roku przesiedlono około 150 tys. osób z południowo-wschodnich regionów Polski na teren województw: olsztyńskiego, gdańskiego, koszalińskiego, szczecińskiego, wrocławskiego i zielonogórskiego. Decyzja o jej podjęciu uzasadniana była koniecznością skutecznej walki ze zbrojnymi ugrupowaniami ukraińskimi i dotyczyła wszystkich Ukraińców zamieszkałych na terenie województw: lubelskiego, rzeszowskiego i krakowskiego. Objęci nią zostali również Łemkowie. Pamięć o akcji „Wisła” stała się częścią ich zbiorowej pamięci. Obecna jest w każdym wspomnieniu, przenika każdą refleksję. Pamiętniki publikujemy w porządku alfabetycznym wyznaczonym nazwiskami ich autorów. Jednak anonimowy Pamiętnik księdza, o którym już wspomniałem wcześniej, dotyczący przełomu 1944 i 1945 roku i napisany przez ukraińskiego księdza grekokatolickiego, może być rodzajem wprowadzenia i komentarza z zewnątrz do wspomnień łemkowskich. Dla autora zarówno Łemkowie, jak i Polacy to „oni”. Według oświadczenia Albina Pietrasa znalazł on ten pamiętnik w cerkwi we wsi Bednarka. Zapiski anonimowego księdza przekonują nas, iż Łemkowie wywiezieni w 1947 roku w ramach akcji „Wisła” musieli mieć w świeżej pamięci rabunki i gwałty, które na terenie przez nich zamieszkanym były codziennością przełomu 1944 i 1945 roku. Oceny formułowane w pamiętnikach noszą piętno tych przyfrontowych doświadczeń nawet wtedy, gdy dotyczą wydarzeń późniejszych.

Ogólnie powiedzieć można, że mamy tendencję do kreowania historii

Str.5

Polski i Polaków według klarownego, choć niestety bardzo uproszczonego wzorca. Zgodnie z nim byliśmy zawsze narodem wielkodusznym i wspaniale sprawiedliwym. To tylko oni, obcy, łupili nas w niesprawiedliwych wojnach, palili nasze wsie i miasta, a w czasach nowszych katowali w obozach i na zsyłkach. Dlatego takim szokiem jest np. dla współczesnych Polaków informacja, iż są tacy Litwini, którzy traktują nas jak zaborców. I wszystko wskazuje na to, że większość społeczeństwa polskiego jest po prostu słabo przygotowana do dyskusji z tymi narodami i grupami etnicznymi, których uwikłanie w polską historię nie odpowiada wzorcowi złych i potężnych obcych i

dobrych, choć słabych Polaków. Dlatego np. mamy problemy w relacjach z grupą Cyganów, a nasze stosunki z Czechami czy Litwą kuleją - jakbyśmy nie mogli zrozumieć, że ktoś może czuć się od nas słabszy i dlatego kreuje rzeczywiste albo wymyślone zagrożenia.

Problem Łemków zajmuje w tym kontekście szczególne miejsce w naszej świadomości zbiorowej. Nakładają się nań stosunki polsko-ukraińskie, a dyskusja o nich ciągle przeplatana jest wzajemnymi, według każdej strony słusznymi, oskarżeniami. Zostawmy je na uboczu.

Publikacja tych pamiętników niech będzie czymś w rodzaju katharsis - spójrzmy choć raz na siebie oczami tych, którzy byli od nas słabsi. Być może są niesprawiedliwi; ale przecież byli mniejszością, która znalazła się w warunkach zagrożenia. Broniłbym również tezy, iż upowszechnienie wiedzy o mniejszości wzbogaca większość, która uzyskuje w ten sposób dystans wobec swego własnego modelu myślenia. Dystans taki jest z kolei warunkiem tolerancji i otwartości, choć oczywiście niesie ze sobą również konieczność przyjęcia na siebie ciężaru wiedzy o relatywizmie świata. Wiedza o tym, że mój świat nie jest jedyny, wymaga specjalnej kompetencji. Nie mają jej społeczeństwa przekonane o swojej wyjątkowości.

Złożone procesy kształtowania się współczesnego społeczeństwa polskiego na Ziemiach Zachodnich i Północnych doprowadziły w każdym razie do tego, że ludzi tutaj żyjących charakteryzuje wyższy poziom akceptacji innych i - co jakoś idzie z tym w parze - niższe zaufanie do rządów silnej ręki¹. Prawdopodobnie mają w tym udział również przesiedleni

PRZYPISY AUTORA:

¹ Por. np. terytorialny rozkład odpowiedzi na pytanie: „Czy miał(a)by Pan(i) coś przeciwko temu, aby osoba, która jest obywatelem polskim pochodzenia ... została wybrana na prezydenta?” (Osobno pytano o pochodzenie cygańskie, ukraińskie, rosyjskie, białoruskie, niemieckie, litewskie, żydowskie, czeskie, amerykańskie, angielskie). Badania przeprowadzono w dniach od 9 do 12 listopada 1995 roku na ogólnopolskiej 1254-osobowej próbie („Serwis Informacyjny 12/1995”, CBOS, Warszawa, grudzień 1995, s. 56-65). Por. także terytorialny rozkład odpowiedzi na pytanie: „Proszę odpowiedzieć, czy zgadza się Pan(i), czy też nie zgadza na wprowadzenie rządów silnej ręki i rezygnację z demokracji?” („Serwis Informacyjny 11/1995”, CBOS, Warszawa, listopad 1995, s. 58). Badania przeprowadzono w dniach od 3 do 6 sierpnia 1995 roku na 1081-osobowej próbie ogólnopolskiej.

Str.6

tutaj w ramach akcji „Wisła” Łemkowie, gdyż zmuszali większość do tego, by przyjęła do wiadomości istnienie mniejszości i jej problemów.

Wartość socjologiczna publikowanych tu wspomnień wykracza oczywiście poza ich dokumentacyjno-historyczny charakter. W artykule otwierającym tom wskazuję na prawidłowości wyznaczające wybór strategii działania przez mniejszość, która znalazła się w warunkach zagrożenia. Prawidłowości te dotyczą nie tylko Łemków - inne mniejszości w takich warunkach zachowywać się będą podobnie. Również Polacy, kiedy są zagrożoną mniejszością, wybierają analogiczne strategie. Wskazanie na takie i podobne prawidłowości pozwala socjologii oderwać się od bezpośrednich uwikłań historycznych i politycznych i zdobyć się na tak trudny, a potrzebny dystans.

W zasadzie nie ingerowałem w teksty nadesłane na konkurs - niektórzy autorzy nadali swoim wspomnieniom tytuły. Pozostawiam je w tym kształcie².

Wojciech Sitek

PRZYPISY AUTORA:

² Redakcja ujednoliciła ortografię i interpunkcję według obowiązujących zasad. Teksty w nawiasach kwadratowych pochodzą od Redakcji.

Str.7

WOJCIECH SITEK

Strategie mniejszości w warunkach zagrożenia

Problemy metodologiczne i propozycja systematyzacji na przykładzie pamiętników nadesłanych na konkurs dla społeczności Łemków w Polsce *

Socjologia mniejszości etniczno-narodowej a postulat socjologii wolnej od wartościowań

Jeśli problem usytuowania socjologa wobec świata wartości, który składa się na kulturę, może być (i jest) tematem statych i mało konkluzywnych dyskusji wśród reprezentantów nauk społecznych, to jednak podjęcie problematyki narodowościowej zmusza do przypomnienia sławnego postulatu Maxa Webera: „Skoro to, co normatywnie obowiązujące, staje się obiektem badania empirycznego, wówczas - jako obiekt - traci ono charakter normy, będzie więc traktowane jako »istniejące«, nie zaś jako »obowiązujące«”¹.

Gdyby jednak nie poprzestać tylko na przypomnieniu idei „wolnej od wartościowań” socjologii, ale jednocześnie podjąć, nawet wstępna próbę jej realizacji, uświadomić sobie musimy, iż problematyka mniejszości etnicznych i narodowych jest „polem minowym” dla takiej próby. Andrzej Tyszka zauważa trafnie, iż „prymat socjologii zaangażowanej nad niezaangażowaną

PRZYPISY AUTORA:

* Tekst ten publikowany był w tomie Antynomie transformacji w Polsce, pod red. Z. Stachowskiego i A. Wojtowicza, Warszawa 1993.

¹ M. Weber, Sens „wolnej od wartościowań” socjologu i ekonomii, (w:) Problemy socjologii wiedzy, wybór A. Chmielewski, S. Czerniak, J. Niżnik, S. Rainko, Warszawa 1985, s. 139.

Str.9

był aprobowany zarówno w Polsce, jak w Europie, a także w znacznym stopniu w Ameryce (...) socjologia zaangażowana cieszyła się i lepszą marką, i większą sympatią². Zaraz potem jednak stawia A. Tyszka pytania ważniejsze. Socjologia zaangażowana? Socjologia kogo angażująca? Zadanie tych pytań pozwala nam również uświadomić sobie, iż próba zbudowania wolnej od wartościowań socjologii podejmującej problemy mniejszości etnicznych i narodowych - jeśli jest w ogóle możliwa i o tyle, o ile jest możliwa - narażona jest na konflikt z wszystkimi uczestniczącymi w życiu społecznym podmiotami. Nie należą przecież na przykład do wyjątków głosy, zgodnie z którymi nawet liberalne zasady demokratycznych społeczeństw nie nadają się do rozwiązywania problemów narodowościowych w Europie Środkowej³. Dlatego łatwiej stanąć po jednej ze stron, bo wtedy część potencjalnych przeciwników stanie się automatycznie zwolennikami głoszonych przez socjologa twierdzeń.

W niniejszym tekście chciałbym jednak zaproponować zrobienie małego kroku w stronę realizacji postulatu M. Webera. Od czego zacząć? Myślę, że dobrym punktem wyjścia będzie przyjęcie, iż manifestowane przez uczestników konfliktów etnicznych i narodowościowych święte przekonanie o słuszności własnych ocen jest po prostu skrajną wersją zdrowego rozsądku w podejściu do zjawisk społecznych. Myślę też, że ten błąd zdroworozsądkowego podejścia trafnie charakteryzował Florian Znaniecki - jako domniemanie, zgodnie z którym „znamy rzeczywistość społeczną, ponieważ w niej żyjemy i że na podstawie naszego doświadczenia możemy przyjmować za pewnik pewne stany rzeczy i stosunki społeczne”⁴. Główny problem socjologa podejmującego kwestie mniejszości etnicznych i narodowościowych polega jednak na tym, że różne podmioty uczestniczące w życiu społecznym przyjmują za pewnik sprzeczne twierdzenia i przeciwstawne stany rzeczy. Socjolog staje więc wobec potrzeby odnalezienia uniwersalności, dzięki której będzie mógł swobodnie charakteryzować i wyjaśniać badane przez siebie zjawiska. (Wszystko wskazuje

PRZYPISY AUTORA:

² A. Tyszka, O socjologii zaangażowanej w wartości, (w:) Socjologia a antropologia. Stanowiska i kontrowersje, pod red. E. Tarkowskiej, Wrocław 1992, s. 97.

³ Por. np. T. Szczepański, Mniejszości a liberalizm. O niestosowalności liberalizmu dla rozwiązywania problemów narodowościowych w Europie Środkowej, „Przegląd Kresowy”, 1991, nr 4.

⁴ W. I. Thomas, F. Znaniecki, Chłop polski w Europie i Ameryce, t. 1, Warszawa 1976, s. 43.

Str.10

na to, że potrzeba taka nie staje przed wszystkimi badaczami - rekonstrukcja świata społecznego w tych obszarach, które nie są narażone na tak ewidentne kontrowersje i konflikty jak obszar problemów narodowościowych w Europie Środkowej, nie wymaga konstruowania jakiegokolwiek uniwersalności (ponad uniwersalnością potoczną). Stary pomysł A. Comte'a wydaje się w tym kontekście zupełnie niezły: „stworzenie socjologii pozwala metodzie subiektywnej zdobyć wreszcie pozytywność, której jej brakowało, socjologiczny bowiem punkt widzenia staje się naprawdę uniwersalny”⁵.

Strategia mniejszości jako podmiotu racjonalnego

Chciałbym bronić tezy, zgodnie z którą uniwersalność socjologii badającej świat wartości i norm wymaga przyjęcia zasady współczynnika humanistycznego, w tym sensie, jaki nadał temu terminowi Florian Znaniecki⁶. Zasada ta postuluje przyjęcie dwóch ważnych dyrektyw metodologicznych: po pierwsze nakazuje, aby przedmiotem badań był „świat w oczach ludzi”, a preferowanym sposobem jego rekonstrukcji była metoda dokumentów osobistych, a więc analiza pamiętników i listów zwykłych uczestników życia społecznego⁷, po drugie, każe ona podmioty (indywidualna i grupy społeczne) traktować jak podmioty racjonalne, a więc podmioty, które dysponując pewną wiedzą o skutecznym sposobie realizacji zamierzonych celów, podejmują takie działania, które zgodnie z tą wiedzą do zamierzonych celów prowadzą⁸.

Ogólnie działania ludzkie realizują typ indywidualny racjonalnego

PRZYPISY AUTORA:

⁵ B. Skarga, Comte, Warszawa 1966, s. 166.

⁶ W tej sprawie por.: W. S i t e k, Florian Znaniecki a marksizm, Warszawa-Poznań 1980 (rozdz. 2 - „Współczynnik humanistyczny jako teoretyczna determinanta typu eksplanansu”).

⁷ Por. np. M. L a t o s z e k, Zastosowanie metody biograficznej w dokumentowaniu faktów i stanów świadomości w okresie sierpnia 1980 roku, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny”, Rok LI, z. 2, 1989.

⁸ W sprawie podmiotu racjonalnego por. W. Sitek, *Pozaprofesjonalny obraz nauki jako problem socjologii kultury*, Wrocław 1988, rozdz. 2.2. i 2.3.

Str.11

podmiotu w różnym stopniu - w związku z tym np. Max Weber wyróżnił cztery rodzaje czynności: tradycyjne, emocjonalne oraz zasadniczo-racjonalne i celowo-racjonalne⁹. Jest to klasyfikacja uwzględniająca nasilającą się rolę świadomego wyboru celu i środków służących do jego realizacji; tak więc czynnościom odruchowym nie towarzyszy - twierdzi M. Weber - żaden świadomy namysł. Podobnie zresztą uważa F. Znaniecki, którego zdaniem czynności takie nie mogą być przedmiotem wyjaśniania w naukach o kulturze. Czynności tradycyjne są podporządkowane utrwalonym tradycjom i przyzwyczajeniom, emocjonalne - uczuciom i emocjom. Czynności zasadniczo-racjonalne charakteryzuje świadomy dobór takich środków, które zapewniają realizację celów nie wybierany jednak świadomie; czynności celowo-racjonalne to czynności, którym towarzyszy świadomy dobór celów i środków prowadzących do ich realizacji.

Również działania mniejszości etniczno-narodowych, na które to działania składają się różne typy czynności, zawierają w sobie różny stopień świadomego wyboru celów i środków. Inny charakter z tego punktu widzenia będą miały czynności liderów świadomie i celowo zmierzających do organizowania mniejszości, a inny - czynności podejmowane przez zwykłych uczestników życia społecznego. Zawsze jednak w sytuacji, kiedy mówimy o działaniach mniejszości zmierzających do zabezpieczenia, przetrwania i ekspansji własnych wartości i norm, chciałbym mówić o strategii mniejszości.

Połączenie działań tradycyjnych, zasadniczo-racjonalnych i celowo-racjonalnych w jeden system działań, który nazwałem strategią mniejszości jako podmiotu racjonalnego, jest możliwe dzięki przyjęciu koncepcji racjonalności naśladowczej, której zasadnicza konstrukcja inspirowana jest badaniami F. Znanieckiego. Jeśli nawet poszczególne działające podmioty - twierdzi F. Znaniecki - nie zawsze w sposób świadomy i przemyślany dobierają swoje działania zgodnie ze swoją wiedzą do zamierzonych, również świadomie celów, to jest to sprawa zupełnie nieistotna z punktu widzenia badacza interpretującego zachowania ludzkie i ich wytwory. „Jeżeli ludzie naśladowają tylko czynność cudzą - pisze F. Znaniecki - to zakładają zazwyczaj, iż ktoś inny skutecznie zastosował w praktyce jakąś prawomocną wiedzę o odpowiednich wartościach i obchodził się

PRZYPISY AUTORA:

⁹ M. Weber, *Wirtschaft und Gesellschaft. Grundriss der verstehenden Soziologie*, Tübingen 1976, s. 11-12.

Str.12

z nimi we właściwy sposób, toteż można po prostu pójść za cudzym przykładem bez dłuższego zastanawiania się na własną rękę, chyba że naśladownictwo prowadzi do niepowodzenia. A w miarę tego, jak w toku swych czynności jednostka wielokrotnie stosuje te same wzorce i normy, odtwarzanie ich wymaga coraz mniej refleksji, chyba że przeszkodzą jej jakieś nieprzewidziane okoliczności"¹⁰.

Jak z tego widać, analiza strategii mniejszości obiektywizuje racjonalność badanych podmiotów przez odniesienie ich do ponadindywidualnej kultury - pozwala to badaczowi interpretować strategię jako system działań podmiotu racjonalnego.

Łemkowie - mniejszość w warunkach zagrożenia typu średniego

Sytuacja zagrożenia jest stanem normalnym każdej mniejszości, bo przed każdą stoi niebezpieczeństwo asymilacji bądź odrzucenia przez otaczającą większość. Interesowała mnie jednak grupa, której zagrożenie można określić jako średnie - jeśli zgodzimy się na ogólne wyodrębnienie trzech poziomów zagrożenia mniejszości, to wyróżnić możemy zagrożenie zwykłe, średnie i zagrożenie eksterminacyjne. Zagrożenie zwykłe ogranicza się w zasadzie do różnych nieformalnych presji otoczenia i dotyczy głównie spraw kultury obyczajowej, języka, tradycji itp. Zagrożenie średnie, obok zagrożeń typowych dla zagrożenia zwykłego, dodaje ich formalizację i instytucjonalizację, np. w tej postaci, że jako narzędzie presji na mniejszość wprowadza aparat państwowego przymusu, co oczywiście prowadzi na przykład do zagrożenia podstaw ekonomicznych istnienia mniejszości, a realizuje się poprzez odmowę prawa do własnej religii, szkolnictwa oraz poprzez przesiedlenia całych dużych grup. Zagrożenie eksterminacyjne to zagrożenie biologicznej egzystencji tych ludzi, którzy do mniejszości są zaliczani albo deklarują z nią związek.

Z zagrożeniem pierwszego rodzaju mamy współcześnie w Polsce do czynienia na przykład, kiedy analizujemy stosunek katolickiej większości do mniejszościowych grup religijnych; z zagrożeniem typu trzeciego mieliśmy

PRZYPISY AUTORA:

¹⁰ F. Znaniecki, *Nauki o kulturze*, Warszawa 1971, s. 508.

do czynienia w przypadku Holokaustu - planowej działalności eksterminacyjnej hitlerowców w stosunku do Żydów. Jak świadczy o tym coraz więcej dokumentów, również podczas toczącej się wojny na terenach byłej Jugosławii mamy do czynienia z zagrożeniem tego typu.

Są dwa główne powody, dla których jako przedmiot analiz wybrałem jednak sytuację mniejszości w warunkach zagrożenia średniego:

- po pierwsze, grupa, która znalazła się w takiej sytuacji i porównuje ją z sytuacją innych grup mniejszościowych, łatwo spostrzega swoje upośledzenie (które jest wyraźne w porównaniu z zagrożeniem zwykłym), co zmuszają do podejmowania różnych strategii obronnych;
- po drugie, strategie te mogą być realizowane w warunkach względnej swobody, jaka towarzyszy zagrożeniu typu średniego.

Przykładem mniejszości znajdującej się w sytuacji zagrożenia średniego będzie, w niniejszym tekście, mniejszość Łemków w powojennej Polsce, a materiałem, który wykorzystam egzemplifikując różne typy strategii łemkowskiej mniejszości, będą fragmenty pamiętników nadesłanych na konkurs dla społeczności Łemków w Polsce, który to konkurs został ogłoszony w 1991 roku przez Instytut Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego¹¹.

Stan zagrożenia mniejszości łemkowskiej jest oczywiście fragmentem bardzo starych konfliktów polsko-ukraińskich, w które to Łemkowie zostali jakby z konieczności uwikłani¹². Współczesny ich kształt wyznaczony jest jednak głównie przez tzw. akcję „Wisła”, do której w różnej formie

¹¹ Część merytoryczna odezwy konkursowej sformułowana była w sposób następujący: „Instytut Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego ogłasza OTWARTY KONKURS dla członków społeczności Łemków w Polsce. Oczekujemy na pamiętniki lub zestawy listów - mogą to być listy do i od rodziny, przyjaciół, znajomych. Jesteśmy zainteresowani takimi pamiętnikami i listami, które przedstawiają problemy Łemków po II wojnie światowej. Szczególnie zależy nam na tych materiałach, które obrazują przemiany w świadomości Łemków. Przede wszystkim chodzi nam o te przemiany, które miały miejsce już po epopei przesiedlenia i związane są z poszukiwaniem przez Łemków nowych form organizowania się, mimo rozproszenia. Wybrane przez jury materiały zostaną opublikowane. Będą one również wykorzystane w pracy naukowej pracowników Instytutu. Chcielibyśmy opisać procesy kształtowania się świadomości narodowej Łemków. Ten cel nie może być zrealizowany bez Państwa pomocy”. Nadesłano 15 pamiętników i zestawów listów, w tym jeden z USA i jeden z Ukrainy.

¹² Z nowszych prac podejmujących problemy tej grupy zarówno w wymiarze historycznym, jak również współczesnym wymienić można: A. Chojnowski, *Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939*, Wrocław-Gdańsk 1979; *Łemkowie. Kultura - Sztuka - Język. Materiały z sympozjum zorganizowanego przez Komisję Turystyki Górskiej ZG PTTK, Sanok, 21-24 września 1983*, Warszawa-Kraków 1987; Z. Zagórzański, *Łemkowie i Łemkowszczyzna. Materiały do bibliografii*, Warszawa 1984; W. Michałowski, J. Rygielski, *Spór o Bieszczady*, Warszawa 1986; K. P u d ł o, *Łemkowie. Proces wrastania w środowisko Dolnego Śląska. 1947-1950*,

Wrocław 1987; Colloquium narodów. Materiały Z sympozjum „ Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polacy - przestanki pojednania ", Łódź, październik 1987, Łódź 1991; T. A. Olszański, Geneza Łemków - teorie i wątpliwości, (w:) Magury 88, Warszawa 1988; Magury 90. Informator Krajoznawczy, Warszawa 1990; R. Reinfuss, Śladami Łemków, Warszawa 1990; E. Misiło, Akcja „Wisła", „Mówią Wieki", 1991, nr 3; J. Z u r k o, Wybrane aspekty tożsamości narodowej wysiedlonych z łemkowszczyzny w świetle relacji pamiętnikarskich, (w:) Kultura i struktura. Problemy integracji i dezintegracji różnych grup społecznych na Śląsku, (red.) W. Sitek, Wrocław 1992.

Str.14

wszyscy uczestnicy konkursu nawiązują. Decyzja o jej przeprowadzeniu była wiązana najczęściej (przede wszystkim na poziomie propagandowej racjonalizacji) z faktem zastrzelenia wiceministra obrony narodowej gen. broni Karola Świerczewskiego, który zginął podczas walk w Bieszczadach, w zasadzce zorganizowanej przez sotnie „Chrina" i „Stacha". Wydarzenie to miało miejsce 28 marca 1947 roku. Decyzja o przeprowadzeniu akcji „Wisła" została przedstawiona w formie projektu 27 marca 1947 roku, na posiedzeniu państwowej Komisji Bezpieczeństwa, czyli dzień przed śmiercią Świerczewskiego, a zapadła dzień po śmierci, 29 marca na posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR. (Sprawa zbieżności tych dat stanowi dzisiaj przedmiot spekulacji). Decyzja dotyczyła przesiedlenia wszystkich Ukraińców zamieszkałych na terenie województw lubelskiego, rzeszowskiego i krakowskiego. Nominacja gen. bryg. Stefana Mossora na dowódcę akcji ujmowała sprawę następująco: „Na podstawie uchwały Prezydium Rady Ministrów z dnia 24 kwietnia 1947 roku - mianuję generała brygady Stefana Mossora Pełnomocnikiem Rządu na okres akcji likwidowania band UPA oraz akcji przesiedleńczej ludności ukraińskiej". 28 kwietnia o godz. 4 rano ó dywizji Wojska Polskiego przystąpiło do realizacji planu. Ocenia się, że ogółem przesiedlono ok. 150 tys. osób. Akcja „Wisła" ciągle czeka na neutralnego i obiektywnego historyka (o co wobec nagromadzonych wokół niej emocji naprawdę nie jest łatwo), ale chyba można przyjąć jako fakt oczywisty, iż podczas jej przeprowadzania (akcja trwała do jesieni 1947 roku) wystąpiły również zjawiska i procesy

str.15

charakterystyczne dla eksterminacyjnego zagrożenia mniejszości - zorganizowano np. Centralny Obóz Pracy w Jaworznie-Szczakowej.

Nas interesuje jednak okres późniejszy, kiedy przesiedleni, rozproszeni na terenach województw olsztyńskiego, gdańskiego, koszalińskiego, szczecińskiego, wrocławskiego i zielonogórskiego (instrukcje zakazywały osiedlania w dużych miastach i tworzenia skupisk większych niż 10% mieszkańców danej miejscowości) próbowali wypracować strategie odpowiadające nowej sytuacji. Interesuje nas również tylko pewna grupa wśród wysiedlonych, ta właśnie, wobec której, jak się wydaje, działania eksterminacyjne były podejmowane w stosunkowo najmniejszym stopniu. Chodzi o tych przesiedlonych, którzy deklarują, że są łemkami. Jednocześnie jednak już tylko pobieżna lektura opracowań poświęconych np.

mniejszości niemieckiej czy mazurskiej pozwala stwierdzić, iż prawidłowości manifestowane przy okazji różnych strategii podejmowanych przez mniejszość łemkowską mają charakter ogólniejszy i dotyczą prawdopodobnie wszystkich mniejszości, które znalazły się w warunkach zagrożenia średniego¹³.

Trzy strategie mniejszości w warunkach zagrożenia średniego na poziomie globalnym

Poziom globalny strategii oznacza konstruowanie celów-wartości dotyczących najogólniejszej identyfikacji mniejszości oraz wskazanie sposobów ich realizacji. Wszystkie trzy typy strategii pojawiają się w pamiętnikach. Inną kwestią jest ujawnienie się tych strategii na poziomie organizacyjnym - aby stało się to możliwe, muszą być zapewnione odpowiednie warunki tolerancji i pluralizmu politycznego na poziomie państwa. Historia tworzenia Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Łemków w latach 1957-1959, Stowarzyszenia Łemków w latach 1980-1981 oraz 1989, kiedy

PRZPISY AUTORA:

¹³ W sprawie sytuacji i zachowań mniejszości niemieckiej por. np. Z. Kurcz, Zachowania wyborcze mniejszości niemieckiej, (w:) Czy można było przewidzieć? Wybory 91 w perspektywie socjologicznych sondaży i analiz, red. W. Sitek, Wrocław 1995. W sprawie losów mniejszości mazurskiej por. A. Sakson, Mazurzy – społeczność pogranicza, Poznań 1980.

Str.16

Stowarzyszenie zostało ostatecznie zarejestrowane, to przecież jednocześnie, jak na to wskazują już same daty, kawałek współczesnej historii Polski.

Równocześnie trwające polemiki i dyskusje - z udziałem z drugiej strony reprezentantów Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (w którym od roku 1960 do 1964 funkcjonowała Sekcja ds. Rozwoju Regionalnej Kultury Łemkowskiej), Związku Ukraińców w Polsce i Zjednoczenia Łemków - to też w dużym stopniu odbicie dyskusji i polemik dotyczących ogólnego kształtu państwa.

Na poziomie globalnym wyróżnić można trzy strategie mniejszości - dwie z nich mają dzisiaj wyraźne organizacyjne ramy.

A. Strategia pierwsza: My, mniejszość tutaj, jesteśmy tak naprawdę częścią innej, zewnętrznej większości.

Strategia ta w przypadku mniejszości łemkowskiej oznacza obronę przekonania, zgodnie z którym łemkowie są w rzeczywistości Ukraińcami. Takiego stanowiska bronią: Związek Ukraińców w Polsce i związane z nim Zjednoczenie Łemków. W liście do Instytutu Socjologii (do którego jeszcze wrócę pod koniec tego tekstu) reprezentanci tych instytucji konsekwentnie używają określenia „ukraińska grupa

etniczna Łemków". Wskazują jednocześnie, iż stanowisko inne, zgodnie z którym Łemkowie stanowią autonomiczną grupę etniczno-narodowościową, jest wynikiem manipulacji, nieporozumień i zмовы zarówno polityków II Rzeczypospolitej, jak PRL-u, naukowców, UB, SB, Kościoła katolickiego oraz Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego.

Większość reprezentantów tej strategicznej opcji jest grekokatolikami. Przytoczę dwie wypowiedzi z pamiętników wyrażające to stanowisko: „W tej to wsi ukończyłem podstawową szkołę (7 lat) w ukraińskim i polskim języku. To aż później Łemkowszczyźnie odebrano prawo do literaturalnego ukraińskiego języka i na siłę naszym dzieciom dano do rąk Łemkowski Bukwar, zresztą silnie spolszczony pod redakcją renegata z Krynicy - Metodyja Trochanowskiego, którego pradziadowie nazywali się Trochanowyczy" (pamiętnik S. Hadzelana).

„Moja mama do końca życia żałowała, że nie pojechaliśmy w 1945 roku na Ukrainę, a ja podzielam jej opinię" (pamiętnik N. Wiśtockiej).

B. Strategia druga: My, mniejszość, jesteśmy autonomiczną całością. Reprezentantem organizacyjnym tej opcji strategicznej jest dzisiaj – wspomniane

Str.17

już wcześniej - Stowarzyszenie Łemków, które wspiera „wybijanie się" Łemków na niezależną grupę narodową. Przykładem tego typu tendencji może być na przykład tomik wierszy Jarostawa Zwolińskiego pt. Znaki czasu - tomik jest dwujęzyczny, wiersze napisane po łemkowsku są równolegle przetłumaczone na język polski¹⁴.

Większość reprezentantów tej opcji jest związana z prawosławiem.

Oto wypowiedzi pamiętnikarzy wyrażające tę opcję: „W 1956 roku zarysował się wyraźny podział wśród Łemków. (...) Ktoś podrzucił tym Łemkom, niby Ukraińcom (...) słowo separatyzm. Właściwie nie było od kogo się separować, bo całą tę robotę wszędzie prowadzili Łemkowie. Tak już będzie przez wiele lat wśród samych Łemków, działacze na górze uważają się za Ukraińców, ludzie na dole za Łemków" (pamiętnik J. Zwolińskiego).

„Wydaje się, że działacze ukraińscy srodze się zawiedli na swojej polityce względem nas. Zwabiono Łemków do współpracy po roku 1956 obiecując szeroką autonomię w ramach tworzącego się właśnie UTSK. (...) Dlaczegoż więc mielibyśmy się ukrainizować, skoro nigdy ani my, ani nasi przodkowie za Ukraińców się nie uważali. Nie ma ani jednego logicznego powodu do tego, żadnej zachęty, żadnej atrakcji, żadnej wygody w końcu. Dlatego rodzice nasi ani myślą obawiać się ukrainizacji" (pamiętnik J. Huńki, nadesłany na konkurs).

„W tej chwili Łemkowie »nie pasują« do żadnego innego narodu" (pamiętnik J. Zwolińskiego).

C. Strategia trzecia: My, mniejszość, jesteśmy częścią (tylko nieco inną) otaczającej nas większości.

Jest to strategia, która oczywiście nie przybiera żadnych ram organizacyjnych i wyraża, jak się zdaje, głównie stanowisko tych, którzy „nie chcą mieszać się do polityki” - a „mieszanym” takim jest oczywiście każda z pierwszych dwu strategii. Można przyjąć, iż jest to grupa najbliższa pełnej asymilacji Łemków w otoczeniu polskim - nie działa tutaj jednak żaden automatyzm; przykład polskich górali, jaki w tym kontekście się pojawia, pokazuje, że zachowanie pewnej odrębności po przyjęciu tej opcji jest również możliwe. Będzie to jednak wyłącznie odrębność o charakterze

PRZYPISY AUTORA:

¹⁴ J. Zwoliński, Znaki czasu. Z łemkowskiego przełożył J. Merena, Koszalin 1991.

Str.18

kulturalno-etnograficznym, a pozostawanie w rozproszeniu utrudni jej zachowanie.

Dwie wypowiedzi pamiętnikarzy wyrażające tę opcję: „(...) dla młodego pokolenia właśnie język polski jest bliższy. Znamy go wszyscy doskonale - w przeciwieństwie do ukraińskiego - choćby dlatego, że całe wykształcenie otrzymaliśmy w tym języku” (pamiętnik J. Huńki, nadesłany na konkurs).

„Moja siostra urodziła się tutaj i nie tęskni za górami, chociaż wybudowała sobie duży dom w Krynicy. Jej jest tu dobrze. Prowadzą z mężem duże gospodarstwo rolne w Mikołajowicach i żyje im się dostatnio. Ja mogę tylko powiedzieć, że: »tu jest mi dobrze, bo tu jest moja Ojczyzna«” (pamiętnik J. Kisielewicz).

Jeszcze króciutki komentarz - refleksja wynikająca z porównania pamiętników z deklaracjami instytucjonalnych organizatorów łemkowskiej społeczności. Otóż w pamiętnikach nie widać przepaści pomiędzy poszczególnymi strategiami na poziomie globalnym. Czasami w jednym pamiętniku wyrażane są dwie opcje. Ale prawie zawsze jest zrozumienie dla innej - raczej niemożliwe u działaczy, którzy podejmując walkę o swoją strategię, podejmują walkę o wpływy i stają się, nawet jeśli tego nie chcą, politykami.

Strategie mniejszości w warunkach zagrożenia średniego na poziomie lokalnym

A. Przeciwdziałanie rozproszeniu.

Już pierwsze działania podejmowane po przyjeździe na nowe miejsca pobytu zmierzają do przeciwdziałania rozproszeniu. Bliższą analizę wszystkich wymienianych przeze mnie tutaj strategii przekładam w inne miejsce, teraz wskazać chcę tylko, że w realizacji tej strategii ważną rolę odgrywa Kościół i obrzędowość religijna, a także religijno-świecka (np. śluby i wesela). Oto co pisze pamiętnikarz: „Pojawiła się nagle potrzeba posiadania roweru. W niedługim czasie w każdej łemkowskiej rodzinie był jeden albo i dwa stare rowery. W niedzielę rano zbierała się grupa

młodzieży i ruszała w odwiedziny do swoich w innych majątkach. W ten sposób wszyscy się poodnajdywali" (pamiętnik J. Zwolińskiego).

„Przyjechał nasz ksiądz za 2 tygodnie. Przywiózł co mógł, szaty, chyba kielich no i krzyżyk, ten właśnie trzyramienny, nasz prawosławny krzyżyk. Zebrało się dużo ludzi, bo wieść poszła na okolice, że w Torzymiu w kaplicy jest prawosławna Służba Boża. Na długo przed rozpoczęciem nabożeństwa oczekiwali ludzie. Przyjechali czym kto mógł, najwięcej rowerami, nawet z odległości 3(M4) km" (tamże). „Jesienią 1948 roku odbyło się pierwsze łemkowskie wesele w Torzymiu. Było to wesele Fecia Habury z Olgą Dubec. Byłem pierwszym drużbą. Co za wspaniałe łemkowskie wesele, przygotowane z wszelkimi kanonami łemkowskiego wesela, takiego jak bywały nasze wesela, tam w domu. Drużbowie w kapeluszach i na kapeluszach wstążki, drużki w tybetowych kabatach (spódnicach) i w gorsetach, oczywiście wyszywanych, do diademiku na głowie przypiętych było chyba z 10 wstążek (pasamunok) różnokolorowych. Drużbów było dwóch, każdy z nas miał szablę (oczywiście drewnianą) gdyby szabla była metalowa, prawdziwa, na pewno by nas milicja pozamykała za posiadanie broni. (...) Na wesele do Fecia Habury i Olgi Dubec przyjechało darczo dużo łemków z pozostałych transportów, tj. z Michałowa, ze Stanów i Lipin" (tamże).

B. Wyrównywanie różnic cywilizacyjnych.

Jednym z pierwszych wyzwań, jakie stanęły przed przesiedlonymi łemkami, było przystosowanie się do wyższej cywilizacji technicznej, jaką zastali na Ziemiach Odzyskanych. Łemkowie podjęli wyzwanie z tym związane podporządkowując je swojej strategii. Najpełniej opisuje ten proces cytowany już pamiętnikarz (J. Zwoliński), który przysłał bardzo rozbudowany, najobszerniejszy tekst i został laureatem jednej z dwu pierwszych nagród: „Tutaj wszyscy od wszystkich wszystkiego się uczyli. Dla wielu osadników, skądkolwiek by przyjechali, nieznane były kosiarki lekkie konne, kosiarki ciężkie traktorowe i wiele innych maszyn. Najłatwiej dawali sobie radę poznaniacy" (tamże). „Zaraz za wsią Żelechów rozciągają się ogromne połacie pól, ogromne łąny żyta. Myślą łemkowie -jak to wszystko zebrać, skosić, wymłócić, pozbierać ze ścierniska kłoski. Dość trudno było to zrozumieć ludziom, którzy nigdy tak ogromnych przestrzeni, pól obsianych żytem, nie widzieli. (...) Po pierwszym dniu koszenia wszyscy czują zmęczenie. Drugi dzień jest trudniejszy, bolą ręce,

plecy, pokos już nie jest taki szeroki, a tu jeszcze tyle do koszenia (...) rozpoczęło się koszenie maszynami. Zgrzytało toto, skrzypiało, hałasowało, ale jakoś kosiło i to szybciej niż kosami. (...) Było to pierwsze spotkanie ludzi, gospodarzy z gór z taką techniką koszenia zboża. Jedno co im się nie podobało - ile to kłosek tu się marnuje" (tamże).

C. Rezygnacja z zewnętrznych oznak tożsamości - ukrywanie wspólnoty na zewnątrz, koncentracja na przekazie wewnątrzrodzinnym. Jest to strategia, która stosowana jest alternatywnie wobec strategii typu pierwszego. Okazuje się, że lepiej jest ją stosować wtedy, kiedy stopień koncentracji mniejszości nie osiągnie pewnej wielkości granicznej, poza którą wymuszony staje się, w każdych warunkach globalnych, minimalny stopień tolerancji otoczenia lokalnego. Pisze pamiętnikarka: „Byliśmy grupą od początku wyizolowaną ze społeczeństwa. Chociaż w sąsiedztwie z poszczególnymi mieszkańcami nie było konfliktów, to zespołowo przez ogół byliśmy izolowani. Dlatego też w chwili pójścia do szkoły nie miałam kontaktu z dziećmi polskimi, nie umiałam słowa po polsku. Rodzice wychodząc do swoich zajęć poza domem zamykali nas (mnie i siostrę) w domu. Siedzieliśmy przy oknie, bawiliśmy się na parapecie i poznawaliśmy świat przez szybę. (...) Kiedy skończyłam 7 lat poszłam do szkoły. I tu zaczęła się tragedia - nie rozumiałam nic" (pamiętnik J. Kisielewicz). „W czasie trwania nauki w liceum uczęszczałam również na lekcje religii rzymskokatolickiej i mszę św., ale żeby spotkać się z rodziną chodziłam w miarę możliwości do cerkwi. W mojej klasie było kilka osób narodowości łemkowskiej. Wiedzieliśmy o sobie, ale staraliśmy się nie zwracać na siebie uwagi" (tamże).

Doświadczenia sytuacyjne mniejszości w warunkach zagrożenia średniego

Przyjmowane i upowszechniające się w grupach mniejszościowych strategie są oczywiście wynikiem różnych prób i błędów. Podejmowane działania kończą się sukcesem lub klęską, to znaczy podmiot realizuje (lub nie) zaplanowaną wartość-cel. Buduje to cały system doświadczeń mniejszości, który koncentruje się wokół zwykłych sytuacji życiowych: małżeństwo

Str.21

i rodzina, grupy rówieśnicze, przedszkole, szkoła, uczelnia, kościół, praca zawodowa. Z konieczności rezygnuję w tym miejscu ze szczegółowego omówienia różnych poziomów tak rozumianych doświadczeń sytuacyjnych. Rezygnuję również z omówienia związków, jakie dają się zauważyć pomiędzy typem tych doświadczeń a wyborem strategii.

Na przykładzie dwóch pamiętników wskażę tylko na dwie modelowe sytuacje: pierwsza jest sytuacją nietolerancji, ksenofobii i odrzucania przez większość. Druga - sytuacją pluralizmu i tolerancji.

A. „Kiedy dzieci zaczęły chodzić do szkoły, zawsze były prześladowane i bite, dokuczano im i obrzucano różnymi obraźliwymi przezwiskami. Wiele razy mąż musiał chodzić na skargę do nauczycieli lub rodziców za złe zachowanie się uczniów w drodze do szkoły" (pamiętnik T. Koliczko).

B. „Od dzieciństwa byłem świadomy swego pochodzenia, chociaż początkowo się nad tym nie zastanawiałem. Wiedziałem tylko, że jestem inny od moich sąsiadów i kolegów. Jednak nie czułem się wyobcowany, gdyż w tej czteropiętrowej

poniemieckiej kamienicy oprócz nas mieszkali jeszcze: samotny Żyd, któremu my dzieci wyjmowaliśmy gazety ze skrzynki na listy, dziwiąc się hebrajskim literom, rodzina greckich imigrantów z dwojgiem dzieci (byłem zaintrygowany niezrozumiałym językiem, w którym Nikos rozmawiał ze swoją matką). Na ostatnim piętrze mieszkali wprawdzie Polacy, ale też byli inni, sąsiedzi nazywali ich złośliwie »kocia wiara«. U nas w domu rozmawiało się po łemkowsku" (pamiętnik A. Sokacza).

W pierwszej sytuacji mniejszość staje wobec nie kwestionowanej większości, która już przez to samo jest pewna siebie, nietolerancyjna i odrzucająca. W sytuacji drugiej mniejszość staje wobec reprezentantów innych mniejszości. Ich wspólnym interesem jest tolerancja i akceptacja wzajemna.

Socjolog wobec emocji i interesów. Zakończenie

Na zakończenie wrócić chciałbym do początku rozważań i podjąć raz jeszcze wątek związany z pytaniem o możliwość uprawiania wolnej od wartościowań socjologii. Wskazywałem, że problematyka narodowościowa

Str.22

jest dla takiego programu „polem minowym”. W przypadku konkursu dla społeczności Łemków na pamiętniki lub zestawy listów, ogłoszonego przez Instytut Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego w 1991 roku, potwierdziło się to raz jeszcze. Drażliwość problematyki sygnalizowana była wizytami w Instytucie nieufnych pamiętnikarzy, którzy przed wystaniem pracy chcieli upewnić się, porozmawiać, zobaczyć, czy to naprawdę chodzi tylko o naukowe cele. Po ogłoszeniach prasowych o konkursie do Instytutu wpłynął wspomniany już wcześniej list od Zarządu Kół we Wrocławiu, Związku Ukraińców w Polsce oraz Zjednoczenia Łemków. W liście autorzy zgłaszają krytyczne uwagi dotyczące samego sformułowania ulotki konkursowej, wskazując, iż sformułowanie „epopeja przesiedlenia” użyte w tekście dotyczy akcji „Wisła” i nie jest odpowiednie („(...) właściwymi określeniami są określenia cechujące się dużym ładunkiem dramatyzmu jak: tragedia, zbrodnia, narodobójstwo” - piszą autorzy listu). Następnie przedstawiają kilkustronicowy wywód, z którego wynika, że koncepcja niezależności narodowej Łemków jest wynikiem spisku i manipulacji. Spisek ten zmierza do wynarodowienia jednej z „etnicznych grup ukraińskich”.

Jeszcze raz okazało się, że nasz cel: sformułowanie neutralnego ogłoszenia konkursowego - to znaczy takiego ogłoszenia, które nie będzie zawierało sformułowań sugerujących rozstrzygnięcie drażliwych kwestii, w przypadku konkursu, który dotyczy mniejszości etniczno-narodowej, jest prawie niemożliwe. Dlaczego ogłosiliśmy konkurs dla „społeczności Łemków w Polsce”, a nie dla „ukraińskiej grupy etnicznej Łemków zamieszkałych w Polsce”? Myślę, że również te fragmenty odezwy konkursowej, w których mówiliśmy, iż chcemy opisać „procesy kształtowania się świadomości narodowej Łemków”, musiały wzbudzić emocje - łatwo w tym

kontekście sformułować zarzut, iż wpisujemy się w długi szereg tych badaczy, którzy (wymieniani z imienia i nazwiska w liście) wspierają swoim autorytetem „rozbijackie zamierzenia polityków i Kościoła”.

Krótki komentarz końcowy: Czy w opisanym przypadku występowały i występują manipulacyjne działania polityków? Z pewnością, i to po każdej ze stron. O ostatecznym ich wyniku zadecydują jednak sami Łemkowie.

Str.23

PAMIĘTNIKI

LUBOMIRA BIŃCZAROWSKA-CIOŁKA

Problemy Łemków po II wojnie światowej

Niektóre wybrane zagadnienia - formą wspomnień –

Pamięci Przodków

W roku 1945 - roku zakończenia II wojny światowej miałam lat 7. Na mojej rodzinnej ziemi nie było jeszcze spokoju. Dziś, gdy po latach 46 sięgam pamięcią do tamtych dni, jak na taśmie filmowej widzę kolejne kadry, a inspiracją mojej retrospekcji stała się informacja w prasie odnośnie konkursu, przejście w stan spoczynku po 35 latach pracy, czyli dysponowanie wolnym czasem, a przede wszystkim prawdziwa wolność dla każdego obywatela w III Rzeczypospolitej.

Mój rodzinny dom - położony wśród łąk na wzniesieniu, tuż za wsią. Niewielki to był budynek. Składał się z trzech izb mieszkalnych, łącznie z kuchnią. Obok stały zabudowania gospodarcze: stajnia, stodoła itp. Poniżej wiejska droga prowadząca do sąsiedniej wsi, za nią nieuregulowana góraska rzeczka. Wszystko to na polanie, a wokół malownicze góry i przepiękne lasy. Chciałoby mi się rzec parafrazując Mickiewicza: szczęśliwy kraj lat dziecińczych.

Mnóstwo tu grzybów, malin, poziomek. Rodzice posiadali niewielkie gospodarstwo rolne, wraz ze wspaniałym lasem jodłowo-świerkowym. Wędrowałam z ojcem po polach i lasach. Pomagałam pilnować krów i owiec. W domu opiekowałam się młodszym rodzeństwem: siostrą i bratem.

Chociaż umilkły już działa wojenne na frontach walk, w moich rodzinnych stronach trwały walki. Jak dziś widzę żołnierzy w polskich mundurach, ubrudzonych, nieludzko zmęczonych, których ojciec mój częstuje zimnym, zsiadłym mlekiem, przyniesionym prosto z piwnicy.

A ileż niespokojnych nocy przyszło nam przeżyć, gdyż w oddali słysząc

było strzelaninę, a gdy umilkła, niekiedy łomot w drzwi i polecenie, aby otworzyć, a na dworze wojskowi żądający jedzenia, picia, czasem prześcieradeł, białego płótna dla opatrzenia rannych itp. Ciężkie to były czasy dla nas wszystkich.

Pojawiają się ulotki, a wraz z nimi tzw. przez miejscową ludność delegaci (NKWD), agitujący za wyjazdem do Związku Radzieckiego. Wyraźnie mówią, że jak nie wyjedziemy na Wschód, to nas przesiedlą na Zachód. Wśród społeczności Łemków zasiano ziarno niepokoju. Ludzie boją się, nie wiedzą jak postępować. Jak tak dobrowolnie opuścić ziemię swoich przodków, swoją Ojcowiznę, Ojczyznę. Choć niewątpliwie nasz daleki rodowód sięga Wschodu, bezkresnych obszarów Ukrainy, jesteśmy z plemienia Rusinów, może bliskiego Ukraińcom, ale również Słowakom, Słoweńcom, no i Polakom, gdyż na ich ziemi znaleźliśmy Ojczyznę, jesteśmy Słowianami.

W zawierusze historii doznaliśmy wielu krzywd. Biedne to plemię pastusze (bo podobno głównie pasterstwem w dalekiej przeszłości się zajmowało) w sensie może nie tak materialnym, ale moralnym. Jak ja to postrzegałam? Oczami 7-letniego wówczas dziecka, wychowanego wśród gór i lasów Ziemi Sądeckiej. Jak odbierałam? We wsi mam rodzinę bliższą i dalszą, prawie wszyscy to krewni i powinowaci, jak to zawsze bywa, gdy dana społeczność zamieszkuje na tym samym terenie okres liczony już nie na dziesiątki, a setki lat.

Ludzie są pełni lęków, rozterek, niepokoju. Pod dobrowolnym przymusem wyjeżdża rodzina mojego ojca: trzy siostry i brat z rodzinami. My zostajemy, gdyż nie wyjeżdża rodzina matki. Czegóż nie obiecywano wyjeżdżającym? Prawdziwy raj na ziemi. Jak daleka była rzeczywistość od oczekiwań, przekonali się wkrótce i to bardzo boleśnie. Nie chcieli opuszczać rodzinnych stron mężowie moich ciotek, ale zrozumieli, że muszą. Jeden nauczyciel, drugi również człowiek na dość wysokim poziomie intelektualnym. Wiedzieli, co ich czeka w Polsce za proukraińskie poglądy (nie ominęłyby ich obóz w Jaworznie). Garść ziemi do płóciennego woreczka włożył i do piersi go przycisnął. Ukląkł, ziemię całował, łza zamarta na skamieniałej z bólu twarzy. Ojciec ze łzami w oczach niekiedy o tym wspominał. Mówiąc o tym wzruszał się i cierpiał bardzo. Nie wracaliśmy więc do tych spraw, chyba wyjątkowo.

Nadszedł rok 1947. Pożegnaliśmy na wiejskim cmentarzu moją babcię - matkę ojca. Wiosna była piękna, niezwykle ciepła. Urodzaje zapowiadały

się nieprzeciętne. Ludzie jednak niepokoiłi się. Będziemy wysiedleni. Przyjdzie rozstać się z ziemią przodków. Co z nami będzie? Gdzie nas wywiozą? Dorośli snuli się po obejściu jakoś ospale, nieporadnie, posępni, pełni obaw. W tę ostatnią wiosnę w górach nie słyszałam śpiewów po polach, łąkach i lasach. Rodzice martwili się. Po twarzy matki często płynęły łzy. Niepokój dorosłych udzielał się i nam, dzieciom.

Zbliżał się czerwiec. Koniec roku szkolnego. Jakże smutny. Żegnaliśmy na zawsze naszą szkołę. Nie z radością, a z bólem opuściliśmy szkolny budynek, ten, który z trudem wzniesli dla swoich dzieci rodzice.

Wysiedlano okoliczne miejscowości. Przyszedł czas i na moją rodzinną wieś. Dwie godziny otrzymaliśmy na przygotowanie do wyjazdu. Mieszkańcy wsi z dobytkiem stali na drodze w kierunku Florynki. Sprawdzono listę mieszkańców. Coś się nie zgadzało. A my mieszkający w chacie za wsią, czekaliśmy na polecenie opuszczenia obejścia. Ojciec bez wyraźnego rozkazu nie mógł zdecydować się, by wyjeżdżać z zabudowań.

Wpadli żołnierze. Polecili: Wyjeżdżać natychmiast! Zaskrzypiał po wiejskiej drodze wóz ciągniony przez dwie krowy. A na nim nasz skromny dobytek. Obok wozu - owce - nieodłączny atrybut mieszkańców gór, Łemka-górala. Ruszyliśmy w stronę Grybowa. W 1947 r. w tej jakże bliskiej mojemu sercu miejscowości widziałam po raz pierwszy pociąg. Szczególnie utkwił mi w pamięci przejazd pociągu przez most kolejowy. Tutaj w Grybowie koczowaliśmy. Nie pamiętam ile dni. Na pewno kilka. Mama wracała jeszcze do domu ze stacji w Grybowie. Przybyła do nas wstrząśnięta. Opowiadała ojcu, że po wsi wyją wygłodniałe psy, koty biegają jak oszalałe, kwiczą głodne świnię, gdaczą strwożone kury, gęgają gęsi. Powiadała, iż smutno i nieswojo się poczuła. Nie chciałyby zostać we wsi sama.

W Grybowie formowano transport. Ludzie ładowali swój dobytek do wagonów. Przyszła kolej i na nas. Kilkanaście rodzin odłączono od reszty mieszkańców i uzupełniono nimi transport innej wsi. Znaleźliśmy się tam i my. Mama wpadła w rozpacz. Oddzielono nas od sąsiadów, z którymi mama się przyjaźniła. Płakała dniami i nocami. Obok naszego wagonu znajdował się wagon wojskowy, konwojujący nasz transport. Głęboką rozpacz matki zauważyli żołnierze. Jeden z wojskowych nawet zainteresował się tym i pytał, dlaczego mama tak strasznie płacze, że słychać aż w ich wagonie. Ojciec próbował wyjaśniać i uspokajał mamę, ale ona popadła potem jakby w odrętwienie, stała się apatyczna. Tato obawiał się,

Str.29

czy to nie początki jakiegoś schorzenia psychicznego. Ale młody organizm (mama miała wówczas 28 lat) wyszedł obronną ręką z tego załamania.

Okolo dwóch tygodni trwała nowa „droga przez mękę” na tzw. „Zachód”. W towarowe wagony ładowano po kilka rodzin. Warunki podróżowania gorzej niż złe. Ale tak było w pierwszych latach powojennych. A tu wieziono „bandytów”, „banderowców”, „morderców”, Ukraińców itp., gdyż takie i inne rzeczownikowe epitety prowadziły nas na Ziemię Dolnośląską i na niej też długo byli naszymi „przyjaciółmi”. W czasie podróży dłuższy postój i selekcja do obozu w Jaworznie.

W pierwszej połowie lipca przybyliśmy do województwa wrocławskiego w okolice Legnicy. Znaleźliśmy się na stacji kolejowej w Chocianowie. Próbowano nas rozlokować po kilka rodzin, nie więcej we wsiach w okolicach Chocianowa. Tych,

którzy na to nie przystali, umieszczono w majątkach państwowych (nazwanych później PGR-ami). Tak i ja wraz z rodzicami znalazłam się jakby w dawnych dworskich czworakach, tylko że już w państwowych, a ojciec mój - rolnik-góral, stał się dworskim fornałem, ale już państwowym. Taki to awans spotkał go w PRL-u, a etykieta banderowca i Ukraińca przylgnęła do niego chyba na zawsze. Z latami, gdy do PGR-ów wkroczyła mechanizacja, został nocnym stróżem. Po osiągnięciu wieku przeszedł na emeryturę. Trudy życia opłacił dwoma zawałami. Po długich i ciężkich cierpieniach znalazł wieczny odpoczynek na cmentarzu komunalnym jednego z miast Dolnego Śląska. Ojciec mój przeżył „na wygnaniu” - jak bym to nazwała - 42 lata. Nigdy nie odwiedził rodzinnej swej miejscowości. Choć tam na wiejskim cmentarzu spoczywają jego najbliżsi: rodzice, dziadkowie, pradiadkowie itp. Mama wraz z mężem mojej siostry, czyli swoim zięciem, zwiedziła swoją wieś. Była w domu, w którym się urodziła, jak również w moim domu rodzinnym (który obecnie już nie istnieje, właściciel postawił sobie piękny, nowoczesny dom, a starą drewnianą chatę rozebrał). Ojciec nie potrafił tam wrócić na chwilę. Wystarczyły wspomnienia na ten temat. Wzruszał się bardzo. Lojalny wobec ojczyzny i zawsze jej wierny, nie potrafił zrozumieć zbiorowej odpowiedzialności, która wyrządziła mu krzywdę. Zdawał sobie sprawę, że jesteśmy traktowani jak obywatele gorszej kategorii. Bolał nad tym, że jego ojciec został na ojcowiznie w górach, gdy rodzeństwo - bracia mojego dziadka - wyjechali do Ameryki. Tam zostali jednymi z wielu emigrantami. Zamerykanizowali się i kontakt z nimi od czasów II wojny światowej urwał się całkowicie.

Str.30

Pamiętam, jakby to było wczoraj, a to już 44 lata minęło w upalne tegoroczne lipcowe popołudnie. Stanęliśmy na drodze brukowanej kostką, wzdłuż której ciągnęła się długa ściana folwarcznej obory. Wpadłam w rozpacz, nie chciałam zejść z wozu, nie chciałam tutaj mieszkać, bałam się, zbliżał się wieczór. Nie mogłam zrozumieć, gdzie my jesteśmy? Dlaczego wojsko nas tu przywiozło itp.?

Zadawałam wiele pytań, na które rodzice nie potrafili mi odpowiedzieć. Pierwszą noc spędziliśmy na wozach. Nastął dzień. Rodzice szukali mieszkania. Nie było wyboru. Wprowadziliśmy się do zdewastowanego budynku z pustymi otworami na okna i drzwi. Tato jakoś w majątku załatwił stare drzwi, by przeciąg nie hulał po pustych pomieszczeniach. Ale okien to nie było przez całe lato, aż do późnej jesieni.

Rodzice podjęli pracę w miejscowym Państwowym Gospodarstwie Rolnym. Żyli nadzieją, jak wszyscy prawie przesiedleńcy, powrotu na swoją ojcowiznę. Krążyły pogłoski o zbliżającej się III wojnie światowej. Propaganda groziła imperializmem wojennym.

Nadeszła jesień. Poszłam do szkoły. Trudno mi było zaaklimatyzować się. Rówieśnicy nie traktowali nas przychylnie. Nasłuchiwałam się wiele dokuczliwych epitetów. Szczególnie wrogo nastawione były przez rodziców dzieci przesiedleńców ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej. Przykro i niezwykle trudno było nam żyć na obczyźnie. Jako dziecko 9-letnie tęskniłam do gór i lasów Beskidu Śląskiego, jak tęsknili wszyscy moi rodacy. My górale ukraińscy, jak to wyczytałam w jakiejś notce

encyklopedycznej, czuliśmy się tutaj źle. Nam Łemkom brakowało górskiego powietrza, gór, lasów, przestrzeni. Przeżywaliliśmy stresy. Wielu zaczęło chorować. Pamiątką po pierwszych latach pobytu na Ziemi Dolnośląskiej są blizny na nogach po wielu schorzeniach skórnych (wrzody, skrzepy, czyraki). Organizm dziecka gór trudno adaptował się do nowych warunków. Podobnie chorował mój ojciec.

Nasz sposób ubierania się też budził niezdrowe emocje, wyrażane obraźliwymi epitetami. Przecież ubieraliśmy się po góralsku. Prawdziwą sensację wzbudził ojciec ubrany w kierzce, suknią marynarkę i spodnie, gdy w takim stroju przybył do pobliskiego miasteczka.

Pozostał mi z tych lat również trwały uraz psychiczny. Nie mogę przebywać dłużej w Krynicy. Czuję się tam źle. Nęka mnie jakiś wewnętrzny niepokój. Nie potrafię nazwać tego stanu. Moje zachowanie jest niezrozumiałe szczególnie dla moich dzieci - córki i syna. Mąż próbuje mnie

Str.31

zrozumieć. A jednak chcę tam jechać i jeżdżę co kilka lat. Tak oddziałują na moją psychikę chyba cienie moich przodków.

Tylko moje 9 lat spowodowało, że w latach 1947-1952 ukończyłam szkołę podstawową. Gdybym miała w 1947 r. kilka lat więcej, stałabym się pracownikiem gospodarstwa rolnego, jak wszyscy starsi ode mnie o 4, 5 lat. W latach 1952-1956 ukończyłam liceum ogólnokształcące. W tym też roku rozpoczęłam pracę zawodową.

Dalsza rodzina rozproszona jest po sąsiednich województwach. Okazją do spotkań są wesela, pogrzeby, niekiedy odwiedziny podczas świąt lub urlopów.

Jak żyjemy? W miarę możliwości przystosowaliśmy się do środowiska, na które skazał nas los. W mojej wsi mieszkają autochtoni, przesiedleńcy z kresów Rzeczypospolitej, z Kieleckiego, jak również Polacy z Ziemi Śląskiej, nawet znajomi ojca z Białej i Kąclowej.

Żyje się ciężko, jak wielu ludziom w latach powojennych. Ojciec niewiele zarabia. Mama chodzi do pracy, ale jest pracownikiem dochodzącym ze względu na sytuację rodzinną - małe dzieci. Na wiosnę bierze buraki do obróbki od 1/2 do 1 ha. Pomagam jej w pracy na tyle, na ile potrafię. Jesienią pracuje przy wykopkach ziemniaków i buraków. Przy burakach pomagam mamie po lekcjach, a ojciec po zakończeniu pracy.

Z krewnymi utrzymujemy kontakt listowny. Wiosną w 1958 lub 1959 r. wyjeżdża do Kanady, do swojej córki i syna, siostra mojej matki z synem i trzema córkami. Moi rodzice wraz z najmłodszym moim bratem (miał niecałe 2 lata) wzięli udział w uroczystym pożegnaniu.

Od roku 1956 notuje się odwilż polityczną. Docierają wieści, że można będzie wracać w rodzinne strony.

Ojciec pisał nawet podanie skierowane do powiatu i województwa o zwrot mienia, na które to pismo nigdy nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi.

W następnych latach niektórzy nawet wracają. Szczególnie na teren powiatu gorlickiego; gorzej sprawa się ma z powrotami na Ziemię Sądecką. Tam po prostu nie ma wolnych gospodarstw i nie można wracać.

Młodzież spotyka się na zabawach w swoim kręgu, jak również na balach sylwestrowych. Lata siedemdziesiąte to powstanie zespołu „Łemkowyna”, a osiemdziesiąte to łemkowska „Watra” w Bartnem, potem w Żdyni i na obczyźnie, we wsi Michałów w województwie legnickim.

Pomimo ożywienia kulturalnego i kontynuowania tradycji przodków,

Str.32

żyjąc w diasporze asymilujemy się i polonizujemy coraz bardziej. Synowi wyjaśniłam rodowód nas, jego rodziców (miał wtedy lat 10), odrzekł, że on nie chce być innym. W jego klasie wszyscy są Polakami i on też jest Polakiem, a nie żadnym Łemkiem. Później zapoznałam go z niektórymi tradycjami, obrzędami, z nabożeństwem w cerkwi itp. Zainteresował się bogactwem liturgii w cerkwi, urzekło go też piękno ikon. W rodzinnej mojej wsi zachwycał się krajobrazem i drewnianą połemkowską cerkiewką. W muzeum zaciekawili go niektóre narzędzia i sprzęty z dawnych łemkowskich chat. Niestety, moje dziecko nie zna gwary łemkowskiej i jako matka boleję nad tym bardzo, gdyż prawdziwa jest dewiza - „naród żyje, dopóki jego język żyje”, choć my Łemkowie nie jesteśmy narodem, tylko niewielką grupą etniczną i sądzę, że w dalszej przyszłości jesteśmy skazani na prawie całkowite spolonizowanie, szczególnie w miastach, gdyż wieś to jednak ostoją tradycji.

Str.33

ROMAN CHOMIAK

(Wspomnienia)

Szanowni Panowie! Ponieważ jestem Łemkiem starszego pokolenia, który przeżyłem tę tragedię naszego biednego narodu, postaram się to opisać, co nas spotkało po wygranej wojnie. Proszę nie wziąć moją wypowiedź za złośliwość lub głupotę. Postaram się podawać miejscowości i nazwiska, które zapamiętałem. A teraz chcę się przedstawić: nazywam się Chomiak Roman, urodziłem się 1914.14.4 we wsi Wawrzka woj. Nowy Sącz. Skończyłem 4 klasy szkoły podstawowej. Rodziców straciłem w bardzo młodym wieku. Ojciec zginął na froncie w pierwszą wojnę światową, mama budowała ze stryjem, który wrócił z wojny, dom mieszkalny i duże budynki gospodarcze, zakończyli budowę w 1923 roku i w tym roku umarła. Zostało nas czworo dzieci, brat miał 14 lat, ja 8 lat, siostra 3 lata, a najmłodszy 1 1/2 roku. Ot,

takie było nasze dzieciństwo. Przyszła do nas 75-letnia babcia i tak my się męczyli i ona staruszka z nami, ponieważ mieliśmy dość duże gospodarstwo rolne 10 ha. Nadmieniam, po śmierci mamy stryj wyjechał do Francji, aż w tym roku mój syn był we Francji i odnalazł przez komputer stryja syna, który liczy sobie 69 lat. Tak nas wojna, a potem wysiedlenie rozłączyło, że my o sobie nie wiedzieli, on nas szukał i my jego, ale na stare lata odnalazł syn kuzyna. Okropna była radość obu stron, niestety, ale nasz stryj już nie żyje.

Jak miałem 17 lat, brata zabrali do wojska, babcia od nas poszła-była bardzo spracowana i już chorowała. Brat się reklamował, mnie uznali za zdolnego do pracy. Boże mój, co ja się narobił, bo brat i siostra byli jeszcze mali, trzeba było się nimi opiekować. Mieliśmy opiekuna, ale nie chcę o nim wspominać, bo już dawno nie żyje, ale zostały bardzo złe wspomnienia w naszej pamięci o nim i o jego opiece nad nami. Brat wrócił z wojska z uszkodzonym zdrowiem, miał w wojsku wypadek, za co nie dostał żadnego odszkodowania, ponieważ za późno się o niego upomniał.

Ja w polskim wojsku służyłem w 1937 i 38, miałem przedłużoną służbę o 3 miesiące, bo byłem, jak my zabierali Zaolzie. W wojsku miałem

Str.34

dobrze, nauczyli mnie dyscypliny i porządku. My wschodniego obrządku, jak było nasze święto, tośmy mieli wolne, ja służyłem w ciężkiej broni maszynowej. Jako nagrodę za dobrą służbę w wojsku dali nam książki modlitewne, na których pisało po polsku i w języku cerkiewnym z podpisem: za dobrą służbę w wojsku, podpis pułkownik Warzy bok.

W marcu 1939 byłem na pierwszej mobilizacji 3 miesiące i puszczono nas do domu, druga mobilizacja z końcem sierpnia. W wojsku czynną służbę odbywałem w Cieszynie - 4 Pułk Strzelców Podhalańskich, a na mobilizacji byłem powołany do Nowego Sącza i ze Sącza wyruszyli my na front. Pokrótce opiszę przebieg wojny. Wojna - pierwsze natarcie wojsk niemieckich na nasze oddziały było na Jasnej Górze koło Częstochowy, a do niewoli nas zabrali Niemcy za Sianenem. Ile my nocy nie spali, ile my się nagłodowali, ile my przeszli na pieszo. Jak nas wieźli do Niemiec, to ja wyskoczyłem w biegu z pociągu koło Tarnowa i szczęśliwie na pieszo przyszedłem do domu. W domu zastałem wszystkich żywych i zdrowych i wszystkiego pod dostatkiem, aż się zapłakałem, co jest w domu, a ja na wojnie mało co z głodu nie umarł. Przez całą wojnę byłem w domu, ponieważ miałem pszczoły - dość dużą pasiekę, i prezes naszego związku wysłał mnie na kurs rzeczoznawców chorób pszczelich. Dostałem legitymację i to mnie uratowało, że byłem przez całą wojnę w domu. Podczas wojny trudniłem się z kolegami ubojem świń, ja chodziłem i skupowałem świnie, biliśmy i odstawiali do miast, najwięcej do Krynicy. Wozili my furmanką, aż jednego razu powiózł kolega wyroby z dwóch dużych wieprzków i zatrzymali go Niemcy. Tak się cieszyli, że będą mieli tyle żarcia, bo to była kiełbasa, wędzonka, schab. Niemiec tak mówił, że nie pisałby protokołu, ale Wicek Witecha przysłał służącą, czy już zatrzymali furmankę z wieprzowiną. Co ten Wicek Witecha nażarł się u nas, a potem nas oskarżył i razem z Niemcami zeżarł nasze świnie, a

potem uciekł do Warszawy. Pamiętam raz kupili my świnie w Ropie, w sąsiednim domu było gestapo, raczej mieszkało. Pewnego razu wieźli my na saneczkach zabitego prosiaka, wychylili my się z krzaków, już świtało, słyszemy, ktoś idzie, cofnęli się my do krzaków, a potem dowiedzieli my się, że to Niemcy szli kogoś zaaresztować.

Jak Niemcy uciekali ze wschodu, przyszli do mego brata, zażądali, żeby im dał uprzęż na konie, brat mówi, nie mam upręży, poszli do spichlerza, zaprzęgu nie znaleźli. Brat miał dużo zboża, zajechali dwoma furmankami i załadowali dwie furmanki zboża, a brata przywiązali do

Str.35

woza za to, że im nie powiedział, kto ma uprzęż na konie. U brata była od półtora roku żona kapitana z dwoma małymi dziećmi, jedno wzięta na ręce, a drugie za rączkę, dzieci płakały i prosili: puśćcie wujcia. Brat szedł bosy po błocie kilometr i go puścili. Tę kobietę żywił i przyodziewał, bo ona uciekła przed frontem, tyle się mu przysłużyła, co puścili brata, dzieci płakały, prosili puśćcie wujcia, bo brata nazywali wujciem.

Przyszło to wyzwolenie, jak rosyjskie wojska wkroczyły na nasze terena, dlaczego naszą młodzież brali Sowieci do swojej armii, jak my nie byli ich obywatelami, przeszkolili 3 dni i wystali na taki ciężki front. Jak tylko wstąpili do nas rosyjskie wojska, było ogłoszenie, że mają się zgłosić wojskowe roczniki na RKU do rejestracji do polskiego wojska. Jak się dowiedział kapitan w Nowym Sączu, że my jesteśmy Rusini, powiedział, że nas nie zarejestruje, ja się pytałem dlaczego, on powiedział, my do was nie mamy prawa, bo wy objęci ewakuacją do Rosji.

Jak wyglądała ewakuacja. Wywieźli ludzi na daleką Ukrainę do Kirohgrada (Kirowograd) na Połtawę, gdzie nie było gdzie mieszkać ani co jeść, ludzie mieszkali po bunkrach, a meble na polu. Jak tam przyjechali, to wyjechała po nich dziewczka w podartej pałatce wołem i prosiła od nich chleba. Kobiety, jak zobaczyły ten obraz biedy, zaczęły bardzo płakać. Moja sąsiadka Leszczyńska powiedziała do naczelnika: po coście nas tu brali, jak nie macie dla nas mieszkań, ani co jeść, pobijcie nas, żeby my się nie męczyli, a on na to: ani was tu nie prosił, ani nie będę zabijał, ty sama padochniesz. To było 1945 roku ta ewakuacja. Wszystko zniszczone wojną, jeszcze na dalekiej Ukrainie w tym roku była okropna posucha, tak że wiadro ziemniaków kosztowało 100 rubli. Kto miał krowę, to się ratowali przed głodem mlekiem i serem, nastął okropny głód i poniewierka. Umarły cztery dziewczyny od 13-14 lat, z mojej wioski umarła Buranicza Wasyla córka, umarła Ewdokii Leszczyńskiej Lubcia, umarła Maksyma Janiszaka Ulka, umarła Olgi Chomiak córka, a jej matka poszła w nieznane strony i ślad po niej przepadł. Jak grzebano te dziewczyny, owinięto do słomy i zakopano do ziemi. Moją sąsiadkę Marię, po mężu Szufnarowicz, znaleźli w piecu piekarskim, nie wiadomo, czy z głodu, czy zamarzła, a jej mąż, Makary Szufnarowicz, powrócił z rosyjskiej armii, cały brzuch miał pozszywany, bo był ciężko ranny. Zaczęła się okropna rozpacz, zaczęli ludzie uciekać, którzy mieli krowy, nie chcieli się ich pozbyć, bo to były ich żywicielki, robili wozy, zaprzęgali krowy i

jechali jak Żydzi do Obiecanej Ziemi, jechali cały miesiąc, krowy tak zdarty kopyta, że owijali im nogi, nocowali po stertach ze słomy, tam w tych stertach były wyrobione dziury, a w tych kryjówkach różne pasożyty, aż się słoma ruszała. Po drodze przepadło im wszystko ubranie, co wzięły z domu, napadały na nich w tej wędrownicy piechotą, rabowały i tych, co jechały pociągiem w tamtą stronę i z powrotem. Którym zostało coś z odzieży, oddawali za produkty żywnościowe, aby ratować dzieci i siebie przed śmiercią głodową. Władze sowieckie dawały im zboże, niby za te plony, co pozostawili w domu, ale to im przepadało, jak wracali tu na te tereny, gdzie obecnie mieszkają. Jak jechali tam, na tę obiecaną ziemię, jak się zatrzymał pociąg, wychodziła polska ludność i mówiła do nich: ludzie, my wkrótce wyjeżdżamy, siadajcie do naszych domów, nasze Łemkowie odpowiadali: na tych terenach są wciąż nieporozumienia i mówią, że tu są niedobrzy ludzie, a potem prawie wszyscy wrócili na te tereny, pobudowali domy, bardzo dużo młodzieży pokończyło wyższe szkoły.

Zeszłego roku był u mnie mój najbliższy sąsiad Leszczyński Oleksy i to mi o tym opowiadał. On był całą wojnę w Niemczech, opowiadał, jak w 1945 roku w grudniu wracał z Kirowgradu towarowym pociągiem, wszystko ubranie mu zakradli, on z żoną przykryli się pierzyną, co nie zamarli, pobudował ładny dom w Kozewie woj. lwowskim. Jego dwóch młodszych braci było w rosyjskiej armii na froncie 1945 r.

Po wkroczeniu rosyjskich wojsk na nasze tereny zabrali do sowieckiej armii 20 z domu, a 5, co byli na robocie w Niemczech, 4 zabiło, a pięciu wróciło rannych. Wojna się zakończyła w maju, a ich puszczali do domu jesienią, jeszcze ich mieli zamiar wysłać na japoński front. Opowiadał mój brat, jak ich puszczali do domu, to komandir im podziękował za trud w walce z okupantem i powiedział: „Kak choczetie ostawajtie u nas, a kak choczetie, wiertajtie na rodzinu w swoje ridnije starony”.

Chłopcy nasi, którzy wrócili z wojny, dużo ich poniszczyło dokumenty wojskowe i odznaczenia, jeden z mojej wioski miał gwiazdę. Nasze władze, raczej milicja, napastowała ich, że służyli w obcej armii, że stracili polskie obywatelstwo i musieli się ukrywać, żeby ich nie wystali do Rosji. Były wypadki tych, co wrócili, raczej uciekli z Rosji, ORMÓ wywoziło z powrotem, a jeden, jak go zatrzymali, wyskoczył z wozu i uciekł, a wóz ostawił i nie dał się wywieźć. Te, co byli w rosyjskiej armii, zniszczyli dokumenty wojskowe, pisali po nie do archiwum do Podolska koło Moskwy i im przysyłali, ale to trwało dosyć długo. Tak se potem mówili, że ani jedna, ani druga strona nie ocenili ich ofiarności, że w tak nieludzki sposób

Str.37

potraktowali ich i ich rodziców konfiskatą ojcowizny, że walczyli za kocią duszę.

Po wyjeździe naszych Łemków na daleką Ukrainę przyjechali do mojej wioski mierniczy - nazwisko Nowotorski i komisarz o nie znanym mi nazwisku i szacowali domy opuszczone. Ten inżynier był bardzo ordynarny. Do jednego domu po Wasylu Merenie wróciło dwóch synów, jeden z rosyjskiego wojska, a drugi z Niemiec, był żonaty, miał za żonę Polkę od Zakopanego. Mówi ten żonaty do inżyniera, proszę

zapisać ten dom na mnie, a inżynier mówi, ten dom jest dla Polaka, a syn Mereny mówi, ja jestem Polakiem, bo mam żonę Polkę, a inżynier bardzo brutalnie się wypowiadał, jakbyś chciał być Polakiem, to musiałbyś se dać urznąć jaja, my mówimy, już jakbyś se dał jaja urznąć, to na co ci takiej młodej żony. Idziemy dalej, przyszliśmy koło cerkwi, która była budowana 1937-1939, a na pokrycie na blachę i krzyż przystali nam nasze bracia z USA i Kanady, to inżynier mówi do komisarza, tę cerkiew trzeba przydzielić komuś na chlew, a komisarz na to, nie, do tego nie mamy prawa, to jest rzecz konsystoryjna. Idziemy dalej, nadjechał pan wójt z Grybowa, mądry i dobry człowiek, pan Kmak z Ptaszkowej. My wójta prosili, z którego domu byli dzieci na robocie w Niemczech, te domy zostawić dla nich po ich rodzicach.

Nam wciąż milicja obiecuje, że nas wywiozą do Rosji, aby im dawać świnie, kupowali my świnie, po trzech, po czterech składali się i kupowali, dawali świnie dla milicji, to było w 45-46 roku. Ci, co nas podczas wojny chodzili rabować, po wojnie też te złodzieje poszli do milicji, nas biednych ludzi wyniszczonych wojną niepokoili znów dniami. Ubowiec tak powiedział: jak się zorientowałem, to wy Łemkowie jesteście jak to gówno przy drodze, kto tylko chce, to na niego nadejście. Przyszła milicja do naszej wioski, to było jesienią 46 roku, i od teścia napierali się gołębi, a teść mówi: jak ja wam złapię gołębie, a po drugie, nie wiem, czyje są te gołębie. Milicjant mówi, zaraz się dowiemy i strzelił na moim dachu do gołębia, gołąb raniony poleciał na sąsiada dach, znów strzelił do niego, od razu buchnął ogień, bo dach był kryty gontem i słomą. To wszystko widział mój teść i jeden, co prowadził krowę; pytają go, czy widział, kto podpalił dom, on mówi: panowie, bo krowa chciała na mnie skoczyć, to się oglądałem na krowę; masz to mówić: kobieta podpaliła dom i wyskoczyła przez okno. Bardzo była sytuacja groźna, bo już się zapaliła pokrywa na drugim budynku, ale ludzie się zlecieli i ugasili, poszłaby z dymem

Str.38

większa część wioski, ja chciałem, aby obniżyć ogień, z kuzynką hakiem strażackim poderwali my słup, na którym był sufit i o małą rzecz nie zabił nas komin, kuzynkę wyrwałem, bo by nas było pobito. O tak, taką mieli my po wojnie milicję. Jak se popili, poszli do Florynki, zastrzelili naszego chłopca, na jego podwórzu, ale tu panom nie o to chodzi - chcecie się dowiedzieć o świadomość Łemków. Na to pytanie trudno mi będzie odpowiedzieć, są nasze Łemkowie młodzi, na pewno wezmą udział w waszym konkursie, bo to są sprawy bardzo bolesne i delikatne. Jak się zejdziemy, to ludzie, nasi Łemkowie te sprawy tej akcji Wiśła nie wspominają, bo jeden młody człowiek tak powiedział: jak wystuchałem opowiadania o tej akcji, to chodzę tak struty cały tydzień. Żyją jeszcze ludzie, co byli w Jaworznie obozie, może oni albo ich synowie wezmą udział w waszym konkursie. A my, starsze pokolenie, mówili my do swoich dzieci: uczcie się, bo wam nic nie damy, bo już nic nie mamy i kto miał zdolne dzieci, to pokończyli szkoły zawodowe i wyższą oświatę.

Może ta moja wypowiedź nie była dla was, szanowni panowie, ciekawa, postaram się wam opisać, jak wyglądało wysiedlenie, jak długo jechali my do Szprotawy, jak

nas przedstawiło UB, jak nas przyjęła ludność polska na nowym miejscu, a najważniejsze, jak wojsko nasze postępowało z nami, ale to opiszę na końcu.

Przyjechał do naszej wioski porucznik przed wyborami do sejmu i mówił: głosujcie z nami, wybierzemy rząd i będzie was chronił od tej swawoli. Nasze Łemkowie bardzo się zastanawiali, na kogo mamy głosować, pytali się adwokata, adwokat radził, aby my głosowali na władzę ludową, bo nas wszystkich wygonią do Rosji. Przed samym wysiedleniem przyjechał do nas poborca, ściągnął z nas coroczny podatek. Ogłosili nam, że jakby ktoś głosił propagandę o wysiedleniu, będzie surowo ukarany, te ulotki rozrzucał samolot. Ludzie zaorali pole, obsiali swoje i jeszcze to pole po tych, co wyjechali do Rosji, ja sam obsiałem 2 ha dzierzawy, nabrałem dużo nawozów sztucznych. Do opuszczonych domów zaczęli przychodzić osadnicy, a z nimi różny podły element, zaczęli się między sobą naradzać, jakby się nas pozbyć. A i my na samym początku zauważyli, że ci panowie chcą się nas pozbyć i zabrać nasze domy, nasze pola. Ja byłem agronomelem i przydzielałem osadnikom zboże do siania i sobie wziąłem, ponieważ wziąłem dzierzawę, to za to zboże przystali za mną na zachód, abym za niego zapłacił, a oni zboże sprzedali na pniu. Opowiadała służąca tego inżyniera Nowotarskiego, był tu taki Staszek i Józek, że

Str.39

między ich działkami jest dobra działka, aby ich podzielić, u nas był okropny pożar w 1934 roku i w tym samym roku była komasacja, scalanie gruntu, spaliło się 8 budynków mieszkalnych i 8 stodół i szkoła. Ten starszy człowiek, co miał tę działkę między Stanisławem i Józkiem, został zabrany z transportu do Jaworzna, on był inwalidą z pierwszej wojny światowej, był dobry, uczciwy człowiek, a jego żonę odłączyli od naszego transportu i dołączyli do obcych ludzi i wystali w obce strony, i dalej przydzielili 7 rodzin do jednego domu, mąż jej wrócił po ośmiu miesiącach uszkodzony na zdrowiu, a jego dwóch synów było na wojnie w sowieckiej armii. Ten człowiek, co go zabrali do Jaworzna, nazywał się Chomiak Roman, to nie był nasz krewny, tylko nasz sąsiad. Mój brat Włodzimierz był radnym w gminie Grybów, gmina obiecała, że nas obu z bratem i jeszcze tego Chomiaka, i jeszcze mego kuzyna Koflę Gabryjela nie dadzą wysiedlić, aż trzy dni przed wysiedleniem przylecieli urzędnicy z gminy o nazwiskach Paubniak i Zbuwko z Ptaszkowej i mówią do nas: chłopy, rzyhtujcie się, bo będziecie wszyscy wysiedleni, bo pójdziecie bez kawałka chleba. Przyszedł porucznik, ten morderca o nazwisku Lewandowski, na końcu mojej wypowiedzi o nim napiszę, przyszedł do mego kuzyna, nazwisko Kaniuk, i wyzwiał pojedynczo tych, co na nas donosili, a był między nimi Korzeń Stanisław, co był na moim weselu, jemu spalił się nowy dom od komina, to mój brat dał mu dwie sztuki drzewa z naszego lasu za darmo i był mu 3 dni wozić wołami drzewo z lasu na budowę, to tak ten Korzeń powiedział do mego brata z mojej wioski: Władze ani mi nic nie pomogły. Nie wiemy, czy ten Korzeń się nam za to odwdzieczył, co nas nie zabrali do obozu, bo tam byśmy nie przeżyli, bośmy byli ciężko pobici przez oficerów władzy ludowej, zaznaczam, jeden żołnierz do mnie tak mówił: nie było w Polsce dobrze ani nie będzie, co te cholery wyrabiają z niewinnymi ludźmi, drugi żołnierz,

taki z wąsikiem, prosił żołnierza, żeby mnie nie bił, bo mieli nas zamkniętych na plebanii w spichlerzu, ale ja jeszcze do tej sprawy wrócę na końcu.

Dzień przed naszym wysiedleniem przyszedł do nas porucznik i mówi do nas: ludzie rychtujcie się, bo jutro będziemy was wysiedlać, ja go pytam, raczej proszę, że chcę wywieźć rzeczy najpotrzebniejsze, a to żywność i łóżka do spania, żeby mi dał zaświadczenie, że mi pozwolił wywieźć, a on na to, jakby was ktoś zatrzymał, niech zadzwoni do Florynki na plebanię, a ja mu powiem, że panu pozwoliłem. Wtenczas padały deszcze, most na rzece zerwali Niemcy, że trzeba było jechać przez rzekę,

Str.40

a górskie rzeki po deszczach są bardzo groźne. Załadowałem na wóz rzeczy i przyjechałem z nimi do Grybowa koło samej stacji kolejowej do obywatela Suchonia. Suchoń na mnie z pyskiem, jak się chce coś od was kupić, to się drożycie, a teraz chcesz się u mnie ukrywać, a ten Suchoń kupił kierał do młocki od Bodaka Wasyla, jak wyjeżdżał do Rosji, a poraił mu mój brat. Suchoń poleciał do wojska, przyszedł kapral i mówi do mnie, jesteś aresztowany, a ja się go pytam za co - bo uciekasz; ja do niego mówię, jakbym uciekał, to nie pod stację; pokaż dokumenty, zabrał je z całym portfelem, miałem w nim legitymację i zaświadczenia ze związku pszczelarskiego i ogrodniczego, ponieważ miałem duży sad, i miałem bardzo ładne zdjęcie w stroju podhalańskim z czynnej służby w polskim wojsku. On mówi do mnie, a to co za skurwysyn na zdjęciu, ja jestem tym, mówię do niego, panie kapralu, pan się wtenczas bawił z dziećmi, jak ja byłem w wojsku i na wojnie, oddał mi mój portfel z dokumentami i nic do siebie nie gadamy, klacz skacze, bo w domu zostawiłem jej małego źrebaka, w domu nie wiedzą, co się ze mną stało. Przychodzi porucznik i mnie zabiera ze sobą do kapitana, który się znajdował pod namiotem na stacji w Grybowie, jak mnie porucznik przedstawił, kapitan powiedział, oni należą pod UB i porucznik zaprowadził mnie do ubowców, po drodze mówię do porucznika: panie poruczniku, jak my wyruszali na front, to major Różycki w Nowym Sączu obiecał, że po wojnie będziemy mieli duże prawa, a wy teraz z nami tak nie po ludzku postępujecie, a porucznik cały czas milczał. Przychodzimy do tego UB, skoczyli do mnie jak psy gestapowskie, ale ja krzyczę do nich: pozwolił mi porucznik z Florynki, proszę do niego dzwonić. Oni do mnie, jutro masz się u nas zgłosić, to moje opowiadanie było na stacji w Grybowie. Przychodzę do tego Suchonia potem, wóz - Suchoń mówi do mnie - możesz se rozładować, a ja mu na to, dziękuję Suchoń, zeżarłeś po Żydach, miałeś ochotę na mego konia i wóz. Pojechałem na Niżna Białą koło Grybowa do pana Kroka i opowiedziałem im o znajomym mego brata Suchoniu, oni rozładowali mój wóz, dali klaczy jeść, zaprowadzili mnie do mieszkania, dali coś do jedzenia, opowiadali mi gorszą sprawę, że z Florynki dusili się ludzie w wagonie i jeden wyrąbał drzwi siekierą w wagonie, prawdopodobnie Ciołka.

W drugi dzień z rana przyjechało wojsko do naszej wioski Wawrzki, przyszło do mego domu dwóch żołnierzy, siadło koło stołu i nic nie rozmawiają ani z nami, ani z sobą, na pewno przeżywali tę naszą tragedię, bo oni też mieli swoje rodzinne domy; żona miała ugotowaną kurę, pokroiła

i ja daję im tę kurę, żeby jedli, a oni nie chcieli jeść; ja do nich mówię: jedzcie chłopcy, my do was nie mamy żalu, widzę po was, że wy przeżywacie to, że przysłicie wyganiać nas z naszego domu, ja też byłem w wojsku i na wojnie i znam się na wojskowych przepisach, proszę was, jedzcie, bo my już nie będziemy jedli; nie wiem, co na jednego tak podziałało, co chusteczką wycierał oczy, czy to, że nas przysli wyganiać, a ja chcę ich ugościć, a potem jedli. Przyjechał Polak Masztafiak Franek krowami, aby mi pomóc się wywieźć, ale nam dał porucznik furmanki konne, dałem coś do jedzenia im, a koniom owsa, przylatuje furman do mieszkania i mówi do mnie: gospodarzu przyszedł jakiś chłopiec, wysypał owies i zabrał miednicę sprzed koni i ciężki młot, odebrałem mu miednicę, a młot mu ostawiłem. Po naszym wysiedleniu był przewodniczącym narodowej rady i ze sołtysem Stanisławem wycięli nasz las gromadzki.

Jak my opuszczali swoje domy, ludzie płakali, całowali ziemię, a ja poszedłem przed naszą cerkiew i klęknąłem na progu cerkwi, bo już była zamknięta i prosiłem Boga, żeby mnie obronił od dalszego prześladowania, a o obozie Jaworzno jeszcze my nic nie wiedzieli. Wychodzimy na wyżni koniec wsi, przyszły trzy dziewczyny Polki z wioski Ropa, Janiżanki, pożegnać się z nami, z nami się żegnały i bardzo płakały, że nas taka niesprawiedliwość, taki zły czyn spotkał; oni chodzili, jak i inne polskie dzieci do naszej szkoły, przychodzili na nasze zabawy. Jak Kasi Janiga syn, Marian Janiga, często pisze w gazecie gorlickiej o mnie i o naszych łemkach bardzo przyjaźnie, jak pan profesor Janiga nazywa ciepło. Przyjechali my do Grybowa, kazali się rozładować na placu wiecowym, gdzie był spalony tartak, za jakiś czas ładować na nowo na wozy i wieźć na stację. Po mnie przyszła z milicją Maria Kamińska, u niej zostawiłem brony do uprawy i płużek, i radełki do ziemniaków, i ktoś to wszystko ukradł, ona bała się, aby ją nie posądzili, że ona se te moje rzeczy przywłaszczyła, ja na milicji oświadczyłem, że panią Kamińska nie posądzam o przywłaszczenie moich rzeczy. Aż na milicji od komendanta Gucwy dowiedziałem się, którzy będą aresztowani, podał mi wszystkich nazwiska, a mnie i memu bratu wypisał dobre zaświadczenia, że jesteśmy spokojnymi obywatelami, gmina wystawiła nam świadectwa weryfikacyjne, które nam ani nie pomogło, ani nie poszkodziło.

Jak tylko wróciłem na stację, przekazałem to, kogo mają aresztować każdemu osobiście. Wojsko każe nam ładować wozy na wagon, jak my załadowali, porucznik krzyczy rozładować, bo źle załadowano, rozładowali

my, znów na komendę wojskową załadować, wściekli się na nas, bo żołnierze chcieli porwać owcę i ja im tę owcę odebrałem; tak nas tym ładowaniem przemęczyli, jak my przyszli do wagonu, zdawało się że nam serce wyskoczy z piersi. Ładowali nas do brudnych wagonów po dwie rodziny, z bydłem i paczkami, w jednym końcu wagonu miał jeden bydlę, a w drugim końcu wagonu drugi, na środku paczki, a na nich siedziały dzieci, chorzy ludzie i ciężarne kobiety. Jeden wagon w naszym transporcie był niekryty, jechało w nim dwie rodziny, Mikołaj Ciołka z rodziną, drugiej

rodziny nazwiska nie pamiętam, zrobili se dach prowizoryczny i ten dach spadł na dzieci, na te, które jechały w tym wagonie, Tacjannie Ciołka tak uszkodziło kark, co ze dwa miesiące głową nie ruszyła, ona jeszcze żyje koło Szprotawy, wieś Dzikowice. Wróćę jeszcze, jak nas w Grybowie do wagonów załadowali; mego sąsiada Chomiaka Romana załadowali do innego transportu z Boguzowej, my poszliśmy się z nim pożegnać, a porucznik miał nahaje z liny, tak bił tych, co się poszli żegnać, aż im skórę na plecach porozcinał, ja skoczyłem za żywoptot i nie dostałem tą nahajką.

Zacząto się aresztowanie i to starszych mężczyzn, mego sąsiada inwalidę z pierwszej wojny światowej, miał przestrelone ramię na froncie włoskim, a jego dwóch synów było na froncie w sowieckiej armii, Bazyl i Jarosław. Zabrali z transportu w Grybowie Koflę Gabryjela, Andrzeja Ciołka, Papacza Jana, a z domu zabrali Michała Leszczyńskiego i Koflę, a jeszcze zabrali Marię Leszko, tak ją wykończyli, że zwariowała, jak ją puścili, to się błąkała, bo nie wiedziała, gdzie są jej rodzice, rozpoznał ją jeden z naszych i przyprowadził ją do jej rodziców, ale tego nie wiem, jak ją długo trzymali, a o tych czterech aresztowanych żony nic nie wiedziały przeszło dwa miesiące, co się z nimi stało, ale o tym napiszę w dalszej mojej wypowiedzi, a teraz wróćę do naszej podróży, co nam najbardziej utrudniało prawie dwutygodniową podróż.

Najgorzej nam dokuczał smród w wagonach i ryczenie bydła, bo było głodne, bośmy dla niego nie mieli karmy, mój brat miał koniczynę w kopach, zajechała Kosiby Wawrzka z Ropy i zabrała tę koniczynę i on nie miał czym karmić bydła, a miał 5 sztuk, dwa woły duże i trzy krowy i coś 5 owiec, a paszy dla nich miał bardzo mało. Konduktora, raczej maszynistę, mieli my bardzo dobrego człowieka, mówił: ratujcie bydło, bo wam wyginie, i gdzie widział słomę lub siano zatrzymywał pociąg, a ludzie lecieli i brali słomę i siano z kup, i mego brata o mało nie przebił widłami,

Str.43

tylko brat krzyknął: człowieku, proś Boga, aby cię to nie spotkało co i nas, ten człowiek opuścił widły, wyskoczyła w biegu owca z wagonu, maszynista zauważył i zatrzymał pociąg i owcę my złapali. Gdzie była pompa, co używali maszyniści, lecieli my z wagonów, brali wodę i poili my inwentarz i pili ludzie wodę, bo było już gorąco, jedli my tylko to, co z domu my zabrali, suche potrawy, nawet pieczone ziemniaki. Przyjechali my do Oświęcimia, nasz transport się zatrzymał, żołnierze prowadzili ludzi, mężczyznę i kobietę, którzy ostali od swego transportu, płakali i tak, i kazali krzyczeć, dwadzieścia kijów żem dostał, dlatego żem został; jak później się dowiedziałem, byli to ludzie z Piorunki koło Krynicy o nazwisku Gomułki. Przychodzi żołnierz z naszego transportu i zabiera nas czterech po otręby dla bydła, idziemy, nadchodzi porucznik i wyczytuje mnie i mego brata; napiszę Panom, jakie wrażenie zrobiło na tych dwóch, bo oni byli dobrymi naszymi sąsiadami, okropnie pobladły i zaczęły płakać. Prowadzi nas ten porucznik do jednego domu, a tam w tym domu był bardzo duży balkon, a na nim okropna kolejka ludzi nie znanych mi, tylko jednego znałem, był nim grekokatolicki ksiądz z Brunar o nazwisku Werhun. A w dole w garażu były zamknięte dzieci, płakały i krzyczały: mamó, mamó i pchały paluszki pod drzwi, było

ich widać, ubowiec krzyknął cicho i dzieci ucichły, a potem znów: mamó, mamó; nie wiem, gdzie ich te mamy były, bo ich nigdzie nie było widać, bo na balkonie byli tylko sami mężczyźni.

Szanowni Panowie i Panie, piszę to, co utkwilo w mojej młodej pamięci. Z nami był żołnierz, ten co prowadził nas po te otręby, mówię do niego, w tym a tym wagonie jest moja żona Chomiak Zofia z małym synkiem, powiedz pan, jakby mnie zatrzymali, żeby wszystko posprzedawała i pilnowała syna i sama siebie, bo była w ciąży 7 miesięcy. Ten żołnierz mówi do mnie, oni tylko pana przestuchują i puszcza, jeżeliby pana zatrzymali, to spełnię pana życzenia, bo ja będę do końca z wami i muszę wiedzieć, jak by was zatrzymali, bo my za was odpowiadamy. Wezwał mnie do swego biura młody porucznik, pyta się mnie, byłeś w bandzie UPA, ja na to, nie byłem, panie poruczniku, byłem w polskim wojsku i byłem na wojnie 39 roku, on do mnie, pokaż dokumenty, zabrał ode mnie cały portfel, jak zobaczył moje zdjęcie wojskowe, mówi, a to co za skurwysyn, a ja mówię, to ja jestem panie poruczniku, uderzył mnie dwa razy w twarz i krzyknął, wynoś się i chciał mnie kopnąć w tyłek, ja wyskoczył, a on tak kopnął w drzwi, że zrobił się huk, wszyscy się na

Str.44

balkonie zaniepokoiłi, ja wyskoczyłem jak z procy. A te otręby, cośmy po nie szli, sprzedawało potem wojsko w Szprotawie. Przyjechali my do Wrocławia, całą noc stali my na stacji, okropna plaga komarów nas naleciała, ludzie paliły papierosy i szmaty, bo się nie mogły od nich odegnąć, a najgorsze, raczej najgorzej miały kobiety z gołymi nogami i dzieci, potem po nogach miały same strupy, a mego brata chłopak zachorował na malarię. Przyjeżdżamy do Szprotawy, na stacji rozdzielają ludzi, rozdzielają rodziny, płacz, lament, kobiety te, co im poaresztowali mężów, zabierają cudze wozy, bo to wszystko było załadowane na jeden wagon, a tym transportem jechali ludzie z dwóch wiosek. Mojej żony siostra, co jej zabrali męża do obozu w Jaworznie, składała rzeczy na wóz, a na worek ze zbożem posadziła chłopca czteroletniego i jechała z górki krowami, chłopak padał z wozu i złapał się worka i spadł pod wóz, a worek ze zbożem na niego i go przejechał załadowany wóz i było szczęście w nieszczęściu, że chłopak wyszedł cało, a dziś jest ważną osobą, nie podaję jego nazwiska, bo się go nie pytałem, czy pozwoli i nie mam prawa.

Jesteśmy bardzo sponiewierani podróżą, przyjechali my do wioski Wiechlice, mieli my przydzielone domy pod lasem, a że było to wieczorem i padał silny deszcz i zatrzymaliśmy się we wiosce. Wyszła kobieta o nazwisku Katarzyna Wiewiórka i mówi, dajcie te dzieci, bo wam się przeziębą, bo były przemoknięte, i zabrała te nasze dzieci, nakarmiła i obsuszyła. Ja z bratem poszli my zobaczyć na te domy, które były nam przydzielone; były bardzo zniszczone, nie było okien, nie było drzwi, ale były piece, były podłogi, myślimy sobie, aby jeden pokoik porychtować, a potem to jakoś będzie. Zachodzimy na drugi dzień do tych przydzielonych mieszkań, a tam już zwywalane piece, zrąbane podłogi, zwywalane futryny, jak przyszli my z powrotem, jak to wszystko opowiedziałem żonie, żona mówi do mnie, ja tam nie pójde za żadne

skarby, jak ty gdzieś pójdziesz, to ja sama nie zostanę w domu, i zmuszeniśmy byli prosić się na komurstwo, jaż teściami zamieszkałem u Urbaniaka Józefa, a mój brat u Krusakina Jana. Na drugi dzień przychodzą ludzie widzieć tych wygnańców, tych przestępców, przychodzi Marcin Burzyński i tak nas przywitał: a wy jeszcze żyjecie, was siekierą zrząbać i w piecu spalić; kobiety zaczęły płakać, a ta Krusakina żona mówi do Burzyńskiego: idź, bo ci gorącą wodą łeb sparzę, co ty chcesz od tych ludzi. Przychodzą, zaglądają do obory, się kłóca, brat się pyta Krusakina, czemu oni się tak kłóca, a wiesz Władek, wkrótce wam mają zabierać bydło, a ty jak uważasz, to

Str.45

byś dał większą sztukę, a brat na to, nic nikomu nie daję, a jak zabiorą, niech się udławiają. Po jakimś czasie poszedłem do PUR-u (Państwowy Urząd Repatriacyjny) i mówię: panowie, przydzielcie nam jakieś mieszkanie, bo jesteśmy na komurstawie i zawadzamy ludziom. W tym PURze był urzędnikiem Aleksandrowicz i Pietras, oba dobrzy ludzie. Pietras mówi, ja tam jutro przyjdę i może coś poszukamy, przyszedł i tej kobiecie, co jej męża zabrali do obozu, nasamprzód przydzielił dom, bo ten dom był tylko jednemu obiecany, a w nim nie mieszkał - to trochę się źle wypowiedziałem, dał ten dom kobiecie, co jej męża zabrali do obozu, a mnie kazał siadać do domu, ale to był dom robotniczy, nie było do niego ani stodoły, ani pola, tylko pomieszczenie na jedną krowę, a jeszcze bez okien, drzwi, bez pieców i zerwana instalacja elektryczna, dom był zniszczony 40 procent. I znów zaczęły się nowe bardzo przykre sprawy, raczej kłopoty. Potem, jak przyjechał do nas ten pan z PUR-u, pan Pietras, zaraz po jego odjeździe zebrali się nasi panowie i ormowcy i uradzili, aby mnie i mego brata dać aresztować; taki mądrala Cholewka mówi do mnie, ładnie się robi w naszej wiosce, ładnie, a ja na to, co takiego się robi, sprowadzacie urzędników. Uchwalili, aby nas oddać na UB, przez noc brata pilnuje ormowiec Krusakin, ten, co brat u niego na komurstawie, a mnie i Urbaniak, ale on nie był ormowcem, też z teściem byli my u niego na komornym, śpimy z panem Urbaniakiem na górze w słomie, ja mówię do Urbaniaka: panie Józiu, nie śpij pan, bo ci w nocy ucieknę, a ciebie rano ormowce powieszają, on na to, Chomiak, nie wygłupiaj się, ja cię nie pilnuję; nie wiem, czy się nie zrywał ze spania, bo rano mi nic o tym nie spomniał, on był dobry człowiek, a jego ojciec jeszcze lepszy, ale ten Józio miał żonę bardzo niegospodarną i trochę niemądrą, nasypała pszenicy zatrutej i zatruto się parę kur.

Rano po tym jak nas pilnowali, żebyśmy gdzieś nie puciekali, przychodzą urzędnicy z wioski, a z nimi ormowce i mówią do mnie, zaprzęgaj konia, jedziemy na UB, a ja mówię do nich, a jak chcecie to zaprzęgajcie swojego konia, i ormowiec Krusakin zaprzęgnął konia, co dostał go z UNRY (właśc. UNRRA - United Nations Relief and Rehabilitation Administration (ang.), Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Odbudowy), brata puścili, a mnie jako głównego przestępcę zawieźli do PUR-u i zaczęli pyskować na urzędników, że nam przydzielają domy, bo oni myśleli, że podzielą się naszym bydłem, a my będziemy za darmo u nich pracować, bo już tak się zaczęło, brali nasze kobiety, jak nas nie

było w domu, robili u nich; jak pisał Kwilecki w swojej pracy w gazecie „Nadodrze”. Łemkowie robili u Polaków za miskę zupy. Ale proszę państwa, wróć jeszcze do tego PUR-u, jak ci ormowcy zaczęli pyskować, że przychodzą przydzielać nam mieszkania, to Aleksandrowicz tak powie-dział: a co wy se myślicie, a czy oni nie ludzie, też oni są tacy sami jak i wy, a czy oni nie mają prawa przychodzić do nas, a my do nich, mnie puścili do domu, a sami poszli na ube, aby nas dać aresztować, przychodzą na ube i ubowcy się pytają, a co oni takiego zrobili, że każecie ich aresztować, domagają się domów i pola, a ubowiec na to, też oni tam mieli swoje gospodarstwa, a oni też nie są wszyscy winni, macie im przydzielić pola. Jak przyjechali te ormowcy, to ten Kruszakin nam to wszystko opowie-dział, co im mówiła ubezpieka. Na drugi dzień przychodzą urzędnicy i ORMÓ i mówią do nas: chodźcie, przydzielimy wam ziemi, a byli to nazwiska Melecha Władysław, Burzyński Jan, ormowiec Chlewka Jan, radny gminy Kruszakin Jan ormowiec; wyprowadzili nas na pole, może całą wojnę nie było orane, ale ten majątek miała w użytkowaniu sowiecka armia, namierzyli nam tej ziemi obum z bratem dwa ha i zaorali my to pole wołami i koniem, bo to się bardzo ciężko orało, bo to była gleba glina. Jak my zaorali to pole, nie pamiętam, ile dni orali my to pole, z naszej wioski napisali do dowództwa do Legnicy sowieckiego, że ziemia leży odłogiem, a im nie dają orać, jak to otrzymał naczelnik tego majątku, zabierał wszystką ziemię ludziom, a między innymi i nam na naszym zaoranym polu wbił tablicę z napisem: nieźlia wstupać, eto chazajajstwienna ziemia, przepadła nasza praca. To było latem 1947 r., orkę rychtowali my pod jesienią zasiewy. Brata Kruszakin wygnał, jak mu nie dał woła, zaznaczam, że Kruszakin miał dwa domy mieszkalne, dużą oborę i stodołę i miał tylko jednego konia, którego dostał z UNRY. Brat z rodziną przyszedł do mnie i zamieszkał w małym pokoiku, a bydło trzymał w oborze z moim teściem, znów duży kłopot jak dla jednego, tak dla drugiego, bo była obora za mała. Były w naszej wiosce Wiechlice funduszowskie łąki i nimi dzieliły, były my oba z bratem i ten ksiądz grekokatolicki o nazwisku Werhun, też był na komurstwie u jednego w Wiechlicach; nam nie przydzieliły tych łąk ani jemu. Ja mówię do naszych urzędników: to oni nie mają bydła Pakuła i Uramek, co im dali łąki, oni na to - nie mają, ale będą mieli; poszli my do domu z niczym. Ten Uramek był umyślowo chory, a Pakuła bardzo podły rolnik i podły człowiek, co pił nawet denaturat, przydzieliły mu 7 ha tych funduszowskich łąk, mówił, tylko mi

podajcie rękę, a ja już pójdę dalej; dali mu pożyczkę, kupił dwie jałówki i szkapinę, szkapina mu zdechła, a jałoweczki sprzedał, znów prosi, aby mu podały rękę, podatku nie płacił, planu nie oddawał i sąsiadka na niego naskarżyła w gminie, że nie płaci podatku i nie daje planu i ludziom jeszcze odradza, aby nie płaciły podatku.

Przyszedł do mnie przewodniczący gromadzkiej rady narodowej o nazwisku Kończalski Adam i jeszcze jeden urzędnik, którego nazwisko zapomniałem, a ja wtenczas byłem radnym Gromadzkiej Rady Narodowej, odczytali te zarzuty na

biednego Pakułę i mówią: chodź pan, idziemy Pakułę wysiedlić, znaczy wygnać z domu, który zajmował, a ja na to: proszę panów, proszę mi pozwolić się zastanowić, bo to jest bardzo poważna sprawa, to było w moim domu; po chwili mówią do nich: panowie, to jest nieprawda, że ludziom Pakuła odradza, a należności z gospodarstwa że nie daje, bo nic biedny nie ma, choćby do niego sam Bierut przyszedł, to by nie żądał, bo nie ma z czego, a wysiedlać człowieka z domu, to jest sprawa bardzo bolesna, bo ja to przeżywałem, jak mnie z domu wygnali, ja już wam panowie na to nie pójdę, ten pan, co był z przewodniczącym, tak powiedział: jak Chomiak przyjdzie ze sprawą, to tak go pan załatw, jak on nas załatwił; taki wtenczas był porządek i takie prawo. 1947 i pod zimę nic my nie posiali, bo nie mieli my pola. Na wiosnę poszli 1948 r. my na drugą wioskę do Dzikowie, tam były 3 rodziny łemkowskie i prosimy: może macie kawałek pola, bo wiosna, a my nie mamy ani kawałka ziemi, oni mówią, o to jest fundusz, możecie orać, orzemy, tego pola było około 1 ha, jak już kończymy orać, wychodzi Sokołowski Michał: kto wam pozwolił orać, ja pokazuję, ot te ludzie, mówię do niego, jak będziesz miał żniwa, to panu przydziemy pomoc, a po żniwach panu pole opuszczamy, to był odłóg, on nas różnie zwyzywał, brat mówi do mnie, widzisz, jak jest łachudra, ludzi naubliża, a nie ma się komu pożalić, Sokołowski wyjeżdża dwoma parami koni, puszcza brony, a potem siewnik i znowu przepadła nasza robota. Przyjeżdżamy do domu, a żona płacze, co znów się stało, ona mówi: to pastwisko, co sołtys nam przydzielił, poszło czterech jedną parą końmi i zaorały, i zasiały to pole; sołtys nazywał się Burzyński, kuzyn tego ormowca, był dobry człowiek, ale ten jego kuzyn Janek mu zagroził, że jak będzie Łemkom pomagał, to go zastrzeli, sołtys zgłosił to na milicji i panu Jankowi zabrali karabin. Nie mamy ani gdzie siać, ani gdzie paść bydło. Poszedłem, jak było zebranie we wsi i mówię: dajcie nam chociaż 20 ary pod ziemniaki,

Str.48

bo już drugi rok nie mamy ziemi, a Wacław Mucha mówi: damy ci ziemi pod mogiłę, a potem jego kolega po pijanemu poderżnął mu gardło i jemu grabarz dał ziemi pod mogiłę. Poszli my do gminy i prosimy: panie sekretarzu, przydzielcie nam ziemi, bo już drugi rok nie mamy gdzie siać, a sekretarz Bartoszewski mówi nam: Polska dla Polaków, a nie was wrogów. Poszedłem do Szprotawy do kościelnego pana Gałaczyńskiego, on zarządzał kościelną ziemią, on dał mi ugoru kawałek, zaorałem i zasiałem owies, zajechał Trembacz z Henrykowa, puścił kultywator i zasiał se wykę na moim owsie. W mojej wiosce koło lotniska był plac ćwiczeń, poszli my z bratem orać go, wyorywały się różne kule mniejsze i różne ładunki, mógł nastąpić wybuch, a z nim śmierć. Boże mój, a my mieli w domu po 10 ha, w tym brat miał 4 ha lasu, duży sad i pasiekę, pole wszystko obsiane i obsadzone, a ja miałem 10 ha, w tym 4 ha grubego lasu, 1 ha sadu i pasiekę składającą się z 35 uli rodzin pszczelich. Proszę państwa, człowiek w takie czasy, jak straci swój dom, to jest taki jak ten pies, co go podły gospodarz odgoni od domu, kto tylko chce, za nim rzuci kamieniem i powie - jakby coś wartął, to by go od domu nie odegnali.

A teraz szanowni państwo, szanowna komisjo, chcę wam napisać, jak jeździli my po siano, kosili my łąki odległe ponad 10 kilometrów, wyjeżdżali my na czas rano, a

wracali o północy, łąki kosily się bardzo ciężko, bo były nie koszone może przez całą wojnę, były to łąki leśne, w tym roku były okropne upały, a my byli z innego klimatu, we dwóch wypili my 10 litrów wody, którą brali my ze sobą. Jak już posiałem zboże, składałem go w pustej fabryczce i kablami musiałem doprowadzać prąd, miałem z tą młocką okropny kłopot, konia trzymałem w szopie, okrywałem go kołdrą zimową porą, żeby się nie przeziębził. W domu miałem czeski kierat do młocki, dużą młocarnię, wialnię, sieczkarnię i żarna na kierat, teść miał przybory stolarskie i był kołodziejem, robił wozy, wszystko zostało na miejscu. Teść umarł w 1957 roku, miał 72 lata, a teściowa żyła do 88 lat, od 75 lat już traciła pamięć i mieli my z nią duży kłopot, miała powiązane trzy tobołki i rychtowała się do domu i mówiła: po co ja będę siedziała w cudzym domu, jak ja tam pobudowała dom. Budowali w 38 roku dom kryty dachówką cementową, szalowany i malowany, miał dwa ganki, w ładnym miejscu.

A teraz napiszę o bracie; brat przeprowadził się jesienią 48 roku do takiego domu, co uznany do rozbiórki, jak zebrał zboże 49 roku, zdał plan, jaki mu przeznaczili, ale im w powiecie brakowało zboża do planu, przyjechali

Str.49

i zabrali naszym Łemkom zboże, bratu tak powiedzieli: kułak będzie magazynował zboże, a górnik w kopalni puchnie. Mego kuzyna żona, jak im zabrali zboże, tak płakała, że ze dwa tygodnie nie przemówiła na głos.

Jak moje dzieci zaczęły chodzić do szkoły, miałem z nim okropny kłopot, syn przychodził pobity, pokrwawiony, dzieci rzuciły mu czapeczkę do błota i po niej deptały, syn wracał krzakami, bo drogą bał się iść, odprowadzałem go do szkoły i po niego my wychodzili, bo szkoła była na drugiej wsi. Myślę, co robić; chodziłem do szkoły z zażaleniem, nic nie pomagało, aż poszedłem z zażaleniem do partii, opowiedziałem tę przykrą sprawę, z partii przyjechali do mnie i żony się wypyтали, które dzieci najwięcej dokuczają, poszli do ich rodziców i ostro zagrozili, że jak się to jeszcze powtórzy, to ich dzieci zabiorą do poprawczaka, pojechali do szkoły do nauczycieli i to pomogło, że dzieciak nie przychodził mi pobity.

Jednego razu, było to jeszcze za Bieruta, oskarżył kumoter kumotra do „Fali 49” i moje nazwisko podpisał. Przychodzi do mnie ubowiec i mówi: niech się mąż do nas zgłosi; przychodzę na ube, a tam skarga, raczej doniesienie na trzech kartkach od zeszytu; ja mówię do nich, ja nie pisałem to oskarżenie, a kto to pisał, nie wiem, może ten, co zazdrości temu człowiekowi; pytają, a znasz pisać, znam, dali mi długopis, piszę, podpisz się, podpisałem się 20 razy i ubowiec mówi do mnie, obywatel jest wolny, możesz iść do domu. Wieczorem zaszedłem do tego oskarżonego i mu wszystko opowiedziałem, o co jest oskarżony, bo mi to ubowiec odczytał to oskarżenie, ten bardzo się tym zaniepokoił, ale mi podziękował, że mi ostrzegł.

Była u nas zabawa taneczna, a moja żona lubiała se potańczyć, pośpiewać, mówi do mnie: Roman, idź kup bilety, ja podoję krowy i pójdziemy zajrzeć na tę zabawę; już kupiłem bilety, a była ze mną moja mała córeczka, jeden organizator zabawy

powiedział do mnie: a ty bandyto chcesz się z nami bawić, wyście zabili nam Świerczewskiego, ta moja mała córeczka zrozumiała tę wypowiedź i mówi: mama, tam jeden pan mówił, że tato zabił Świerczewskiego, żona się rozplakała i powiedziała: niech się bawią, a jedna kobieta to słyszała i mówi do mnie: Chomiak, skarż, ja ci pójdę za świadka, a ja ani nie skarżyłem, ani więcej my nie poszli na ich zabawy, a my byli młodzi ludzie. Potem ten pan o nazwisku Janek B. pokradł i siedział w areszcie, a u niego było dużo dzieci i duża bieda. Moja żona nosiła im tłuszcz i mąkę, bo jej było żal dzieci, to Janek po pijanemu

Str.50

powiedział do mego brata: ja Romanowi, twemu bratu, tyle się nadokuczałem, a jego żona moim dzieciom przynosiła żywność, a moi bracia moim dzieciom nic nie pomogli; ten pan Janek B. to był ten ormowiec, co o nim pisałem na samym początku mego konkursu. I dużo razy przychodził do mnie pożyczać pieniędzy, tak nas obu dola i niedola potoczyła.

Po 1956 roku zaczęli my pisać prośby o zwrot naszych gospodarstw, wciąż nam na nasze prośby odpowiadano, że nasze gospodarstwa objęte dekretem 49 roku i rozdzielone osadnikom. Wysyłam wam tę kartę wysiedleńczą, raczej odbitkę, czym nas władza ludowa pokwitowała za nasz majątek, za naszą pracę. A teraz mieszkamy z żoną w mieszkaniu spółdzielczym, a brat czeka w kolejce na dom starców. Szanowni państwo, nie byłoby życie ciekawe, jakby nie było różnych przygód, a ja ich miałem na wojnie i po wojnie, byłem obrabowany przez okupanta, mój teść, jak się na mnie pogniewał, to tak powiedział: taki jesteś gospodarz, co ci ostatnią krowę skonfiskowali; rabowała mnie polska banda rabunkowa, rabowało rosyjskie wojsko, rabowała na parę razy ukraińska partyzantka, na ostatku zabrała mi jałówkę i to może mnie uratowało, że mnie ludowa władza nie zabrała do obozu w Jaworznie: jak dałem znać wieczorem do wojska, że UPA zabrała mi jałówkę, to przyszli, jak się dzień robił i wypchali wartę nasamprzód. A potem władza ludowa zrabowała nam wszystko, nasz majątek, naszą kulturę, naszą wesołość. Już nie śpiewają łemkowskie dzieci, jak pasaty było na pastwiskach w naszych górach na Podkarpaciu na połoninach.

Szanowni państwo, jak dostałem odcinek z gazety - ogłoszenie na wspomnienie o naszej tragedii, bardzo się ucieszyłem, że będę mógł się podzielić z wami okropnymi kłopotami o naszym prześladowaniu. Konkurs pisał mi się bardzo ciężko, ponieważ opisałem w nim bardzo przykre zdarzenia, druga sprawa - od tej naszej tragedii minęło już dużo czasu, następna sprawa, aby moja wypowiedź była prawdziwa, abym kogoś nie posądził niesłusznie moją wypowiedzią. Pisałem po 1956 roku 3 konkursy, ale wtenczas byłem młody i to były dwa konkursy rolnicze, pisałem o hodowli bydła, owiec, pszczoł, drugi konkurs - sadzenie sadu, szczepienie i pielęgnowanie sadu, i jeden raz brałem (udział) w PZU w jednym konkursie. Jako wyróżnienie dostałem komplet naczyń kuchennych, 500 zł honorarium i książkę - wypowiedź między innymi i moją, drugi konkurs - dostałem radio, a trzeci - ciężkie brony uprawowe do roli.

Szanowni państwo, wszystko przeszło, wszystko minęło jak ten huragan,

Str.51

który wszystko niszczy na swej drodze, tylko pozostawia bardzo smutne wspomnienia po sobie w ludzkiej pamięci. Są łemkowskie wioski, że nie ma ani jednego domu, tylko podmurówki i na miedzach duże kupy kamienia, w Bielicznej stoi jeszcze cerkiewka, która jest symbolem i pamiątką, że tu żyli łemkowie. Nad naszymi łemkowskimi wioskami widnieje duża biała plama, a na niej napisano „Akcja Wiśła” z dopiskiem „dekret z dnia 27 lipca 1949 roku”. A to nie zniszczyła wojna, tylko podli ludzie, którzy nienawidzą nasz wschodni obrządek i naszą kulturę.

Str.52

Dziennik księdza

Przełożył Albin Pietras

Na tułaczce (Dziennik)

W pasie przyfrontowym

Środa, 20 IX 1944

Dnie stałego strachu zdaje się przeminęły, tylko nie wiedzieć na jak długo. Front odsunął się na 7-8 km od wsi i zdaje się, że z tego powodu bolszewicy nie strzelali na wieś - choć we wsi jest dużo wojska. Na przychodstwi (parafii) jest także bardzo dużo Niemców, którzy rabują i niszczą wszystko, co popadnie im w ręce. Nawet obrabowali cerkiew. Zabrali kielich, który używałem do Służby Bożej, łyżeczkę z tronu - do św. krzyż znad tronu, z szafy kilka obrusów i wiele innych rzeczy. Ubytku na razie nie potrafię ustalić.

Na polu kończą wykopywać moje ziemniaki. Wszystkie prośby, aby mi chociaż trochę zostawili, nie pomagają.

Czwartek, 21 IX 1944. Narodziny Przecz(ystej) Dziej(icy) Marii. Chociaż dzisiaj obchodziliśmy w naszym obrządku duże święto narodziny Przecz. Dziej. Marii, to jednak nie mogłem odprawić Służby Bożej. Przez wieś bez przerwy przejeżdża bardzo dużo wojska i można w każdej chwili spodziewać się bolszewickiego nalotu. Z tej przyczyny jest bardzo niebezpiecznie odprawiać Służbę Bożą w cerkwi.

Piątek-sobota, 22 IX - 23 IX 1944

W ostatnich dwóch dniach tylko na peryferiach wsi padały granaty. Kto strzelał, Niemcy czy bolszewicy, trudno się było zorientować. Kilkanaście

Str.53

kroków od naszej kryjówki wczoraj zrzucili z samolotu bombę, która nie zrobiła żadnej szkody.

Niedziela, 24 IX 1944

Dzisiaj - chociaż niedziela, nie mogłem pójść do cerkwi, aby odprawić Służbę Bożą. Sytuacja we wsi bardzo niepewna - dużo różnego rodzaju wojska. Stoi we wsi dużo dział, z których bez przerwy strzelają. Po południu niedaleko naszej kryjówki ustawiła się jedna bateria. Można spodziewać się, że bolszewicy ją odszukają i będą do niej strzelać. Uważałem pozostawanie tutaj za bardzo niebezpieczne. Zabrałem swoje rzeczy i tymczasowo zaniósłem je do piwnicy gazdy P. Bryndzy na Woli. Wieczorem wystrzelili bolszewicy na wieś w okolice plebanii kilka granatów.

Poniedziałek, 25 IX 1944

Ranitko przeniósłem się do piwnicy na plebanii, gdzie już wczoraj ulokował się dyrektor ze swoimi wnukami sierotami po Św. pamięci o. Szatoszowi. Na plebanii i w budynkach zastałem bardzo dużo wojska. W sadzie stały kuchnie i auta. Żołnierze w obejściu nawet dość możliwi, nawet niektórzy z nich dobrzy, szczególnie katolicy. W mieszkaniu i budynkach duży nieład. Na plebanii ruina, okna prawie wszystkie powybijane. Drzwi zabrano do okopów. W stodole zboże i siano rozgrabione. W odległości 200-300 metrów od plebanii w łozinach koło rzeki stoi ciężka artyleria, która bez przerwy tak silnie strzela, że już nie można wytrzymać.

Wtorek, 26 IX 1944

Dzisiaj rano przyszli z frontu na kwaterę - na plebanię - kilkudziesięciu żołnierzy bardzo zabitońców i zmęczonych. Niektórzy z nich bardzo niekulturalni, a może głupio zarozumiali, jak to często się zdarza wśród Niemców. Jak wszedłem do kuchni - jeden z żołnierzy zażądał ode mnie, abym przyniósł wodę i wymył cebrzyk. Na to odpowiedziałem mu, że tu wprawdzie jest kwatera dla żołnierzy, ale bez obsługi - czyli ja nie jestem ich sługą. Wtedy jeden, zdaje się kapitan, zaczął na mnie strasznie krzyczeć, powiedział, że chociaż jestem kapłanem - ale muszę go posłuchać, bo w Niemczech kapłani także pracują. Uważałem, że dłuższa z nim rozmowa jest niewłaściwa i wyszedłem z mieszkania. Nie dziwiłem się temu bardzo, bo soldateska już zwyrodniała w następstwie długotrwałej wojny.

Str.54

Środa, 27 IX 1944 Wozdwiżenie) Cześćn(ogo) Chr(ista) Dla mnie wielkie święto, ale nie mogłem odprawić Służby Bożej. Częściej pokazują się teraz bolszewickie samoloty i można w każdej chwili spodziewać się bombardowania. W południe ostrzelali bolszewicy z armat górny koniec wsi. Gdy trochę ucichła strzelanina - wybrałem się

w odwiedzinach do niektórych parafian. Zaszedłem na koniec wsi do kościelnego A. Stabczaka. Po drodze odwiedziłem kilka piwnic i starałem się pokrzepić wiernych na duchu. Wszyscy przygnębieni - niektórzy przyjmują wszystko jako karę za grzechy.

Czwartek, 28 IX 1944

Bolszewicy strzelają coraz częściej z armat na wieś, głównie strzelają w rejon, gdzie stoją działa. Kilka kul spadło bardzo blisko plebanii i koło cerkwi. Z tego powodu musimy prawie cały dzień siedzieć w piwnicy. Przykre takie życie.

Piątek, 29 IX 1944

Cały dzień z małymi przerwami strzelali bolszewicy na wieś z ciężkich armat. Bez przerwy - huk armat, trzask karabinów i karabinów maszynowych słychać było nad wsią. Jak się dowiedziałem od żołnierzy, bolszewicy rozpoczęli atak od strony Polan i przewalili front. Front znowu znacznie się zbliżył. W związku z tym dziś w nocy niespodziewanie wyjechało ze wsi i także z prychodstwa (parafii) dużo ciężkich aut i kuchni.

Znowu na linii frontu

Sobota 30 IX 1944

Front bardzo się zbliżył. Bolszewicy są we wsi Polany, a Niemcy okopali się w niedalekim lesie na tak zwanym Toczkanie, oddalonym od wsi o 1 1/2 km. Otóż pierwsza linia frontowa oddalona jest od nas 1,5-2 km, w związku z tym bolszewicka artyleria bez przerwy strzela na wieś.

Ciężkie dni grozy i strachu nastąpiły na nas. Nie ma spokojnej chwili, bezpiecznej. Bez przerwy słychać tylko świsty i wybuchy granatów. Życie nasze niepewne, w każdej chwili można spodziewać się śmierci.

Niedziela, 1 X 1944

Jak poprzednich dni, tak i dzisiaj, cały dzień, tylko z chwilowymi

Str.55

przerwami strzelali bolszewicy z armat na wieś. Kilka kul upadło obok cerkwi, a jedna pod samą plebanią. Nie słychać niemieckiej artylerii, która stała w łozinach, prawdopodobnie wczoraj odjechała. We wsi strzelają Niemcy tylko z czołgowych armat.

Poniedziałek-wtorek, 2 X - 3 X 1944

W ostatnich dwóch dniach wieś zatrwożona nowym nieszczęściem -władza wojskowa zapowiedziała ewakuację wsi. Wczoraj nawet dwóch wojskowych przeszło przez dwie dzielnice wsi, to znaczy Dyliwel i Doliny, i zapowiedzieli, aby dzisiejszego dnia (2 X) o godzinie 8 rano mieszkańcy tych trzech dzielnic zebrali się na końcu wsi Kąty, gdzie po nich przyjadą fury i odwiozą ich w wyznaczone dla ewakuacji miejsce. Oczywiście z wyznaczonych mieszkańców do ewakuacji nikt nie zjawił się w oznaczonym miejscu, a wszyscy się rozbiegli, gdzie kto mógł. Dużo uciekło do lasu, w potoki na pola. Dwadzieścia pięć osób przybiegło do mnie, abym przyjął ich do swej piwnicy. Chociaż na tyle osób nie było miejsca, bo już wczoraj przyjąłem do piwnicy dwie rodziny (diak i J. Mikołajczyk), które wygnali Niemcy, z piwnicy na leśniczówce, to nie mogłem tym parafianom odmówić, bo to przeważnie byli biedacy. Żołnierze przeznaczeni do przeprowadzenia ewakuacji ze wspomnianych dzielnic, zjawili się na dalszym końcu wsi, ale złowili tylko kilka osób. Co się z nimi stało, nie mam pewnych wieści. Dzisiaj, jak i w poprzednich dniach bolszewicy, strzelali na wieś z armat. Na „Działku” wieczorem spalił się dzisiaj dom prawdopodobnie A. Głoda (Hłod).

Środa-czwartek, 4 X - 5 X 1944

Sprawa ewakuacji nie przestaje trwożyć wsi. Na tak zwanym dolnym końcu wsi Niemcy także łowią ludzi i już wywieźli kilkadziesiąt osób. Oprócz tego jeżdżą po opuszczonych gospodarstwach i zabierają wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, a głównie odzież, zboże, bydło. Ogólnie w całej wsi bezwzględnie grabią wszystko, zabierają ostatnią krowę, konia, kury zrabowali już wcześniej. W ostatnich dwóch dniach bolszewicka artyleria nie przestaje bić po wsi. Prawie codziennie pali się. W pierwszych dniach tygodnia zginęło od bolszewickich granatów trzech młodych mężczyzn (2 żonaty i jeden wolnego stanu).

Piątek, 6 X 1944

Dzisiaj po południu, kiedy jedni ze współmieszkańców byli w kuchni,

Str.56

a inni w piwnicy - padł gdzieś niespodziewanie blisko plebanii granat. Za chwilę wszyscy z kuchni byli w piwnicy. Jeden z żołnierzy, który także skrył się do piwnicy, powiedział: pali się stajnia. Jak się okazało, granat upadł na stajnię i ją zapalił. Na tę wieść momentalnie wybiegł z piwnicy Dyrektor z sąsiadem i pobiegli do płonącej stajni, aby wypuścić krowy. Udało im się bydło uratować, ale nie mogli go wydrzeć z rąk Niemców. Tak samo kiedy zapaliły się chlewy. Granaty bez przerwy pękały wokół plebanii, a krowy stały w sadzie. Z tej okazji skorzystali szybko Niemcy i zabrali dwie krowy p. Dyrektora, a za kilka chwil inni żołnierze wzięli jedną krowę Łazorczyka. Wprawdzie za staraniem Niemców, jacy u nas kwaterowali, udało się odzyskać jedną krowę p. Dyrektora, ale pozostałe dwie przepadły raz na zawsze.

Sobota, 7 X 1944

Życie nasze na linii frontu bardzo przykre. Już czwarty tydzień mieszkamy w ziemiance lub piwnicy w niezwykle przykrych okolicznościach. W piwnicy na plebanii przebywa nas około 50 osób. Samych dzieci w wieku od 8 miesięcy do dziesiątego roku jest tu 20. Z tego powodu bardzo ciężko jest zachować higienę, powietrze w piwnicy bardzo zanieczyszczone. Gdy do piwnicy napcha się jeszcze żołnierzy, to robi się tak gorąco, że nie można oddychać. Oprócz tego nie ma spokoju ani w dzień, ani w nocy. W nocy choć mniej strzelają na wieś, to znowu dzieci nie dają spać. Bywa często tak, że kilka dzieci na raz zaczyna krzyczeć i to tak przeraźliwie, że rozrywa duszę gorzej od trzasku granatów. Ale to licho można by jeszcze znieść, gorsza sprawa jest w tym, że ciężko utrzymać tu higienę, w następstwie tego u mieszkańców naszej piwnicy pojawiają się wszy-partyzanci (jak ich nazywają żołnierze), co może być przyczyną różnych chorób. Ciężko teraz żyć, a końca temu lichu nie widać.

Niedziela, 8 X 1944

Sytuacja na froncie niejasna, wprawdzie front od kilku dni stoi w miejscu, ale jak będą się rozwijać wydarzenia dalej, trudno przewidzieć. Niemcy prawdopodobnie podciągają tu nowe siły, ale do decydujących walk prędko nie przyjdzie. Na razie prowadzą tu walki, jak to się mówi w wojennych komunikatach, lokalnego charakteru. Pomimo wszystko taki stan jest bardzo uciążliwy, szczególnie dla ludności cywilnej. Jest on nie do wytrzymania. Życie dla cywili w pasie przyfrontowym to piekło dla ziemi,

Str.57

może w niektórych przypadkach bardziej wystawione na niebezpieczeństwo śmierci jak żołnierzy. Jest ono wprost wyjęte spod wojennych praw. Wojskowość robi, co się jej podoba. Rabuje i znęca się nad nią bez miłosierdzia. Zrabowano prawie wszystko bydło, zboże i paszę i mimo to nie przestaje wojskowość terroryzować spokojnej ludności. Wyczerpaną głodem, nędzą posyłają do ciężkich robót pod gradem bolszewickich kul, zmuszają kopać okopy, nosić amunicję na sam front. Dzisiaj przyjechało do mojej piwnicy dwóch żołnierzy za robotnikami do okopów, a kiedy zdolni do pracy mężczyźni i kobiety puciekali, jeden Niemczyk chciał mnie wziąć do roboty, ale mnie także udało się uciec. Cały dzień z małymi przerwami strzelali bolszewicy akurat na wieś, dlatego nie wychodziliśmy prawie z piwnicy. Oł, takie nasze życie.

Przymusowa ewakuacja

Poniedziałek, 9 X 1944

Dziś o godzinie 11 przed południem przyjechał na koniu na prychodstwo niemiecki oficer i zsiadłszy z konia zaszedł na plebanię, do pokoju, gdzie kwaterował feldfobel. Nie przywiązywałem do tego większej uwagi, bo na plebanię bardzo często przychodzili różni wojskowi. Wkrótce po tym wyszedł jakiś Niemiec z mieszkania i powiedział mi, że wspomniany oficer chce ze mną rozmawiać. To już mnie trochę zaciekało. Kiedy przyszedłem do niego i zapytałem o co chodzi, odpowiedział mi, że władza wojskowa zarządziła ewakuację cywilnej ludności wsi Myscowa i dziś do godziny 4.20 po południu - mówił dalej - cała ludność ma opuścić wieś, kto mimo to nie opuści wsi, będzie rozstrzelany. Wojskowa władza nie przewiduje furmanek dla cywilnej ludności. Wszyscy cywile mają wyjść ze wsi, a w jaki sposób, to jego nie obchodzi. We wsi Kąty ma być zbiórka, a stamtąd udadzą się piechotą (bo koni we wsi już nikt prawie nie ma) do miejscowości przeznaczonej na ewakuację - do wsi Klęczany w pow. gorlickim. Ta wieść poraziła mnie jak grom, bo choć życie tu nie było lekkie, to jednak na ewakuację do polskiej wsi nie chciałem iść. Już dosyć wycierpiałem od polskich bandytów. Pomimo to zdecydowałem się w pierwszej chwili opuścić wieś, bo sprzeciwianie się władzy wojskowej i to jeszcze na froncie uważałem za niebezpieczne. Aby nie zostać ewakuowanym do obozu - postanowiłem wyjść ze wsi przed oznaczoną godziną.

Str.58

Zdecydowałem się pójść do wsi Desznica, gdzie mnie po śmierci bł. p. o. N..., wyznaczono na zarządzającego. Wieś ta była oddalona od Myscovej o 6-7 km. Ze względu na to, że czasu do ewakuacji pozostało bardzo mało, zacząłem się szybko pakować. Wszystkich rzeczy nie mogłem zabrać, konieczniejsze musiałem jednak wziąć w dalszą drogę, na wygnanie. Z niewymownym żalem zbierałem się na ewakuację - wygnanie. Nie chciałem już iść na dalsze wygnanie, bo choć mi tu przykro pod gradem kul, ale życie wygnańca wśród obcych ludzi jeszcze bardziej przykre.

W dalszą drogę na wygnanie

Wprawdzie we wsi Desznica - swoi ludzie i może tak gorzko nie odczuwałbym gorzkiej doli wygnańca, ale kto może zaręczyć, że i stąd nie wysiedlą za kilka dni ludności, bo ta wieś leży też w linii frontu. Bardzo przykre jest to moje wygnanie jeszcze z innych powodów, a to dlatego, że tą ciernistą drogę trzeba przejść piechotą.

Furmanek do ewakuacji władze odmówiły, trzeba iść piechotą i to bardzo złą drogą. Aby dojść do najbliższej wsi Kąty, trzeba przechodzić cztery razy przez rzekę. Spakowałem swoje najpotrzebniejsze rzeczy do dwóch dość dużych waliz, dwie torby i wężetek z pierzyną i poduszką. Jedyłą siłą - tragarzem tych pakunków byłem ja. Na Krystynę nie mogłem bardzo liczyć, bo ona jeszcze słaba i w ostatnich tygodniach jeszcze chora. Sobie przeznaczyłem walizki i torbę, Krystyna musiała wziąć pierzynę i poduszkę. Na koniec odwiedziłem jeszcze cerkiew i pomodliłem się - potem pożegnałem się z sąsiadami, jacy byli jeszcze w piwnicy, z żołnierzami i

ruszyłem w drogę. Już po kilkudziesięciu metrach drogi stwierdziłem, że z takim ciężarem daleko nie zajdę. Moje plecy wprost trzeszczały pod ciężarem, ręce zdawało się, że mi się urwą. Cały spocitem się. Szedłem powoli, a trzeba było iść szybko, bo bolszewicy już zaczęli silnie strzelać na wieś - z armat kule padały w rejon plebanii i w kierunku naszej drogi. Kiedy kule zaczęły padać coraz bliżej nas, a ja już dłużej nie mogłem iść, ogarnęła mnie rozpacz, co dalej robić. Krystyna zaczęła bardzo płakać i zaczęła mnie prosić, abym wszystko rzucił i ratowałem życie. Zostawić tego wszystkiego na drodze nie mogłem, bo stałbym się od razu całkowicie żebrakiem. Wśród takiego położenia bez wyjścia po 2 km drogi spotkałem wojskową furmankę, która jechała w kierunku Kąt. Niemiłosierny

Str.59

furman - Niemiec nie chciał mnie wziąć, ale kiedy zapłaciłem mu 50 marek, zgodził się podwieźć mnie do pierwszego domu w Kątach. Na moje nieszczęście nie jechałem długo z tym Niemcem, może 1-2 km, bo on wstąpiwszy do jednego domu z Niemcami - powiedział mi, że bym zlaził z furi, bo on ma wieść rannych. Znowu znalazłem się w głupiej i przykrej sytuacji. Mimo że bolszewicy strzelali po naszej drodze, krok za krokiem ruszyłem dalej. Z niewymownym trudem zaszedłem za wieś do potoczka, gdzie postanowiłem parę chwil przeczekać, bo właśnie nadlatywały sowieckie samoloty. W tym czasie nadszedł diak ze swoją rodziną. On także, aby nie dostać się do obozu, wybrał się do swego brata w Pielgrzymce. Diak był również bardzo zmęczony i zdenerwowany, bo po drodze Niemcy zabrali mu krowę, jeszcze go przy tym pobili. Kiedy po chwili samoloty odleciały, ruszyliśmy w dalszą drogę. Aby skrócić drogę, przeszliśmy rzekę w bród po kolana w wodzie. Ledwie przeszedłem kamienistą rzekę i z wielkim trudem wyszedłem na brzeg, w dalszej drodze, co krok, dwa musiałem odpoczywać. Kiedy zaszedłem do pierwszego domu w Kątach - powiedziałem sobie, że dalej nie idę ani kroku, choćby mi przyszło umrzeć w pustej chacie. Ludzie byli już stąd ewakuowani. Zaczęło się zmierzchać. Diak z rodziną poszedł dalej swoją drogą. Także pan Dyrektor wcześniej nas zostawił. Ja z Krystyną zostałem sam na ulicy i zaczął mnie ogarniać strach, co robić dalej, ale miłosierny Pan Bóg nie pozostawił mnie w tym ciężkim położeniu. Nadjechała furmanką Niemiec z Myscowej, który nam sam zaproponował, że weźmie nas do Desznicy, do której on jedzie. Ucieszyłem się nadzwyczajnie i bez przeszkód zajechałem pod plebanie w Desznicy. Ponieważ już wcześniej plebanie zajęto wojsko, postanowiłem iść do Marty, byłej gospodyni zmarłego ojca N. Ł. W tym czasie nadbiegła wnuczka pana Dyrektora, który też zatrzymał się u wspomnianej Marty na nocleg. Ze względu na brak miejsca u Marty poszedłem na nocleg z Krystyną do miejscowego nauczyciela. Wpierw umyłem się, bo byłem bardzo zabłocony i szybko poszedłem spać, ale zasnąć nie mogłem, byłem nadzwyczaj zmęczony wrażeniami, jakich doznałem w tym dniu. Były tak silne, że długo, długo, poza północ odganiały sen z moich oczu. Długo rozmyślałem o tym, co mnie dzisiaj spotkało. To straszny dla mnie dzień. Może jeden z najcięższych w moim życiu. W ogóle dłuższy czas niepokoiło mnie pytanie, dlaczego Pan Bóg tak ciężko mnie doświadcza już od kilku lat. Dopiero wtedy, gdy zdałem się na Bożą wolę: „Niech będzie wola Twoja”, zasnąłem.

Str.60

W parafii Desznica Pod frontem

Wtorek, 10 X 1944

Dzisiaj wstałem dość wcześnie, choć byłem bardzo zmęczony. Chciałem koniecznie jeszcze zastać i przywitać się z p. Dyrektorem, który zapowiadał, że dzisiaj raniutko wybiera się w dalszą drogę. Wspomniany p. Dyrektor jeszcze nie odszedł, dlatego że była ładna pogoda. Odprowadziłem go jakieś 5-7 kilometrów. To dobry człowiek, dlatego chciałem z nim, może już pod koniec porozmawiać. Odprowadziłem go aż do wsi Kotań i tam na leśniczówce pożegnałem się z nim i jego wnukami. Prawie siedem miesięcy mieszkałem razem z nimi i w końcu przyszedł czas, że musieliśmy rozstać się i to wśród takich przykrych okoliczności. Po siedmiu miesiącach duszpasterstwa we wsi Myscowa, zatrzymałem się dzisiaj na drugiej parafii, we wsi Desznica. Nie wiadomo, jak długo tu będę duszpasterzem, bo Desznica położona przed frontem i można także spodziewać się ewakuacji. Mimo wszystko postanowiłem się tutaj zatrzymać, póki to możliwe. Nie miałem już siły iść w dalszą drogę, ale i tu złe widoki na przyszłość. Plebanię zajęło wojsko i częściowo zniszczyło i dlatego muszę tułać się po ludziach. Nie tylko, że nie mam mieszkania, ale także nie mam żadnych środków do życia. W Myscovej musiałem wszystko zostawić. Zostałem więc tylko na łasce ludzi, ale na to miłosierdzie długo nie mogę liczyć, bo w parafii wiernych grekokatolików bardzo mało (w dwóch wsiach wszystkiego trzydzieści gospodarstw), większość mieszkańców prawosławna (odstępcy). Na razie zamieszkałem u diaka i u niego żywię się z Krystyną. Warunki tu pod względem wojennym jeszcze możliwe. Na razie bolszewicy jeszcze nie strzelają na wieś, dlatego można przynajmniej odetchnąć po takiej strasznej, nieprzerwanej twodze, jak to było w Myscovej.

Środa, 11 X 1944

Dzisiaj po miesięcznej przerwie odprawiłem pierwszą Służbę Bożą. Z przyczyny wojennych działań nie mogłem przez cały miesiąc odprawiać Służby Bożej w cerkwi. Było to dla mnie dużą przykrością. Teraz mam już duchowe zadowolenie, że mogę codziennie odprawiać Służbę Bożą. Dzisiejszą poświęciłem własnym problemom, żeby Bóg mnie nie opuszczał i krzepił w biedzie, jaką teraz znoszę. Dzisiaj wieczorem przyprowadzili

Str.61

Niemcy z Myscovej do Desznicy kilkadziesiąt osób, które złowili w pobliskich lasach. Byli to ludzie z dalszego końca wsi. Jak mi opowiadali - także wczoraj łapali Niemcy w tym lesie ludzi z Myscovej, a nawet kilku - biorąc ich za partyzantów - rozstrzelali. Moich nieszczęśliwych parafian spotkało straszne, nie przewidziane nieszczęście.

Czwartek-piątek, 12 X - 13 X 1944

Dnie przebiegają niezmiennie - w trosce o teraźniejszość. Front przebiega nadal przez wieś Myscowa, a przesunął się tylko prawdopodobnie w stronę Słowacji.

Sobota, 14 X 1944

Przed południem przyjechał do mnie z Myscovej „cerkiewnik” M. R. ze swoim synem W., którego wczoraj zranili bolszewicy granatem. Przyszedł z nimi do lekarza - do opatrunku. Bardzo się zdziwiłem, bo myślałem, że w Myscovej już nie ma całkiem ludzi. Tymczasem dowiedziałem się od wyżej wymienionego M. R., że cała ludność tzw. górnego końca Myscovej została na miejscu. Mieli oni powiedzieć władzy wojskowej, że lepiej im zginąć na miejscu, niż iść na wygnanie i na śmierć głodową. Co będzie dalej z tymi ludźmi, trudno przewidzieć.

Niedziela, 15 X 1944

Wszystkie nabożeństwa w naszej cerkwi odprawiłem dzisiaj o zwyczajnej porze bez przeszkody. Wiernych na nabożeństwach nie było dużo. Prawdopodobnie nie wszyscy parafianie wiedzą o moim przyjeździe do wsi, a może boją się iść do cerkwi, bo Niemcy łapią ludzi do okopów i innych prac. We wsi nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, chyba to, że przez nieuwagę Niemców spłonął jeden dom.

Poniedziałek-wtorek, 16 X - 17 X 1944

Życie w przyfrontowej strefie także niebezpieczne. Wprawdzie bolszewickie kule nie padają, a sięgają tylko peryferii. Ich samoloty często krążą nad nami i czasami bombardują. Na sąsiednie wsie: Myscowa, Polany, Krempna, Sowieni nadal strzelają z artylerii. W ostatnich dniach słychać silne armatnie strzały z okolicy słowackiej granicy. Prawdopodobnie bolszewicy chcą się tam przerwać. W pobliskim lesie oddalonym od mieszkania diaka (gdzie ja przebywałem) 500 m ustawiała się niemiecka artyleria,

Str.62

która strzelała, z małymi przerwami, prawie cały dzień i całą noc. Można się spodziewać, że bolszewicy będą szukać jej stanowisk.

Środa-czwartek, 18 X - 19 X 1944

Smutne moje życie; i teraz, i w niedalekiej przyszłości nie można się spodziewać niczego dobrego. Często, kiedy na polu dobra pogoda, wychodzę w pole na górę i długo patrzę się na wschód, przeniesiony myślą w swoje rodzinne, umiłowane strony, aż ciężko bywa wtedy na duszy! Na skrzydłach poleciałbym do rodzinnej wsi, aby jeszcze choć raz zobaczyć swoją rodzinę i strony, gdzie się urodziłem i wyrosłem. Na skrzydłach poleciałbym do swojej byłej parafii. St. Zł., gdzie przebywałem osiem lat i pozostawiłem swoje najpiękniejsze lata, zaznałem chwil radości i dużo dobrego! Przez to dobro zrosłem się z moją parafią. Jak bardzo życzyłbym sobie wrócić w te piękne okolice, jak bardzo chciałbym zobaczyć swoich dobrych przyjaciół, z jakimi żyłem i pracowałem! Bardzo często błagam miłosiernego Boga, ale czy On mnie

wysłucha? Może w tych górach, na tym gorzkim wygnaniu trzeba będzie zginąć. Nie contra spem spero, mam nadzieję, że Bóg wysłucha moich błagań, że przejdę krzyżową drogę i wrócę tam, gdzie zostawiłem swoje serce i duszę. Mam nadzieję, bo bez nadziei nie zniósłbym tych ciężkich krzyży.

Piątek-sobota, 20 X - 21 X 1944

W ostatnich dniach wieś zatrwożona wieścią, że będzie wkrótce ewakuacja. Wszyscy ludzie bardzo zdenerwowani i nic dziwnego, bo ewakuacja taka, jak ją przeprowadzają Niemcy, to wielkie nieszczęście dla ludności. Cały majątek, jaki pozostaje, Niemcy rabują i niszczą. Na przykład w Myscovej, jak opowiadają naoczni świadkowie, Niemcy zrabowali wszystko, co zastali w domu: odzież i w budynkach zboże. Jak zabrali wszystko, zaczęli rozbierać budynki, z których drzewo zabierali do okopów, a blachę z dachów ładowali na auta i wywozili, możliwe że do Niemiec. W swoim nienasyconym rabunku nie zostawili nawet miejscowej cerkwi. Kilka razy ją rabowali, a w ostatnim czasie sprofanowali, zbezczeszcili w niewymowny sposób.

Jak donosi naoczny świadek „cerkiewnik” M. R., zrabowali albo zniszczyli Niemcy wszystko, co jeszcze w cerkwi zostało. Zabrali kielichy, obrusy, dużo rzeczy poniszczyli, np. feretrony podarto i wyrzucono na drogę. Cerkiew we wnętrzu przedstawia straszną ruinę, straszny wygląd.

Str.63

Wspomniany cerkiewnik M. R. opowiada, że kiedy wszedł do cerkwi, to ona przedstawiała ruinę. Wygląd tak go przeraził, że on nie mógł w cerkwi odmówić nawet Ojciec nasz. Przykra to wieść, ale za to zbezczeszczenie musi być kara.

Niedziela, 22 X 1944

Ludzi na nabożeństwie, które dzisiaj odprawiłem, było bardzo mało. Przyczyna - to, że dużo ludzi zabrano do okopów, następnie wielki smutek, bo wszyscy bardzo zgnębieni. Spodziewają się wielkiego licha.

Poniedziałek, 23 X 1944

Znowu przymusowa ewakuacja. Rano o godzinie szóstej przyszli do mieszkania dwaj żołnierze i oświadczyli, że do dziesiątej godziny przed południem ludzie muszą ze swoimi rodzinami prędko opuścić wieś. Ci sami żołnierze przechodzili od domu do domu i tą straszną wieść roznosili po całej wsi. Było jasne, że władza wojskowa zarządziła przymusową ewakuację, jaką były objęte sąsiednie wsie: Desznica, Chałbów, Jaworze, Krempna i Kotań. Zgodnie z tym nakazem cała ludność pośpiesznie zaczęła zbierać się do drogi. Ja oczywiście zacząłem szybko pakować swoje rzeczy. Pojedną walizę musiałem iść aż do nauczyciela, do którego droga

wynosiła 1,5 kilometra. We wsi słychać było rozpaczliwy płacz. Od nauczyciela, który przed chwilą był u Ortskomendanta, dowiedziałem się, że od ewakuacji nie ma odwołania. Miejscowość, do jakiej mamy się przesiedlić, niewiadoma. Powiedziano tylko, że wymarsz nasz ma iść w kierunku Świątkowej. Wojskowa władza obiecała dać swoje furmanki mieszkańcom, którzy nie mają koni. Ze względu na taką sytuację, kiedy tylko powróciłem do domu, za kilkanaście minut byłem już gotowy do wyjazdu. Wojskowa żandarmeria, której była oddana sprawa ewakuacji, obiecała mi dać wspólną furmankę z jakimś wieśniakiem.

Przed godziną dziesiątą zaczęły wyjeżdżać furmanki w drogę. Co chwilę ich ilość zwiększała się. Kiedy przyjechała przeznaczona dla mnie, pożegnałem się z rodziną diaka i żołnierzami, którzy u nas kwaterowali. Wyniosłem swoje rzeczy na furę, na której już było dużo bagaży jakiegoś gazdy. Na drodze duży sznur furmanek zaprzęzonych w konie, krowy albo woły. Na drodze koło cerkwi zjechały się wszystkie furmanki ze wsi Chałbowa i część z Desznicy. Gnano drogą wiele bydła: krów, owiec i kóz. Na wozach jechali tylko słabi starcy, dzieci i chorzy. Wszyscy zdrowi

Str.64

musieli iść pieszo. Taki był rozkaz żandarmerii. Kiedy wyjechaliśmy za wieś, zobaczyłem olbrzymi sznur wozów i tłum ludzi idących drogą i dźwigających olbrzymie ciężary.

Szło dużo matek z małymi dziećmi na rękach, szli z trudem także ludzie starsi wiekiem, często upadając z osłabienia w błoto. Szedłem także ciężkim krokiem za furmanką, szedłem już trzeci raz w tym roku na wygnanie w niewiadomym kierunku.

W nieznaną drogę

Poniedziałek-wtorek, 23 X - 24 X 1944

Po dwóch tygodniach duszpasterstwa w Desznicy zmuszony byłem opuścić parafię i iść na wygnanie w nieznaną. Przykro mi pozostawić tę miejscowość, bo ludzie tutejsi wydają się niezli i można było przeżyć tu kilka miesięcy, a teraz trzeba iść na przymusową ewakuację, przed zimą, na chłód i głód. Ciężko doświadcza nas Bóg. Ciężka droga mnie czeka w nieznaną przyszłość. Kiedy zbliżyliśmy się do wsi Kotań, oddalonej od Desznicy o około 5 km, zobaczyliśmy w dole długi sznur wozów i stada bydła. To była ewakuacja ze wsi Krempna i Kotań. Ten sznur wozów podjeżdżał do góry i łączył się z nami. Tak zjechało się razem pięć wy-ewakuowanych wsi, a to Desznica, Hałbów, Jaworze, Krempna, Kotań. Transport rozciągał się na kilka kilometrów i po kilkunastu minutach zatrzymał się, bo bolszewicka artyleria zaczęła ostrzeliwać pierwsze wozy, które wyjeżdżały z lasu i wyjeżdżały na pole. Wkrótce - po półgodzinie - bolszewicy przestali nas ostrzeliwać i wówczas ruszyliśmy dalej. Zaświstało kilka granatów i jak raz upadły blisko naszych wozów. Transport ruszył balonem naprzód, a ja z Krystyną biegiem za wozem przez pół kilometra, aż póki nie przestali całkiem strzelać. Przestraszeni i zmęczeni przyszliśmy do Świątkowej. Po

drodze dowiedzieliśmy się, że mamy się zatrzymać na dzień, dwa we wsi Bodaki oddalonej od Desznicy o około 25 km, a potem udać się w dalszą drogę, gdzie mamy zatrzymać się na stałe. Ale gdzie, nikt nam nie powiedział. Nasz transport posuwał się wolno ciężką drogą. Była ona niewymownie ciężka. Co raz trzeba było iść w błocie po kolana, pod górę, to znowu z góry ostro w dół. Pod wieczór dociągnęliśmy do wsi Bartne, gdzie zanocowaliśmy. Rano odwiedziłem greckokatolickiego kapłana o. Bułata, który między innymi powiedział mi,

Str.65

że jeśli mam ochotę, to mogę zostać we wsi Bodaki i tam obsługiwać miejscową cerkiew greckokatolicką. On sam nie często odprawia tam Służbę Bożą, bo parafianie nie przysyłają po niego furmanki. Ta propozycja nie była dość jasna, bo dochód z tej parafii (250 dusz) bez dotacji nie pozwalałby mi żyć. Ale nie miałem innego wyjścia. Byle nie dostać się do obozu, bo byłoby to dla mnie straszną katastrofą. Postanowiłem za wszelką cenę pozostać w Bodakach, gdzie między swymi Rusnakami prędzej się będzie można utrzymać, jak w polskich wsiach, gdzie prawdopodobnie kierują ewakuacje. Około godziny 9 rano wyjechaliśmy w dalszą drogę do wsi Bodaki oddalonej od Bartnego 3-4 km. Droga była tu trochę lepsza i nie jechaliśmy długo. Zatrzymaliśmy się, jak było przewidziane, w Bodakach. Skorzystałem ze swego zamiaru i poszedłem do miejscowego komendanta (Ortskomendant) z prośbą o zezwolenie na zatrzymanie się tutaj przez parę dni. Jako przyczynę podałem moją chorobę. Moją prośbę uwzględniono i tak zatrzymałem się w Bodakach. Na razie zamieszkałem u cerkiewnika M. Kołtka naprzeciw cerkwi w przysiółku Przegonina. Część naszego transportu, z jakim jechałem, zatrzymała się także w Bodakach, ale tylko do jutra.

Tymczasowy pobyt w Bodakach

Środa, 25 X 1944

Raniutko odprawiłem Służbę Bożą w miejscowej cerkwi greckokatolickiej z myślą o ewakuowanych. Służbę Bożą śpiewałem ze St. Kostakiem diakim z Desznicy - może już ostatni raz. Tak mi żal dobrego człowieka. Poszedł na wygnanie. Nie udało mi się go tutaj zatrzymać, choć bardzo pragnął. Po nabożeństwie transport odjechał w stronę Gorlic oddalonych o 14 km. Ja zatrzymałem się w Bodakach, nie wiadomo na jak długo. Sama wieś Bodaki niczym się nie wyróżnia. To zwyczajna mała wieś (około 100 gospodarstw, 500 dusz) i bardzo biedna - górską. Ludność, tzw. rusnacy - Łemki, a pod względem religii mniej więcej po połowie grekokatolików i prawosławnych (odstępcy). Pod względem moralnym nie będą oni gorsi jako moi parafianie z Myscowej czy Desznicy. Okolica tutaj ładna, ale nie potrafię się zachwycić jej urokiem.

Czwartek-piątek, 26 X - 27 X 1944

Bodaki oddalone od frontu 30 km. Nie dużo tutaj wojska. Mimo to na

Str.66

drodze stały ruch. Bardzo często przejeżdżają przez wieś transporty na front lub z frontu. Przez wieś wiedzie główny szlak z Gorlic na front. Dlatego panuje taki ruch. W związku z tym często przelatują sowieckie samoloty i bombardują Gorlice. Dość wyraźnie słychać tu z frontu armatnie strzały. W ostatnich dniach była ładna pogoda i to skłoniło mnie do oglądnięcia pobliskich gór i lasów. Jako Podolak nie bardzo zachwycam się górami i z początku, jak przyjechałem w Karpaty, nawet nie lubiłem gór, ale teraz, kiedy tu mieszkam ósmy miesiąc, pomatu przyzwyczajam się do tej okolicy. Tu w Bodakach góry są większe, wyższe, pokryte lasami i dlatego ładne. Wybrałem się z Krystyną je oglądać. Chcieliśmy bardzo wyjść na wierzch góry. Z dołu wydawało nam się, że góra nie jest bardzo wysoka, że wierzch jest w pobliskim lesie. Bardzo się pomyliłem. Szliśmy kilkadziesiąt minut, a na wierzch było jeszcze daleko. Zmęczyłem się trochę, a Krystyna całkiem ustała i chciała wracać do domu, ale po odpoczynku znowu ruszyliśmy w drogę i w końcu osiągnęliśmy wierzch. Przed nami odkrył się wspaniały krajobraz, wysokie góry pokryte już pożółkłymi lasami. Na wierzchu byliśmy aż do zachodu słońca.

Sobota, 28 X 1944

Dzisiaj dowiedziałem się o doli wysiedlonych, jacy przed kilkoma dniami wyjechali z Bodaków w nieznaną drogę. We wsi Klęczany, jak opowiadał mi jeden z wysiedlonych, cały transport podzielili na trzy grupy: jedną z młodych i zdrowych z nielicznymi dorosłymi (powyżej dziesięciu lat) zabrali do Niemiec. Swoje bydło musieli sprzedać wojsku (w cenie za sztukę po 300-400 zł). Drugą grupę zdolnych do wojska także oddzielili, co zrobią z nimi, nie wiadomo, można przypuszczać, że zabiorą ich do wojska. Pozostałych z transportu rozmieścili w pobliskich polskich wsiach koło Gorlic. Polacy bardzo wrogo przyjęli naszych wysiedleńców. Nie chcą im niczego sprzedać, a jeszcze okradają.

Diaka z rodziną, żoną i trojgiem dzieci, z których najmłodszy miał sześć lat, zabrali do Niemiec. Bardzo mi żal tego człowieka.

Niedziela, 29 X 1944

Wśród tak dużych cierpień, jakie teraz znoszę, jedyną pociechą jest, że mogę codziennie odprawiać Służbę Bożą. To daje mi siłę i wytrwałość w moim życiu. Dzisiaj po raz pierwszy odprawiłem mszę w niedzielę. Wiernych, choć wieś nieduża, było sporo. Możliwe, że dość dużo parafian

Str.67

przyszło z ciekawości. Pod względem religijnym i moralnym nie są ani lepsi, ani gorsi jak inni Łemkowie.

Poniedziałek, 30 X 1944

Ze wsi dzisiaj feldżandarmeria ewakuowała tych, jakich udało jej się zatrzymać. Zabrali ich ... i odwieźli prawdopodobnie do pobliskich wsi.

Piątek, 3 XI 1944

Dzisiaj jeździłem do Gorlic. Droga dobra i nie bardzo daleka. Przejeżdżałem przez trzy wsie: Ropica Ruska, Sękowa i Siary. We wsiach kwateruje dość dużo wojska. Na głównej drodze też dość dużo wojska. Często przelatują tędy sowieckie samoloty i bombardują okolice Gorlic, a także i miasto. Samo miasto niczym specjalnym się nie wyróżnia, chociaż w nim nie byłem, bo nie interesowało mnie. Na ulicach duży ruch wojsk. Sklepy jeszcze pootwierane. Można jeszcze co nie bądź kupić, np. niektóre rzeczy toaletowe, z żywności jarzyny, owoce, a nawet chleb. Ale to wszystko bardzo drogie, np. za grzebień dałem 140 zł, kilo masła kosztuje 400 zł, 1 kg jabłek 50 zł. Z konieczności kupiłem drobne rzeczy, kawę, pastę, szczotkę do zębów itd. i z tym wróciłem do domu.

Poniedziałek, 6 XI 1944

Dnie przemykają dość szybko. Front stoi daleko (około 30 km) na miejscu. Od jakiegoś czasu słychać tu strzały - dość słabo; mniej wojska przejeżdża przez wieś. W takich okolicznościach moje życie pomatu przechodzi normalnym trybem. Materialne kłopoty nie dają mi spokoju. Z duszpasterstwa, w Służbie Bożej kapłan nie wyżyje. Widzę to dobrze i dlatego postanowiłem szukać innej parafii, na której choć skromnie, ale mógłbym wyżyć. W tym celu wybrałem się do jednego z sąsiednich naszych kapłanów, do ojca Cufłata we wsi Małastów, oddalonej od Bodaków o około 6 km.

Wybrałem się do niego po informacje, czy nie ma gdzieś w okolicy jakiegoś wolnego duszpasterstwa, lub czy on sam nie odstąpiłby mi jednej z trzech wsi, które należą do jego parafii. Oł, chociażby sąsiednią wieś Ropicę Ruską, gdzie bym zamieszkał i wykonywał funkcje duszpasterskie. Paroch przyjął mnie bardzo uprzejmie, przychylnie, ale propozycji odstąpienia mi wsi Ropicy odmówił, motywując to tym, że on by stracił dochody z tej wsi. Zdaje mi się, że jest on dobrym kapłanem, ale nie ma

Str.68

jeszcze u niego zrozumienia tego ciężkiego położenia materialnego jego współbrata w pracy. Co do drugiej sprawy, czy nie słyszał on gdzieś o wolnej parafii w okolicy, odpowiedział, że jak raz w moim sąsiedztwie, około 10 km od Bartnego, jest wolna parafia w Bednarce, z jakiej przed kilkoma miesiącami wyjechał kapłan, a którą zarządza teraz o. Mikita ze wsi Rozdzielę. Koncepcja ta spodobała mi się tym

bardziej, że po zapewnieniu wspomnianego o. M., który w tej wsi był przez 7 lat duszpasterzem, ma to być dobra parafia. Do domu wróciłem wieczorem.

Środa, 8 XI 1944 św. Dymitra

Dziś we wsi Przegonina-Bodaki święto parafialne - odpust obchodzony bardzo skromnie. Służbę Bożą odprawił o. Bułat we wsi Bartne, a ja wygłosiłem kazanie. Po zakończeniu Sł(uzby) B(ożej) poprosiłem o. Bułata na bardzo skromniutkie śniadanie. Tak biednego pod względem materialnym święta jeszcze nie miałem, ale trudno, wojna, a ja do tego wygnaniec.

Czwartek, 9 XI 1944

Z myślą o znalezieniu sobie jakiejś zamożniejszej parafii wybrałem się dzisiaj w drogę do wsi Bednarka, aby na miejscu zorientować się w warunkach. Droga do Bednarki w prostej linii przez las niedaleka, około 10 km, a gościńcem trzeba objeżdżać wielkim półkołem i wtedy będzie 20 km. Wybrałem najbliższą drogę do wsi Wapienne 9,3 km, później już przez Rozdzielę gościńcem doszedłem do Bednarki.

Okolice tu górzysta jak w Bodakach. Po drodze za wsią Rozdzielę spotkałem ojca Mikitę, proboszcza zarządzającego Bednarką. Wrócił on ze mną do Bednarki. Tu zaszedliśmy do miejscowego diaka. Sprawa z objęciem parafii dość ciężka z powodu braku mieszkania. Plebanię zajęło wojsko. We wsi jest tak dużo wojska, że trudno znaleźć wolny kąt. Obszedłem z diakiem kilka domów, ale wszędzie pełno wojska. Przenocowałem u diaka.

Piątek, 10 XI 1944

Rano miejscowy kościelny przyszedł do mnie i powiedział mi, że znalazł wprawdzie mieszkanie, ale daleko od cerkwi i to razem z gazdą. Oczywiście nie miałem żadnego wyboru, jak przyjąć tę propozycję. Dla samej formalności poszedłem zaznajomić się z gazdą i z warunkami domowymi.

Str.69

Mieszkanie dosyć czyste, gospodarze nie wydają się źli. Odnośnie mego przyjazdu nie mogłem podać parafianom dokładnej daty, bo jeszcze muszę uzgodnić sprawę z o. dziekanem. Ze względu na to, że droga przez D. bardzo zła, ponieważ dzisiaj spadł śnieg, a do ojca dziekana w Gładyszowie będzie kilkanaście kilometrów, nie wiem, kiedy będę miał możliwość go odwiedzić. Po omówieniu jeszcze kilku spraw związanych z moim przyjęciem pożegnałem się z gazdą i diakiem i ruszyłem do domu. W powrotnej drodze wziąłem kierunek na Męcinę, aby tam odwiedzić znajomego nauczyciela B. Zajęca, który uczył w Myscowej i w żniwa tego roku, kiedy we wsi buszowali bandyci - sam wybrał się do swego teścia. Wspomnianego nauczyciela - Zajęca - i jego żonę zastałem w domu, ale nie mogłem być u nich

dłużej, bo zmierzchało, a chciałem być na noc w domu. Przez las do Pstrążnego pokazał mi drogę teść nauczyciela. Droga była bardzo zła, bo cały dzień bez przerwy padał śnieg z deszczem. Już było całkiem ciemno, kiedy wróciłem do domu.

Wtorek, 14 XI 1944

Dzisiaj byłem z Krystyną w Bartnem na święcie zwanym tutaj kiermaszem z okazji ... cudownego Kośmy i Damiana. Odnośnie obrzędów cerkiewnych odprawiłem Służbę Bożą z miejscowym kapłanem, a potem miałem kazanie. Do domu wróciłem przed wieczorem. Po drodze spotkałem duży transport ewakuowanych z Myscowej, Kremnej i Desznicy. Do tej pory wysiedleni z tych wsi przebywali we wsiach Świątkówce i Świątkowej. Teraz zmęczeni jechali do wyznaczonych przez władze wojskowe wsi - obozu we wsi Klęczany. W tym transporcie były też wszystkie rodziny (około 40) ze wsi Riaszówka, kilkadziesiąt rodzin ze wsi Świątkowa i Świątkówka. W tych trzech wsiach to nowa ewakuacja. Transport zatrzymał się na noc w Bodakach. Z Myscowej nocowało u mnie dwóch chłopców, braci sierot. Matka ich zginęła przed dwoma tygodniami od granatu, a ojca jako dzieci nieprawego łoża nie znali.

Środa, 15 XI 1944

Transport ewakuowanych, który nocował we wsi, odszedł ranem w kierunku Gorlic, prawdopodobnie do Klęczan, gdzie mają być rozdzieleni, zdrowi do Niemiec, a starzy chorzy i dzieci na polskie wsie. Znając swoją dolę, odjeżdżali ze wsi z wielką rozpaczą. Los wysiedlonych był nieprzewidywany. Dużo między nimi było bosych i nawet... Niektórzy

Str.70

z ewakuowanych jechali na wozach, inni szli piechotą w błocie po kolana. Ciężkie nieszczęście spadło na ludzi.

Czwartek, 16 XI 1944

Rano jechali jeszcze ewakuowani z pobliskich wsi. Jechali, jak poprzednie transporty, w kierunku Gorlic. Przed południem wybrałem się w drogę do Gładyszowa do o. dziekana w sprawie nadania mi parafii w Bednarce. Po drodze zaszedłem do o. Sz., u którego, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, spotkałem dyrektora szkoły z mojej parafii w Załużu p. M. S. We wsi Małastów, jak dowiedziałem się od niego, mieszka ósmy miesiąc z rodziną, tj. od początku, kiedy w marcu tego roku wyjechał ze Zbaraża, kiedy wstąpiłem do jego mieszkania, pani jego żona i siostra jego żony p. K. bardzo się zdziwiły, bo przecież jestem ich Krajanem. Nie mają oni żadnych wiadomości ze Zbaraża.

Po krótkim odpoczynku puściłem się w dalszą drogę do Gładyszowa. Okolice tutaj bardzo ładne, dokoła góry i lasy, ale straszne błoto, co chwila przejeżdżały auta, które obryzgują i dlatego nie mogłem się zachwycić pięknem tych stron. Także nie nastrajały mnie do tego okoliczności, jakie wydarzyły się w tym lesie za wsią Małastów przed kilkoma miesiącami. A to w miesiącu lipcu, jak opowiadały mi panie, polska banda zamordowała tu trzech Ukraińców, którzy uciekli z Galicji: Em. Bilińskiego ze Zbaraża, mojego szkolnego kolegę, jakiegoś Sawułaka z Tarnopola i jeszcze jednego Ukraińca, którego nazwiska ani miejsca urodzenia nie zapamiętałem, lub też moje panie nie podały. O. Em. B. mówiły, że jak opowiadały im dziewczęta, które w tym czasie były w lesie i wszystko słyszały, miał on prosić bardzo bandytów, aby darowali mu życie, ale zezwierzęceni bandyci-potwory nie mieli miłosierdzia. Jak dzisiaj przypominam sobie, jeszcze na kilka dni przed naszą ucieczką ze Zbaraża, tj. na początku marca tego roku, spotkałem się z nim w wymienionym mieście, pierwszym jego pytaniem było - co robimy, zostajemy czy uciekamy? Bolszewicy byli wtedy kilkanaście kilometrów od Zbaraża. Wypowiedział on wtedy te słowa, jakie sobie dobrze zapamiętałem: zostaną tu - zabiją bolszewicy, wyjedziemy na zachód - zabiją Polacy. Przeczuwał nieszczęsny swoją dolę.

Wierzę, że te złoczyny, jak i tysiące im podobnych, jakich polscy bandyci dopuścili się tutaj na naszych braciach, będą pomszczone. Wspomnienia o tych wydarzeniach nie opuściły mnie aż do Gładyszowa. Ojca

Str.71

dziekana zastałem w domu. Przyjechał wtedy do niego o. Furtak z Hańczowej i przywiózł z Krynicy od Apostolskiej Administracji, jaka tam się mieści, objaśnienia dla dziekanatu i niektóre zarządzenia. Między innymi przywiózł smutną wieść, że metropolita Andrzej Szeptycki zmarł we Lwowie 1 XI tego roku. Pogrzeb odbył się 5 XI. Smutna to wieść dla naszej Cerkwi i ukraińskiego narodu. Tak bardzo zasłużonego metropolity naród ukraiński jeszcze nie miał. Nieodżałowana strata. Ta śmierć tego przewodnika-starca na pewno nie była straszna, a raczej dobrodziejstwem, bo ona przecięła jego wieloletnie ciężkie cierpienia. Następcą metropolity został Archiep. Józef Slipyj, o czym należy powiedzieć przy Służbie Bożej. Po odjeździe wspomnianego o. Furtaka przedstawiłem o. Dziekanowi swoją prośbę, aby na podstawie uprawnień od Apostolskiej Administracji na czas wojny na Łemkowszczyźnie nadał mi duszpasterstwo w Bednarce. Prośbę moją o. Dziekan przyjął bez żadnej uwagi. I tak formalnie stałem się zarządzającym parafią Bednarka.

Piątek, 17 XI 1944

Do domu wybrałem się wcześniej rano. Po drodze spotkałem dużo wojskowych aut i armat, które jechały prawdopodobnie na front lub w kierunku Gorlic. Do domu przyszedłem jeszcze przed wieczorem. Na parafię postanowiłem przenieść się jak najszybciej, możliwie jutro. Poszedłem wieczorem do Ortskomendanta, który

wyznaczył mi furmankę do Bednarki, a także mojego gazdę do przeniesienia moich rzeczy. Jutro wyjeżdżam.

Sobota, 18 XI 1944

Do Bednarki na zarządzanie parafią odwiózł mnie mój gazda, u którego mieszkałem. Jechaliśmy krótszą drogą przez las i dlatego przed południem byliśmy w domu. Na razie zamieszkałem w wyszukanej poprzednio kwaterze, wspólnie z gazdą B. Jurkowskim. Jak długo zatrzymam się na tej parafii, nie wiadomo. Warunki nie wróżą niczego dobrego. W wiosce wojska niewiele, jedna kompania. Cała plebania zajęta przez wojsko. Do frontu i z Bednarki około 25 km. Armatnie strzały z frontu słychać bardzo cicho. Samoloty nie nalatują na wieś.

Niedziela, 19 XI 1944

Parafia Bednarka, jak się dowiedziałem od sąsiednich duchownych, pod względem religijnym nie najgorsza, a lepsza od Myscowej. O tym

Str.72

sam przekonałem się dzisiaj z udziału wiernych na Służbie Bożej w niedzielę. Można wtedy dużo wywnioskować, choć może jeszcze nie wszyscy wierni wiedzą o moim przyjeździe do wsi. Mimo to na nabożeństwie było wielu. Zachowanie w cerkwi przyjazne, nastrój pobożny. Także na WECZIRNI (nieszpory) było dość wiernych. We wsi jest kilka rodzin sztundystów (tu nazywają ich basztarami), wszyscy to grekokatolicy. Prawosławnych (odstępców) nie ma. Wierni pod względem narodowościowym w większości Ukraińcy i tylko nieznaczna część Rusnacy, Łemki.

Środa, 22 XI 1944

Koło południa wybrałem się z Krystyną w odwiedziny do znajomego nauczyciela Zająca w Męcynie. Droga do Męciny niedaleka, około 6 km, i dlatego zaszliśmy szybko. P. Zająca zastaliśmy w domu. Długo nie byliśmy, bo szybko zaczęło zmierzchać. Między innymi opowiedział mi, że ubiegłej nocy było u niego trzech sowieckich partyzantów, którzy oprócz tego że poprosili o jedzenie, nic nie zabrali. Byli to przeważnie rozbitki z sowieckiej grupy, którzy w połowie września br. przegrali się przez Myscowa, a potem byli okrążeni koło Grabu i rozbici przez Niemców. Do domu wróciliśmy późnym wieczorem.

Wtorek, 28 XI 1944

Dzisiaj jeździłem do Kreishauptmanna w Gorlicach w sprawie zezwolenia na pobyt w Bednarce. Zezwolenie wprawdzie otrzymałem, ale tylko na miesiąc, z uwagą, że po upływie tego czasu mam znowu wnieść prośbę do oddziału policji przy starostwie o przedłużenie zezwolenia. Dlaczego nie dostałem zezwolenia na stałe zamieszkanie w

Bednarce, nie chcieli mi powiedzieć i powiedzieli tylko, że innego (to znaczy na stały pobyt) teraz nie dają nikomu. W mieście nie ma nic ciekawego. W sklepach i na rynku można co nie bądź kupić drobnicy, a nawet trochę chleba, ale wszystko bardzo drogie, np. bochenek chleba (1,5 kg) kosztuje 75 zł, za bułeczkę, która przed wojną kosztowała 5 groszy, teraz płaci się 5 zł, kilogram jabłek kosztuje 700 zł. Można tu też dostać masło, wódkę, ale to towar bardzo drogi, i tak 1 litr wódki z kontyngentu kosztuje 400 zł, w tej samej cenie 1 kg masła. Kupiłem pudełko pasty za 25 zł, kilka dkg cukierków za 5 zł deko i powędrowałem do domu.

Czwartek, 30 XI 1944

W związku z tym, że bardzo niewygodnie było mi mieszkać z gazdą,

Str.73

chciałem od początku znaleźć osobny pokój, lepsze mieszkania zajęli Niemcy, ale jak raz przed kilkoma dniami opuścili ładny pokój u sekretarza gromady, który zgodził się mi go odstąpić. Dlatego dzisiaj zrobiłem przeprowadzkę. Wiele już razy zmieniałem mieszkanie - od czerwca to już trzeci raz zmieniam miejsce pobytu, a ile razy będę zmuszony jeszcze je zmienić, kto to może przewidzieć. Gorzka moja dola! Prawdziwy ze mnie teraz wygnaniec. Każda taka zmiana mieszkania jest połączona z pewnymi trudnościami i przygodami. Swoje dobro przenosiłem na plecach, bo odległość od jednego do drugiego mieszkania była nieduża, ale i na tej niedalekiej drodze zdarzyła się nam przygoda. Na drodze straszne błoto i grząsko, do tego trzeba było przechodzić przez wąską kładkę. Krystyna miała pakunek na plecach i w obydwu rękach, i wtedy, kiedy przechodziła przez kładkę, poślizgnęła się i spadła z kładki do wody i na kamienie. Pakunek na plecach przewiązany pod szyją tak ją przydusił, że nie mogła się ruszyć. Dopiero przechodzący ludzie wyratowali ją z nieszczęścia. To mnie bardzo przestraszyło, ale dzięki opiece Bożej nie doznała cięższych uszkodzeń, a tylko się potłukła. Przykre moje wygnanie. Pokój, w którym zamieszkałem, dość mi się podobał, obszerny, z pomalowaną podłogą, także z umeblowaniem, łóżka, szafy. Gospodarze mają być dobrzy, ale czy działania wojenne pozwolą mi tutaj zatrzymać się dłużej? Nie wiadomo.

Wtorek, 5 XII 1944

Dni mijają podobnie. Prawie codziennie odprawiam Służbę Bożą, potem odrabiam lekcje z dwoma uczniami ze wsi i z Krystyną, co zabiera mi dużo czasu. W wolnych chwilach nieco czytam i kiedy ładna pogoda oglądam pobliskie góry i wychodzę na sam wierch, czy nie zobaczę swej wsi, swoich rodzinnych stron - ale darmo! Oprócz niezmiernych lasów i górskich gór nie mogę niczego zobaczyć. Wracam smutny do domu i tak mijają mi dni za dniami. Na froncie nie ma żadnych zmian. Wojsko wprawdzie często przejeżdża przez wieś na front i z frontu, ale to zwyczajny frontowy ruch i żadnych zmian na razie nie przynosi.

Czwartek, 7 XII 1944

Moje położenie materialne bardzo przykre. Bandyci i front całkowicie mnie zrujnowali. Bandyci zrabowali mi odzież, buty, żywność i w zasadzie wszystko, co tylko znaleźli. Pozostał wprawdzie zbiór zboża i myślałem, że chociaż nie będę głodował, ale w następstwie ewakuacji to zboże musiałem zostawić i tak zostałem bez żadnych środków do życia.

Str.74

Żyję tylko z łaski ludzi (a właściwie jednego gazdy, którego córkę uczę) - ale chleb z łaski gorzki. Wprawdzie od trzech tygodni figuruję jako zarządzający parafią, ale dochodów z parafii nie mam żadnych i moje materialne położenie nie polepszyło się. Parafianie całkiem się mną nie interesują, choć spełniam swe obowiązki duszpasterskie bardzo pilnie, żeby chociaż w części zaradzili memu materialnemu niedostatkowi. Postanowiłem pojechać do Gorlic i jako ewakuowany zdobyć dla siebie należne przydziały żywności.

Piątek, 8 XII 1944

Dzisiaj jeździłem do Gorlic do urzędu wyżywienia w sprawie należnych mi przydziałów żywności, jako wysiedleńcowi. Marne te przydziały dla ewakuowanych. Na miesiąc i na osobę przydzielają 6 kg ziarna, 15 dkg cukru, 25 dkg kawy i 25 dkg pęczaku albo 25 dkg makaronu, to wszystko. Bardzo solidnie opiekuje się urząd wysiedleńcami. Wojskowa władza, która nas wysiedliła, ręczyła że urząd się nami zaopiekuje, da pomieszczenia i żywność itp. Wiedziałem od razu, że to kłamstwo i dlatego nie dziwiłem się bardzo, kiedy dowiedziałem się o tym przydziale. Bardzo on mizerny, a i tak go ciężko otrzymać. W urzędzie wyżywienia powiedzieli mi, że przydziały na żywność wydadzą mi wtedy, kiedy wójt wpisze mnie na listę. Po przydziały mam się zgłosić w zbiorczej gromadzie w Lipinkach, na razie mam czekać.

Niedziela, 17X11 1944

We wsi dzisiaj wieczorem zdarzył się przykry wypadek, a to jeden z wziętych do niewoli bolszewików, który służył przy armii i tu kwaterował, zabił miejscową dziewczynę Anastazję Juszcak. Nie znane jest tło tej sprawy, jednak z postępowania tego żołnierza i jego zeznań można wnosić, że morderstwa dopuścił się z powodów erotycznych. Od kilku dni żołnierz ten kwaterował w domu wymienionej dziewczyny i prawdopodobnie zalecał się do niej. Dziewczyna miała we wsi dobrą opinię... religijna i pewnie nie chciała nawiązywać z nim bliższej znajomości. Wieczorem, kiedy poszła do sąsiadów, morderca zapytał się jej rodziców, czy nie chcieliby go za zięcia, a kiedy otrzymał od nich odpowiedź, że to niemożliwe, bo on jest żonaty i ma swoje dzieci, popadł w szal. Złapał karabin i z krzykiem: zabiję! wybiegł z domu. Rodzice nie spodziewali się niczego złego. W domu sąsiada, do którego poszła, było jeszcze kilka dziewcząt

Str.75

i chłopców, którzy nie spodziewali się niczego złego, spokojnie rozmawiali. Pośród tego wbiegł żołnierz-bandyta i od razu wycelował z karabinu do dziewczyny, trzema

strzałami zabił ją na miejscu. Zabójca dokonawszy obrzydliwego dzieła nie uciekał. Na miejscowej komendaturze przy protokole powiedział, że nie wie, dlaczego ją zabił. Wojskowy sąd skazał go na karę śmierci. Wypadek ten wywołał we wsi bardzo przykre wrażenie i zarazem stał się przestrożą, że ludzi bezbożnych i nieznanym trzeba bardzo unikać.

Środa, 20 XII 1944

W ostatnich dniach przez Bednarzę przejeżdżało bardzo dużo wojska. Jedne jednostki wracały z frontu, drugie znowu jechały na front (wyrok na osądzonym mordercy wykonano 13 XII 1944). Jednakże ten ruch nie przyniósł, wydaje się, żadnych zmian na froncie. Na zachodnim froncie Niemcy od kilku dni prowadzą kontrataki i zdaje się mają jakieś terenowe osiągnięcia, ale to także nie przynosi nam żadnych większych zmian. Niemcy już przegrali wojnę.

Poniedziałek, 25 XII 1944

Moje sprawy żywnościowe nieco się polepszyły. Z gromady dostałem długo oczekiwany przydział, w tym kilkanaście kg żyta, 1 kg makaronu, 1/2 kg kawy, 1 kg cukru i jeszcze jakieś drobne rzeczy. Wprawdzie to wszystko nie wystarczy na wyżywienie nas dwojga, ale w każdym razie będę miał chleb na kilka tygodni. Oprócz tego dostałem trochę produktów za lekcje i tak jakoś będę ciągnął biedę, aby tylko stąd nie wysiedlali, albo nie spotkało nas jakieś inne лихо.

Wtorek, 26 XII 1944

Na moim wygnaniu niemało zmartwienia przysparza mi myśl o doli mej ojczyzny G(alicji), jaka teraz znalazła się znowu pod bolszewikami i znosi straszną niewolę. Znam dobrze tyranie bolszewików z niedawnych czasów z lat 1939-1941. Dobrze pamiętam ich terror, znęcanie się nad spokojną ludnością. Sam dużo strachu przeżyłem w ich raju. Naród znosił bolszewicką tyranie bez sprzeciwu, a mimo to tyrania nie ustawała, a z każdym dniem narastała i zakończyła się tysiącami pomordowanych we wszystkich większych miastach G(alicji). Kiedy teraz naród, jak dochodzą tu niepewne wieści, miał powstać do wielkiego zrywu. Dzisiaj

Str.76

odwiedziło mnie czterech Ukraińców z Galicji ze Stanisławowszczyzny, sowieckich żołnierzy, którzy przed kilkoma tygodniami przeszli dobrowolnie do niemieckiej niewoli i wstąpili do niemieckiej armii. Kwaterują teraz w Bednarce. Oczywiście bardzo się z ich odwiedzin ucieszyłem, bo spodziewałem się coś od nich dowiedzieć o doli Gal(icji), o tym zrywie - powstaniu, o UPA, o jakiej tu coraz więcej mówią nawet sami Niemcy. Ruch ten bardzo mnie interesuje, bo Gal(icja) jest teraz sercem i duszą

Ukrainy, na wschodnią Ukrainę nie można bardzo liczyć. Ludność, szczególnie młodsza część bardzo zatrwożona bolszewikami. W niemieckiej armii służy teraz bardzo dużo sowieckich jeńców ze wschodniej Ukrainy, często mam okazje z nimi rozmawiać i z tych rozmów widać, że nie ma w nich poczucia ukraińskości, bardzo wielu z nich pozostało zapiekłymi bolszewikami, a drwią sobie z samodzielnego ruchu ukraińskiego i nienawidzą go. Głównym tematem rozmów z nimi była oczywiście sprawa Ukrainy i powstania ruchu w Galicji.

Pewnych wieści o tym zrywie-powstaniu oni też nie mieli, bo już minęło kilka miesięcy, jak wyjechali z domu i tylko z listów od rodziny, jak byli jeszcze w sowieckiej armii, mieli jakieś informacje. Ze względu na cenzurę były one bardzo ograniczone. Nowszych i dokładniejszych wieści o wymienionym ruchu dostarczył mi jeden Ukrainiec z Galicji, z jakim zetknąłem się wczoraj w Gorlicach, a który przed kilkoma dniami przeszedł do niemieckiej niewoli. Sam mi mówił, że w Galicji stale wzrasta ruch powstańczy, że powstańcy mieli nawet na kilka dni opanować Kijów i Lwów. Ile w tym prawdy, nikt na razie nie wie. Słuchając o tym wielkim zrywie... Przenoszę się do tych naszych bohaterów, nie tylko myślami. Duszą jestem z nimi, ale chciałbym i ciałem. Chciałbym być z tymi bojownikami za prawa. Przykro i wstyd mi nie raz, ale kiedy tam w Galicji przelewa się krew, zdobywa się prawa, siedzę tu za frontem, na tej nieszczęsnej Łemkowszczyźnie i tracę marnie czas. Tutejszy naród pod względem religijnym i świadomości narodowej jest bardzo zacofany i zaskorupiały i uparty i dlatego cały trud włożony w prace nad nim daremny, ale chcę dołożyć choć małą cegiełkę dla poprawy ich bytu. W walce o lepszą dolę narodu zginęło dwóch mych braci, a nie wiem, jaka dola spotkała trzeciego najmłodszego, zawziętego bojownika. Zostali sami rodzice, jeśli ich nie wywieźli bolszewicy. Mimo to gdyby nie moje zajęcie i niewiadomy los mojej córki, w wypadku gdyby mnie nie stało pomiędzy żywymi, gotów byłbym się na wszystko zdecydować.

Str.77

Niedziela, 31 XII 1944

Sytuacja na frontach bez istotnych zmian. Na zachodnim froncie wprawdzie Niemcy prowadzą kontrofensywę, ale wielkich zdobyczy im nie przynosi. Na wschodnim froncie cicho, ale ta cisza wydaje się być ciszą przed burzą. Prawdopodobnie bolszewicy wkrótce zaczną ofensywę.

Niedziela - Narodziny Chrystusa - poniedziałek, 71-81 1945 Tegoroczne święta Bożego Narodzenia przeżyłem w wyjątkowo ciężkich warunkach i dlatego nie były one dla mnie wesole. Takich smutnych świąt jeszcze nie miałem. Przeżyłem je jak wygnaniec daleko od rodziny i w obawie o swą przyszłość. Święta Bożego Narodzenia mają charakter świąt rodzinnych, dlatego obchodzimy je tradycyjnie całą rodziną. Ale moja rodzina pozostała w rodzinnej G. Świątowałem je z Krystyną między obcymi. Żebym chociaż miał wiadomość od rodziny, a tu nie wiadomo, jaka ich spotkała

dola, może ich już wywieźli na Sybir albo już poginęli. A moja dola niedaleko frontu i w każdym dniu można się spodziewać złego.

Czwartek, 11 I 1945

Od kilku dni bolszewicy niemal codziennie nękają okoliczne wsie nalotami, a w tym i moją parafię, którą już kilka razy ostrzeliwali z lekkich armat i karabinów maszynowych. Dzisiaj rano o godz. 8.20 nadleciało kilka samolotów dużych nad wieś, strzelając z karabinów maszynowych i lekkich armatek po ludziach i budynkach. Kiedy wyszedłem na próg, zobaczyłem, że w niedalekim sąsiedztwie pali się kilka domów. Usłyszałem krzyk sąsiadów, to znaczy mojego gazdy: Wasz dom się pali. W jednej chwili wybiegłem na podwórze i naprawdę dom był w dymie, ale na razie paliła się tylko stodoła ze stajniami, która już była cała w ogniu. Dom, choć był blisko stodoły, nie zajął się, bo dużo ludzi przybiegało i nie dopuścili do tego. Uratowano też bydło ze stajni. Od tego nalotu zapaliły się we wsi trzy domy (z zabudowaniami) i jedna stodoła. Raniono ciężko jedną kobietę, matkę siedmiorga małych dzieci, która zmarła w szpitalu w Gorlicach. Tak przyjęli Łemków bolszewicy, na których oni tak bardzo czekali.

Niedziela, 14 I 1945

Nowy Rok święciłem z przecuciem niedalekiego licha. Było mi bardzo

Str.78

ciężko na duszy, bo odczuwałem, że bardzo dużo zła trzeba będzie zaznać w rozpoczętym roku. Ale niczego nie da się zrobić, trzeba zdać się na wolę Bożą.

Poniedziałek, 15 I 1945

Bolszewicka ofensywa i przełamanie niemieckiego frontu. Rano około 7.30 rozpoczęli bolszewicy na wschodnim froncie w rejonie Jasta w kierunku Gorlic ofensywę. Rozpoczęli ją nieprzerwanym ogniem artylerii, który trwał około trzech godzin. Potem, kiedy kanonada ucichła, pojawiły się sowieckie samoloty, które bombardowały nie tylko sam front, ale i przyfrontowe wioski. Na Bednarkę nalatywały też cały dzień i bombardowały w straszny sposób. Szkody wielkiej we wsi nie zrobiły. Spalił się tylko jeden dom i zabili jednego człowieka. Ale mimo to strach był ogromny. Lotnicy sowieccy strzelali na wieś z różnego rodzaju broni, rzucali bomby, strzelali z lekkich armatek i karabinów maszynowych zapalającymi kulami. Bomby na pewno były kilkutonowe, bo wybiły one dziury tak wielkie, że mógłby się w nich schować cały dom. Jedna zapalna armatnia kula wpadła na strych gazdy, u którego mieszkałem, i zapaliła na strychu śmieci, ale ogień udało się ugasić. Jak stał front, nie było pewnych wieści, ale z huku armat, jaki było słychać, można było domyślić się, że front jest coraz bliżej.

Przed wieczorem, kiedy odleciały sowieckie samoloty, Niemcy niewielkimi grupami zaczęli jechać z frontu, ale sytuacja była jeszcze niejasna, aż dopiero gdy ściemniało się, zaczęły jechać przez wieś frontowe oddziały, kolumny aut, wozów i innego sprzętu. Nie było już wątpliwości, że front przetamany i Niemcy odступują.

Wtorek, 16 I 1945

Przez całą noc Niemcy jechali na front. We wsi panował niesamowity ruch, sztab dywizji, jaki tu kwaterował, wyjechał w nocy z wielkim pośpiechem, zostawiając na miejscu wiele wojskowego dobytku. Rano z frontu szły tylko małe wojskowe grupy, a około 10 godz. zostali już tylko we wsi saperzy, którzy mieli wysadzić most. Bolszewickie samoloty prawie od samego rana bombardowały ustępujących Niemców. We wsi strach i trwoga. Ludzie puciekali z domów do piwnic lub innych kryjówek. My prawie wszyscy opuściliśmy dom, mieszkanie gazdy, u którego mieszkaliśmy, do gazdy And. Ju, który mieszka dalej od głównego szlaku,

Str.79

którym przechodziło wojsko, dlatego było tam bezpiecznie. Około godziny 10 pierwsze oddziały bolszewików wkroczyły do wsi. Niemcy wysadzili we wsi mosty, zaczęło się strzelanie z armat i karabinów z obydwu stron, zwyciężyli w końcu bolszewicy. Niemcy odstąpili zostawiając we wsi kilku zabitych. Kilku Niemców dostało się do niewoli, ale bolszewicy w swojej zaciętości ich rozstrzelali. Bolszewicy mieli dwu zabitych. Około 1 godz. po południu wszystko we wsi ucichło. Ucichły armaty i karabiny, po tym zaczęły napływać do wsi niezliczone rzesze bolszewików, szli lawiną, jak szły kiedyś azjatyckie ordy na Europę. Ogarnął mnie strach i trwoga. Kiedy wróciłem do domu, na drogach i koło mieszkań zastałem dużo bolszewickich czołgów i żołnierzy. Mnie na razie nikt nie zaczepiał. Na noc przyszło do mnie 20 żołnierzy. Pokój, który zajmowałem, był bardzo ciasny, dlatego tylko niektórzy krasnoarmiejcy mogli się położyć, a inni całą noc przesiedzieli.

Środa, 17 I 1945

Przez cały dzień przez wieś przechodziło dużo wojska piechoty, artylerii, obozów, taborów. Dużo żołnierzy kwateruje we wsi. Mój gazda gościł dzisiaj u siebie sowieckich politruków: majora i innych wyższych oficerów. Przy tej okoliczności trochę z nimi rozmawiał, ale bardzo ostrożnie. Na ogół zachowywali się oni dobrze, tylko niektórzy z nich bardzo uparcie domagali się wódki.

Czwartek, 18 I 1945

Po południu przyszła do wsi wojskowa policja NKWD i zaczęła pracę, a to zaczęli szukać wrogów Związku Radzieckiego. Na skutek donosu jakiegoś miejscowego

sowieckiego agenta zawiadomił NKWD pięciu tutejszych znaczniejszych gospodarzy na przesłuchanie.

We wsi sprawa wywołała popłoch. Wieczorem poszedłem powiadomić naczelnika policji, że jutro ze względu na święto Objawienia Pańskiego będę o godz. 4.00 rano odprawiał Służbę Bożą i aby wojsko wiedziało o przyczynie tak wczesnego ruchu we wsi. Miałem wtedy „przyjemność” porozmawiać z naczelnikiem NKWD.

Piątek, 19 I 1945, Objawienie Boże

Do cerkwi poszedłem o godz. 4.00, ale Służbę Bożą odprawiłem o 8.30 i to z pomocnikiem diaka i to z tego powodu, że miejscowe

Str.80

NKWD zawiadomił diaka na 8.00 godzinę na przesłuchanie. Diak bardzo przestraszony. Z diakiem przesłuchiowano jeszcze pięciu miejscowych ludzi. Po protokole diaka wypuszczono, a wspomnianych ludzi aresztowano i wysłano do Gorlic też na NKWD, tam po przesłuchaniu ich zwolniono. Dziś po południu, bardzo blisko cerkwi wybuchł pożar, nie wiadomo z jakiej przyczyny. Spalił się dom i trzy budynki. Po zagaszeniu ognia, wracając do domu poszedłem w wieś oglądać niemieckie trupy, które nie były jeszcze pochowane i leżały na drodze. Przez kilka trupów, które leżały na środku drogi, przejeżdżały auta i wozy, były bardzo zdeformowane. Prawie wszystkie trupy były odarte z odzieży. Wszystkich zabitych było 15. Jedni z nich zginęli w walce, większość rozstrzelali bolszewicy po zabraniu ich do niewoli.

Czwartek, 25 II 1945

Frontowe oddziały już przeszły i w wiosce nie ma wojska, tylko czasem przychodzi polska policja, która zorganizowała się po przyjsciu bolszewików. Na razie nie robi ona żadnych wstrętów. Niektórzy z naszych chłopców (z parafii) zgłosili się także do policji w Gorlicach. Z frontu nie ma żadnych wieści. Wiadomo tylko, że Niemcy bez przerwy uciekają. Bolszewicy zdobyli już Kraków, Tarnów, Warszawę i dużo innych miejscowości. Sytuacja dla Niemców bardzo ciężka. W ostatnich dniach dużo przesiedleńców z przyfrontowych wsi jak Myscowa, Desznica i innych, jacy przebywali tu w okolicznych wsiach, wraca do domów - swoich zrujnowanych osiedli. Moi dawniejsi parafianie z Myscovej, jacy tu w Bednarce także przebywali, zbierają się do odjazdu.

Sobota, 3 II 1945

Dzisiaj wyjechała z Bednarki do Desznicy moja była parafianka z Myscovej A. G., mieszkała tu kilka tygodni. Była u mnie przed tygodniem pożegnać się, jak mówiła raz na zawsze, bo wkrótce wyjeżdżają do Rosji i cała wieś Myscowa. Było jej przykro i z żalem żegnała się ze mną, tym bardziej że wyjeżdża dobrowolnie na straszną

nędzę. Jako zamożna gaździna nieraz mnie poratowała w biedzie, szczególnie wtedy, jak mnie obrabowali bandyci i zostałem bez żadnych środków do życia. Przez jej przychyłność do mnie wywiązała się między nami obustronna sympatia (przywiązanie), zbliżenie. Wprawdzie przyjdzie mi za tę przychyłność dużo wycierpieć, ale to moja wina. Może i lepiej, że rozchodzimy się na zawsze.

Str.81

Poniedziałek, 5 II 1945

Do kłopotów, które teraz znoszę, przyłączył się jeszcze jeden. Bieda, a także choroba. Od jakiegoś czasu odczuwam niewystawiony ból w krzyżach. Żeby zaradzić temu lichu, wybrałem się do lekarza w Gorlicach. Po dokładnym badaniu lekarz stwierdził u mnie zapalenie nerek. Choć to choroba bardzo ciężka, ale obiecał mnie wyleczyć, jak tylko będą lekarstwa, których teraz bardzo brakuje. Na otrzymaną receptę nie dostałem w aptece leków, aż dopiero sam lekarz poszedł do apteki i wyostał je po dużych zachodach. Oczywiście lekarstwo kosztowało mnie bardzo dużo - 480 zł. Było tylko jedno w całym mieście. Zgodnie z zaleceniami i lekarstwami powinienem leżeć w domu 5 dni, a w sobotę tego tygodnia przyjść na zastrzyki. Bardzo zmęczony wróciłem do domu, gdy już zmierzchało.

Sobota-wtorek, 10 II - 13 II 1945

Po przymusowym leżeniu w łóżku przez pięć dni dzisiaj w sobotę 10 II przyjechałem do Gorlic na zastrzyki. Ze względu na to, że zastrzyki miałem dostawać bez przerwy przez cztery dni, zatrzymałem się na ten czas w Gorlicach. Zamieszkałem u p. Dutkanicz. Po iniekcjach i lekach wewnętrznych trochę mi się polepszyło. Do domu wróciłem we wtorek z zaleceniem lekarza, że w piątek tego tygodnia (16 II) znowu mam przyjechać na iniekcje.

Piątek, 16 II 1945

Trzymając się zaleceń lekarza przyjechałem w piątek do Gorlic na dalsze leczenie. Po otrzymaniu dwu iniekcji jeszcze raz oglądnął mnie dokładnie lekarz i stwierdził że jestem zdrowy. W niedzielę (18 II) wróciłem do domu. Do końcowej wizyty miałem jeszcze zgłosić się 26 II.

Wtorek, 20 II 1945

W ostatnich tygodniach przeprowadzono na Łemkowszczyźnie przez Sowietów i ich sympatyków silną agitację za wyjazdem do Związku Radzieckiego. Łemkowie od kilkudziesięciu lat zatrutowani moskiewską trucizną okazują się bardzo podatni na tę agitację. Kilka wsi w Dukielszczyźnie zniszczonych wojną już wyjechało na stałe osiedlenie do Związku Radz. Za przyczynę swego wyjazdu podają, że ich wsie zostały zniszczone i że nie mają „żywłeta”. W ostatnich dniach wyjechała dobrowolnie na

wysiedlenie do Zw. Radz. prawie cała wieś Myscowa. Na 300 domów pozostało 30 rodzin, ale i ci mają wkrótce wyjechać. Za przyczynę swego przesiedlenia się podają, jak i poprzednie wsie, ruinę swoich gospodarstw i brak żywności. Nie jest to 100% prawdą, bo w 1940 roku choć mieli pod dostatkiem żywności, ale prawie cała wieś z wyjątkiem dwóch rodzin zapisała się na wyjazd do Rosji. Prawdą jest, że wielu z wyjeżdżających grozi głód i są zmuszeni szukać dla siebie ratunku. To jest sprawa zrozumiała, ale wyjazd sam nie uratuje ich od głodu - to prawda! Do Zw. Radz. wyjeżdża wielu ludzi całkiem nie dotkniętych wojną, którzy mają piękne gospodarstwa i pod dostatkiem żywności, ale pozostawiają wszystko i jadą. Czasami ktoś nie znający Łemków dziwiłby się, ale dla mnie wszystko jest jasne. Wyjeżdżają zatruci moskiewską trucizną. Wyjeżdżają wszyscy do ziemi obiecanej... z tęsknotą za Rosją. Trucizna wpajana w Łemków dawnymi laty dokonała swego. Żal mi tego nieszczęsnego narodu, bo wiem, jaka go czeka gorzka dola. Jednak nie można go winić, że sam gotuje sobie to wielkie nieszczęście, bo co winne dziecko, że zjada piękną i słodką, ale trującą jagodę - choruje i umiera.

Poniedziałek, 26 II 1945

Dzisiaj jeździłem jeszcze raz do Gorlic do lekarza w sprawie mojej choroby. Lekarz stwierdził, że już jestem zdrowy.

Środa, 7 III 1945

Dzisiaj skorzystałem z okazji i furmanką, która jechała z Bielanki, pojechałem do Myscovej i po pięciu miesiącach odwiedziłem wieś. Już od dawna, kiedy to ustępował front, miałem wielką ochotę odwiedzić moją dawną parafię, miejsce tych strasznych przeżyć, jakie przechodziłem tam przez kilka miesięcy. Jednak wybrać się piechotą, to było za daleko. A furmanką nie jest to męczące. Dzisiaj przysiadłem się do jednej z moich byłych parafianek z Myscovej E. M., która tu przebywa i która sama wybrała się dzisiaj do swej wsi. Do Myscovej zajechaliśmy na południe. Wjeżdżając do wsi przypomniałem sobie te straszne dni, jakie przeżyłem opuszczając ją przed pięcioma miesiącami. Jak najdokładniej przypomniałem sobie te okropności, jakie przeżyłem na tej drodze. Co chwila wybuchały za nami lub przed nami w niedalekim oddaleniu pociski, ja ostatkiem sił wlokłem swój bagaż. Dziś jest spokój, można wszystko oglądać. Wtedy widziałem dokoła siebie tylko dym i wybuchy granatów. Nie było

Str.83

czasu rozglądać się. Straszne to były chwile i może zostaną w życiu jako najstraszniejsze. Dzisiaj dla mnie to wszystko wspomnienia. Wszystko na świecie przemija. Tak przypominając sobie te straszne czasy wjechaliśmy na wzgórze, z

którego zobaczyłem większą część wsi i prawie wszystkie zrujnowane domy i spalone. Tylko sterczą kominy. Całych budynków prawie nie widać. Wjeżdżając coraz dalej w wieś miało się wrażenie, że wieś zamarła, bo żadnej żywej duszy nie można było zobaczyć na drodze. Wiedziałem już, że Myscowa wyjechała do ZSRR, jednak kilka rodzin miało jeszcze zostać. Zdawało mi się, że jestem w jakiejś zaczarowanej wsi, w której ludzie albo wymarli, albo zasnęli jakimś czarodziejskim sposobem. I tak ucieszyłem się, kiedy w niedalekim domu zobaczyłem dym z komina, co było pewnym znakiem, że ktoś tam mieszka. Gazdę z tej chaty znałem i dlatego zeskoczyłem z furmanki i z zamiarem dowiedzenia się czegoś wszedłem do środka, ale bardzo zdziwiłem się, kiedy zastałem tu obcych ludzi i przypomniała mi się bajka o umarłych, którzy po stu latach wstali z grobu i wrócili do swej wsi, ale nikogo już nie poznali. Po kilku słowach rozmowy dowiedziałem się, że to już nowi mieszkańcy Myscovej: Polacy z sąsiedniej wsi Kąty, którzy zajmują we wsi lepsze domy, których jeszcze front nie zrujnował. Ta wieść podzielała na mnie bardzo boleśnie. Nieszczęśliwy naród poszedł na poniewierkę, a gazdostwa jego zajmują wrogowie. Od wspomnianych Polaków dowiedziałem się, że we wsi zostało jeszcze kilkanaście rodzin, ale są oni porzuceni po całej wsi. Po tych informacjach pojechaliśmy dalej w wieś. Gaździna, z którą przyjechałem, pojechała do swego domu. Poszedłem w górę wsi do cerkwi i plebanii. Do cerkwi było jeszcze 3,5 km. Z pozostałych rodzin nikogo nie spotkałem. W tej części wsi, przez którą przechodziłem, wszystkie domy były zrujnowane. Plebania także na wpół zrujnowana, ściany co prawda stoją, ale pół dachu zdjęto. Mnie ciekawiła najbardziej cerkiew. Na zewnątrz była nie uszkodzona, ale w środku zrujnowana i zbezczeszczona. Do cerkwi wszedłem przez rozbite drzwi zakrystii, w której dwie kule armatnie wybiły wielkie dziury i było tam pełno gruzu, cegły i śmieci. W świętym miejscu stał wprawdzie preścł (stół ofiarny) i kywoł (szafka na ikony), ale wszystkie wartościowe rzeczy były zrabowane. Cerkiewne księgi podarte i porzucane. Moja biblioteka, którą tutaj zostawiłem, także zniszczona. Nie zostało z niej jednej całej książki, tylko kupa podartego papieru. Z chramu (świątyni, kościoła) wiernych zrobili Niemcy stajnie dla koni. Jeszcze widać gnój po koniach,

str.84

cerkiewne rzeczy i książki wymieszane z końskim nawozem. W kącie koło wejściowych drzwi wypalono podłogę, tu palili żołnierze ognisko. Przez wybite okno naleciało do cerkwi śniegu, który jeszcze się nie stopił. Smutny ten obraz zrobił na mnie takie przygnębiające wrażenie, że aż zapłakałem. Dużo zniósłem już cierpień w swoim życiu i dlatego zahartowałem się w nich, ale tutaj nie mogłem nad sobą zapanować. Przykro było mi oglądać cerkiew w takim strasznym stanie, gdzie służyłem i działałem jako kapłan. Nie mogłem długo patrzeć na tę straszną ruinę i dlatego pomodliwszy się wyszedłem. Chciałem zobaczyć jeszcze drugą część wsi i dlatego poszedłem do cerkiewnika A. Stabczaka, który mieszkał na drugim końcu wsi, gdzie przebiegała pierwsza linia frontu. Dobrych budynków i tu było bardzo mało. Wspomnianego gazdę A. S. zastałem w domu. Dom jego, który stał na samej frontowej linii, aż dziw, nie bardzo był uszkodzony. Przy samym domu stoi jeszcze

nienaruszone druciane ogrodzenie, między którym jest bardzo dużo min. Od tego ogrodzenia w odległości stu kroków widać bolszewickie okopy, ale nie miałem odwagi ich oglądać, bo pas ten między nimi a okopami niemieckimi jest cały zaminowany. Ze względu na to, że robiło się mroczno, wróciłem do furmanki, aby jechać do domu. Było już jednak późno i zatrzymaliśmy się w Myscowej.

Czwartek, 8 III 1945

Do domu wybraliśmy się wcześniej rano dlatego, że droga była bardzo zła i bardzo kurzyło śniegiem. Postanowiliśmy trzymać się gościńca. Trzeba było jechać przez Kąty na Żmigród. Taki wybór drogi odpowiadał mi, bo bardzo chciałem zobaczyć Żmigród, który według wieści miał być całkiem zniszczony. Wiadomość o zniszczeniu Żmigrodu okazała się prawdziwa. W całym miasteczku widziałem tylko kilka domów z dachami i to w środku zrujnowane. Wszystkie zrujnowane od kul lub spalone. Ludzi spotkałem bardzo mało. Wszędzie, gdzie stał front, pozostała straszna ruina.

Na swoim gazdostwie Czwartek, 26 III 1945

Po czterech miesiącach mieszkania u p. I. P. dzisiaj przeniósłem się na prychodstwo (parafia). Miałem wiele kłopotów, póki nie poprawiłem częściowo zrujnowanej przez Niemców plebanii, bo parafianie nie interesowali

Str.85

się całkiem tą sprawą. Chociaż ja nie bardzo się temu dziwiłem. We wsi panowała silna agitacja za wyjazdem do ZSRR i z tej przyczyny ludzie chodzili jak obłąkani, nie wiedząc co robić. Już jednak widzi się, że nie oprą się agentom i prowokatorom. Na plebanii zamieszkałem tylko z Krystyną, ze służby nie przyjmuję na razie nikogo. Będziemy jakiś czas sami gospodarzyć. Zdaje się, że trzeba będzie dalej iść na wygnanie, bo kiedy wyjadą parafianie, to ja sam nie będę mógł tu pozostać.

Poniedziałek, 2 IV 1945

Dzisiaj po południu przyjechało do wsi z Gorlic trzech bolszewickich agentów, którzy rozpoczęli agitację za wyjazdem do ZSRR. W mitingu, jaki zwołali do szkoły, wziąłem także udział. Jeden z agentów w długim przemówieniu przyobiecał łatwowiernym Łemkom (ruskiemu narodowi), jak się wyraził, wszelkie dobra w bolszewickim raju. Po minach obecnych poznałem, że wierzą oni w te obietniczki; ale za te obietniczki przyjdzie im gorzko pokutować. Dwóch agentów pozostało we wsi, będą zapisywać ochotników na przesiedlenie i ogólnie przygotowywać wieś do wyjazdu.

Środa, 4 IV 1945

We wsi wielki ruch i zdenerwowanie. Ludzie chodzą jak nieprzytomni. Dużo rodzin już się zapisało na wyjazd. Inni znowu nie wiedzą, co robić. Agitacja się zwiększa. Straszą,

że kto nie wyjedzie dobrowolnie, to go bolszewicy aresztują. Wszystko jest możliwe! Jestem w wielkim kłopotcie. Ile zła zniósłem na tym moim wygnaniu i wiem, że trzeba będzie iść na dalszą poniewierkę.

Piątek, 6 IV 1945

Wzmaga się akcja za przesiedleniem. Już zapisało się na wyjazd 120 rodzin. We wsi zostaje jeszcze 50 rodzin i to wahających się, niepewnych. Sąsiednie wsie, jak Wola Cieklińska, Folusz, Pielgrzymka, Rozdzielę wyjeżdżają w całości i to właśnie robi zły wpływ na bednarczan, którzy się jeszcze nie zapisali. We wsi smutek i płacz jak na pogrzebie. To naprawdę pogrzeb Łemkowszczyzny. Większość mieszkańców w Bednarce pogodziła się z wyjazdem tylko pod terrorem miejscowych agentów, którzy na pewno za swoją judaszową robotę wzięli ruble. Podli zdrajcy. Sprzedali swoich niedojrzałych braci Łemków i ... ale im 30 srebrników nie wyjdzie na użytek. Doli Judasza oni nie unikną. Biedni Łemkowie, oni nie wiedzą,

Str.86

co ich czeka i chociaż ogólnie wszyscy z nich z całej duszy nienawidzą Ukr., mnie ich żal, bo i wśród nich można znaleźć ładne charaktery (dobrych ludzi).

Wtorek, 24 IV 1945

Propaganda za wyjazdem do ZSRR idzie wszystkimi sposobami: namową, strachem, terrorem. Pomimo to w ostatnich dniach nie ma ona takiego wpływu jak na początku miesiąca. Pomatu przychodzi opamiętanie. Dochodzą wieści o strasznym byciu w ZSRR. Kilkanaście rodzin pod wpływem tych wieści odwołało swoje deklaracje wyjazdu. I tak we wsi zostaje 80 rodzin. Co będzie z tymi rodzinami? czy wysiedlą przymusowo, czy zostawią na miejscu? Na razie nie wiadomo. Zgłoszone do wyjazdu rodziny przygotowują się do wyjazdu, pieką chleb, suszą suchary itp. Wiele rzeczy, jakich nie mogą zabrać z żywego inwentarza, zboże, grule itp. sprzedają Polakom za bezcen, rujnując siebie w straszny sposób. Sąsiednie wsie Folusz, Wola Cieklińska już wyjechały, ale czekają na stacji w Jaśle, bo nie ma wagonów. Jak dochodzą wieści, niektóre wsie czekają już na stacjach w Krośnie i w Sanoku po 6 tygodni.

Środa, 25 IV 1945

Dzisiaj zaczęła się pokojowa konferencja w San Francisco, którą otworzył następca prezydenta Roosevelta - Truman. Jakie będzie następstwo tego zjazdu, nie wiadomo. Mówią coraz częściej, że będzie jeszcze jedna wojna między Anglikami, Amerykanami a Sowieci. Polacy bardzo niezadowoleni ze swego komunistycznego rządu i opieki Sowieci. Prawdopodobnie przygotowują się do powstania.

Wtorek, 3 V 1945

Dzisiaj rozniósł się wieść, że Sowieci zajęli Berlin i rozbili wielkie niemieckie siły. Na znak radości trąbiły przez godzinę syreny na kopalni nafty w sąsiednich wsiach. Nie sprawdzone wieści podają, że Hitler zginął -jedeni mówią, że popełnił samobójstwo, drudzy znowu podają (twierdzą), że zabili go sami Niemcy, ale to tylko przypuszczenia. Jakby to nie było, Niemców czeka w krótkim czasie katastrofa. Nacisk dwóch frontów: anglo-amerykańskiego i bolszewickiego ze wschodu jest nie do wytrzymania. Niemcy przegrali wojnę przez swą głupią politykę względem podbitych narodów, a szczególnie ich politykę w odniesieniu do Ukrainy - bardzo się na nich pomściła.

Str.87

Sobota, 5 V 1945

Po załatwieniu formalności (ze strony polskich urzędników) połączonych z wyjazdem, Bednarka zaczęła ewakuację. Dzisiaj już trzeci dzień przewożą przesiedleńcy swoje rzeczy na stację do Zagórzan, a zaraz po świętach mają wyjechać.

Wielkanoc 1945

Niedziela, 6 V 1945

Już drugą Wielkanoc obchodzę na wygnaniu. Smutne były poprzednie Święta Wielkanocne, ale przychodzi mi świętować wśród jeszcze cięższych warunków. Nie biorę pod uwagę mojego materialnego położenia, bo te święta były dla mnie najbiedniejsze w życiu do tego czasu, bo do materialnych niedostatków już przywykłem. Nadzwyczajną przykrość sprawia mi tragiczne położenie mojego narodu. Nie znana dola mej rodziny i w końcu smutne moje terażniejsze życie i niepewna przyszłość. Tęsknota za rodziną i rodzinnymi stronami także sprawia mi wielki ból. Tak czegoś ciężko mi na duszy. Taki niepokój i smutek ogarnia mnie, że nie Wielkanoc, a raczej Holhof (Golgota) przeżywam, i gdyby nie było u mnie wiary, że po strasznej Golgocie przyjdzie zmartwychwstanie, nie wytrzymałbym tych cierpień.

Środa, 9 V 1945

Wczesnym rankiem w kopalniach nafty zaczęły trąbić wszystkie syreny. W sąsiednich wsiach też trąbiły syreny prawie godzinę. Był to znak, że coś ważnego musiało się stać na froncie czy w ogóle w świecie. Wkrótce dowiedziałem się (od Sowietów), którzy tu we wsi kwaterują i mają radio, że Niemcy złożyli broń, tzn. skapitulowali, wojna już tym samym zakończona w Europie. Z tej przyczyny ogłoszono święto i z tego powodu trąbią syreny. Dokładniejszych danych, na jakich warunkach

zakończyła się wojna, nie podano, czy cała armia skapitulowała, czy jakaś część, nie wiadomo.

Środa, 9 V 1945 (?)

Częściowe przesiedlenie Bednarki. Na froncie wielkie wydarzenia, ale wieś nie jest tym zainteresowana, a to z tej przyczyny, że przesiedleńcy

Str.88

z Bednarki do ZSRR już trzeci dzień wyjeżdżają na stację do Zagórzan. Otóż cała wieś przejęta tym wyjazdem; ze względu na to, że dużo rodzin wyjeżdża nie z własnej woli, we wsi już trzeci dzień słychać rozpaczliwy płacz. Ludzie wyjeżdżający obcałują swoje domy, ściany, drzwi, padają na ziemię, całują ją i nie chcą z niej powstać. Nie mogę patrzeć na ten ich ból. Żal mi biednych ludzi. Straszne cierpienia, Holhof narodu. Straszny ten Holhof jeszcze i z tego powodu, że nie ma nadziei, że na tych krzyżach przyjdzie dla nich zmartwychwstanie. Łemkowszczyzna odbywa swój pogrzeb.

Środa, 30 V 1945

Ciernista droga przesiedleńców. Droga przesiedleńców do ZSRR jest nadzwyczaj ciężka z przyczyn braku transportu. Przesiedleńcy czekają na stacjach po kilka tygodni (nawet po półtora miesiąca). A kiedy nawet ruszą z miejsca, to długo muszą czekać na stacjach po drodze. Na granicznej stacji Hyrów przechodzą przesiedleńcy swojego rodzaju kwarantannę - „czystyliszcze”, muszą poddać się oględzinom lekarskim i wizycie w NKWD. To wszystko zajmuje bardzo dużo czasu i z tego powodu - jak dochodzą wieści - zgrupowało się tam ludzi z kilkudziesięciu wsi i wśród niezwykle ciężkich warunków odbywają swoje oczyszczenie. Tak, tak, ciężka droga do ziemi obiecanej, raj i wąska brama do niego. Dzisiaj po tygodniu postoju w Zagórzanach przesiedleńcy z Bednarki wyjechali do Hyrowa. W ostatnich dniach wyjechali na stację do Zagórzan przesiedleńcy z sąsiedniej wsi Rozdziela, około 80 rodzin. W kolejności do wyjazdu w najbliższych dniach wyznaczono z naszej okolicy wsie Wapienne i Męcina.

Czwartek, 31 V 1945

Katastrofa Niemiec. Niemcy skapitulowały, tak zwani alianci i bolszewicy zajęli kraj. Większość całej armii z generałami przeszła na stronę aliantów. Co stało się z Hitlerem? Czy ukrywa się, czy zginął, nie wiadomo. Niemcy przegrali wojnę w straszny sposób. Przegrali ją przez swoją głupią politykę i hardość.

Domowe kłopoty

Wtorek, 19 VI 1945

W ostatnich trzech tygodniach dużo kłopotów przyczyniła mi Krystyna. Swym postępowaniem sprawiła mi wielki ból, aż rozchorowałem się

Str.89

naprawdę na serce. Zdaje mi się, że popadnę w rozstrój nerwowy. Tak bardzo niewdzięczna ta moja Krystyna. Nie słucha mnie, okłamuje i przynosi hańbę. Krzywdy jej nie robię, a ona w bezmiernej swojej głupocie i złości wprost żywcem zapędza mnie do grobu. Bardzo dużo miałem już w życiu kłopotów, ale ten ból najstraszniejszy. Wprawdzie ból już minął, ale nie mogę go całkiem zapomnieć.

Areszty NKWD

Poniedziałek, 25 VI 1945

Przed dwoma tygodniami w sąsiednich wsiach Męcynie i Wapiennem przeprowadzono aresztowania. W Męcynie aresztowano dwóch nauczycieli tamtejszych (Galicji) i kilku wieśniaków, a w Wapiennem zaaresztowali trzech, którzy wrócili z powrotem z ZSRR, i ich rodziców. Ci uciekinierzy z ZSRR jeszcze w lutym tego roku wyjechali do rajy i na własne oczy zobaczyli, jak on wygląda. Powrócili do domów i pod wpływem ich wieści z rajy wymienione wsie odmówiły wyjazdu, choć podpisały już wcześniej zgodę. Aresztowania te przeprowadzono oczywiście z zamiarem zmuszenia wsi do wyjazdu. I oczywiście NKWD cel swój osiągnęło. Aresztowani podpisywali prośby na wyjazd do ZSRR i kilku wypuścili na wolność. Wymienione wsie przestraszone aresztowaniami prawie w całości podpisały podania o przesiedlenie.

Sobota, 30 VI 1945

W tych dniach powrócił do Bednarki H. B., jeden z miejscowych przesiedleńców, który wyjechał do ZSRR na początku poprzedniego miesiąca. Był on tam, jak mi opowiadał, w Charkowskiej obłasti przez trzy tygodnie. Wszystkich przesiedleńców z Bednarki rozdzielono po kilka rodzin do różnych kołchozów. Mieszkają razem z tamtejszymi kołchoźnikami. Na drugi dzień po przyjeździe zaraz zabrali ich do pracy w kołchozie. Na razie nie dają żadnych przydziałów, tylko zmuszają ciężko pracować nawet w niedzielę i święto. Miejscowa ludność bardzo biedna i strasznie głoduje. W poprzednim roku za dniówkę w kołchozie otrzymywali 40 kg kukurydzy i więcej nic. Dlatego nie wydaje się dziwne, że cierpią głód. Ze zdziwieniem pytają się tamtejsi ludzie przesiedleńców, po co oni przyjechali. Wśród naszych ludzi straszne przygnębienie i niezadowolenie. Ludzie

Str.90

płaczą i narzekają na swoją złą dolę i żyją tylko nadzieją, że powrócą jeszcze do domu. Gdyby pozbawiono ich tej nadziei, to jak mówił ów uciekinier, ludzie z

rozpaczy popełniliby samobójstwo. On uciekł w podartych łachach, zostawiając swoje rzeczy tam na miejscu.

Niedziela, 2 VII 1945

W ostatnich dniach... przejeżdżało bardzo dużo bolszewickiego wojska. Ze sobą prowadzą wielkie stada koni, krów, owiec i świń. Wiozą także pełne wozy różnego dobra zrabowanego w Niemczech i na Węgrzech.

Str.91

JANINA KISIELEWICZ

(Wspomnienia)

Urodziłam się w 1946 r. w Królowej Ruskiej (obecnie Górnej) w powiecie Nowy Sącz, na rok przed wysiedleniem z gór. Nie mogę więc pamiętać, jak wyglądało życie na Łemkowszczyźnie.

Na Ziemi Zachodnie przyjechalśmy latem 1947 r. Podczas jednego z postojów (w celu zaopatrzenia się w wodę) pozostał i zaginął brat mojej Mamy. Odnależliśmy go dopiero w latach pięćdziesiątych w Kościanie. Miejscem przeznaczenia była wieś Postolice w dawnym powiecie legnickim. Po przyjeździe okazało się, że nie ma już dla nas miejsca. Zaczęło się szukanie nowych siedzib i ostatecznie znaleziono dla nas miejsce w Miercycach w Państw(owym) Gospodarstwie) Rolnym. Z tego okresu niewiele pamiętam, ponieważ byłam jeszcze bardzo mała. Przypominam sobie jedynie kilka nazwisk (Barnowski, Rewak, Szymczyk, Hryniak). Nie pamiętam i nie wiem, jak długo mieszkaliśmy w bloku PGR. Następny etap w moim życiu to przeprowadzka do domu nr 64, w którym w czasach niemieckich był sklep.

Wieś Mierczyce obecnie liczy ponad 120 numerów. 2/3 ludności to mieszkańcy z terenów woj. kieleckiego (osiedlili się głównie w PGR), pozostała część, to rodziny z rzeszowskiego, z Kresów Wschodnich, z robót przymusowych w Niemczech, kilka rodzin niemieckich i jako ostatni przesiedleńcy Łemkowie. Dziś nie ma tu tylko Niemców. Ostatnia rodzina wyjechała w 1966 r.

Na początku było nas około 15 rodzin. Później, kiedy władze pozwoliły już na odwiedzanie rodzin i zmianę miejsca zamieszkania, pozostało tylko 8.

Dom, który otrzymaliśmy do zasiedlenia, był w opłakanym stanie (pozrywane podłogi, okna) - były jedynie ściany i kuchnia kaflowa. Za mienie pozostawione w górach otrzymaliśmy również ziemię - 2,5 ha.

Byliśmy grupą od początku wyizolowaną ze społeczeństwa. Chociaż w sąsiedztwie z poszczególnymi mieszkańcami nie było konfliktów, to zespołowo przez ogół byliśmy izolowani. Dlatego też do chwili pójścia do

Str. 92

szkoły nie miałam kontaktu z dziećmi polskimi, nie umiałam słowa po polsku. Rodzice wychodząc do swoich zajęć poza domem zamykali nas (mnie i siostrę) w domu. Siedzieliśmy przy oknie, bawiliśmy się na parapecie i poznawaliśmy świat przez szybę. Latem bawiliśmy się w ogrodzie za domem.

Kiedy skończyłam 7 lat, poszłam do szkoły. I tu zaczęła się tragedia - nie rozumiałam nic. Do szkoły został wezwany mój tato na rozmowę z kierownikiem, panem Salwińskim. W wyniku tej rozmowy pozostawałam codziennie po lekcjach na naukę języka polskiego. Te bezpłatne korepetycje pozwoliły mi poznać j(ęzyk) polski i opanować go w takim stopniu, abym mogła czytać, rozumieć i poprawnie mówić. W okresie nauki w szkole podstawowej) poznałam wiele koleżanek i kolegów. Do dziś chętnie z nimi rozmawiam przy każdym spotkaniu. Pamiętam jednak jeden przykry epizod z tych lat. Byłam uczennicą drugiej lub trzeciej klasy, kiedy nauczycielka śpiewu powiedziała w klasie: „myślałam, że będę pracować w polskiej szkole, a tu są Niemcy i Ukraińcy”. Po rozmowie mego taty z kier(ownikiem) szkoły ta sytuacja więcej się nie powtórzyła. Chociaż dzieci dalej nas przeżywały, ale zdarzało się to w czasie nieobecności dorosłych.

W tamtych latach religia była w szkole. Uczęszczałam na lekcje religii i na nauki przygotowujące do I Komunii Św., ponieważ rodzice uważali, że powinnam znać prawdy wiary. W domu uczyli mnie również pacierza i modlitw w naszym języku.

Na co dzień żyliśmy bardzo skromnie. Dlatego czekałam na święta. Bardzo lubiłam Wigilię, Święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc. Nie były one wystawne, ale bogatsze niż zwykłe dni. Obchodziliśmy głównie swoje święta religijne, ale również świętowaliśmy uroczystości rzymsko-katolickie. To w końcu ta sama wiara chrześcijańska. Różnica tkwi tylko w języku.

Kiedy podrosłam (miałam 10, 11 lat), Mama często opowiadała mi o życiu w rodzinnych stronach. O tym, jak wyglądała wieś, nasz dom, jak wyglądały zwyczaje i codzienne zajęcia. Zapamiętałam to dokładnie i kiedy nadarzyła się możliwość odwiedzenia rodzinnych stron, pojechałam tam z mężem i dziećmi.

Po ukończeniu szkoły podst(awowej) postanowiłam uczyć się dalej. Mimo że moja Mama coraz bardziej podupadała na zdrowiu, Tato wysłał mnie do szkoły. Zdałam egzamin do Lic(eum) Pedagogicznego) w Legnicy, zostałam przyjęta i zamieszkałam w internacie. W czasie trwania

Str.93

nauki w liceum uczęszczałam również na lekcje religii rzymskokatolickiej i msze Św., ale żeby spotkać się z rodziną, chodziłam w miarę możliwości do cerkwi. W mojej

klasie było kilka osób narodowości łemkowskiej. Wiedzieliśmy o sobie, ale staraliśmy się nie zwracać na siebie uwagi. W całym liceum było nas około 50 osób. Spotykaliśmy się po mszy koło cerkwi.

Na początku III klasy umiera mi Mama. Teraz życie staje się jeszcze cięższe. Moja siostra ma dopiero 14 lat. Jej przyszłość stoi pod znakiem zapytania. Tato zdecydował, że mimo trudnych warunków postara się, abym ukończyła szkołę. Pomogły Mu w tym siostry: Anna, Olga i Ewa. Moja siostra po ukończeniu szkoły (podstawowej) podjęła naukę w Szk(ole) Przynsposobienia) Rolniczego, a następnie w Tech(nikum) Rolniczym w Chojnowie na kierunku zaocznym.

Przez cztery lata mojej nauki w liceum nikt w klasie nie wiedział, kim jestem. Dopiero w V kl. koleżanki-współmieszkanki dowiedziały się o tym, kiedy mówiłam przez sen. Wtedy już nie byłam normalną koleżanką. Jedna ze współmieszkanek w pokoju wypominała mi to przy każdej okazji. Wtedy postanowiłam sobie, że nigdy nie powiem, kim jestem. Ukończyłam liceum i musiałam podjąć pracę. Tylko dwie koleżanki z liceum utrzymywały ze mną kontakt po ukończeniu szkoły (Gienia i Krystyna). Pozostałe dwie nie.

Otrzymałam pracę (a właściwie wybrałam sobie) w powiecie Lubin na wsi. Wybrałam wieś, ponieważ wyrosłam na wsi. Poza tym miałam możliwość otrzymania mieszkania służbowego, co przy niezbyt wysokich zarobkach było dużą ulgą. W powiecie Lubin mieszkało i mieszka do dziś dużo moich rodaków. Rozsiani są po kilka lub kilkanaście rodzin we wsiach: Zimna Woda, Lipiny, Trzmiel, Chobienia, Gawrony Wielkie i Małe, Wysoka i wiele innych. Dziś mieszka ich już znacznie więcej w samym Lubinie. We wsi, w której miałam pracować, nie było ani jednej rodziny z moich stron. Sąsiedni Trzmiel zamieszkowali przesiedleńcy z Binczarowej, Polan, Florynki i Mochnaczki.

Moja ciocia (siostra ojca) odwiedziła tych znajomych i nie omieszkała się pochwalić, że będę pracować w sąsiedniej wsi.

Kiedy podjęłam pracę, wszyscy już wiedzieli, że nie jestem Polką. Nie miałam jednak wielkich problemów z tym związanych. Wydarzył się tylko jeden incydent w czasie sześciu lat pracy w tej miejscowości. Mama dziecka, któremu groziło pozostanie w tej samej klasie, przyszła do szkoły

Str.94

i w obecności kierownika powiedziała, że nie jestem Polką i nie mam prawa jej dziecku wystawiać ocen ndst. Powiedziałam tej Pani, że moje pochodzenie nie ma nic wspólnego z ocenami, i jeżeli taka sytuacja powtórzy się jeszcze raz, to inne władze będą z nią rozmawiać.

We wsi, w której pracowałam, mieszka ludność z kresów. Są to Polacy, którzy mają rodziny na Wschodzie, są również rodziny mieszane z Ukraińcami. Wśród tych ludzi poznałam człowieka, który jest dzisiaj moim mężem. Ukończył studia na Politechnice Wrocławskiej.

Ja po I roku pracy rozpoczęłam zaocznie naukę w Studium Nauczycielskim w Jeleniej Górze - kierunek: filologia rosyjska. Po jego ukończeniu podjęłam studia na Uniwersytecie Wrocławskim, ale ze względu na zdrowie przerwałam po II roku.

Następny etap w moim życiu, to przeprowadzka do Lubina. Mąż otrzymał pracę w kopalni miedzi, stanowisko sztygara i mieszkanie. Po roku pracy w kopalni przeprowadzamy się do Wrocławia. Tu mąż podejmuje pracę w instytucie naukowym, a ja obejmuję pracę w szkole.

Moje kontakty z rodziną są bardzo częste (głównie z siostrą i najbliższymi kuzynami), ale nie z całą. Cała rodzina spotyka się obecnie najczęściej na pogrzebach i ślubach. Więzy stają się coraz luźniejsze wskutek różnych i odległych miejsc zamieszkania i pracy. Miejscem kontaktów młodzieży są zabawy taneczne, coroczna Watra w górach, występy zespołu „Łemkowyna”, od dwóch lat Watra w Michałowie koło Lubina oraz spotkania po mszy koło cerkwi. Świetlice są tylko w dużych miastach i to pod patronatem UTSK (Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne), a nie wszyscy chcą tam chodzić.

W sumie przepracowałam 25 lat w zawodzie nauczyciela (od roku jestem na rencie II grupy), a we Wrocławiu 17 lat. O tym, kim jestem, wie tylko jedna koleżanka. Nie uważałam za konieczne, aby ktoś więcej wiedział. Mój mąż uważa, że ja mam na tym tle kompleks. Może to prawda.

W mojej rodzinie jest z roku na rok coraz więcej małżeństw mieszanych i nie ma na tym tle konfliktów. W przeszłości zdarzały się i to nawet dość drastycznie. Ginie jednak bezpowrotnie kultura - uboga wprawdzie, ale ciekawa. Ginie zresztą nie tylko łemkowska kultura.

W ciągu swojego życia byłam dwa razy w rodzinnych stronach. Odwiedziłam wieś mego urodzenia, wieś taty - Binczarową, sąsiadów i obecnego gospodarza naszego domu. Stwierdziłam, że życie jest tam dużo cięższe aniżeli na Ziemiach Zachodnich. Dlatego też niektórzy ze starszych

Str.95

rodaków mówią, „żeby Pan Bóg dał temu zdrowie, kto nas stamtąd wysiedlił”.

Moja siostra urodziła się tutaj i nie tęskni za górami, chociaż wybudowała sobie duży dom w Krynicy. Jej jest tu dobrze. Prowadzą z mężem duże gospodarstwo rolne w Mikołajowicach i żyje im się dostatnio. Ja mogę tylko powiedzieć że „tu jest mi dobrze, bo tu jest moja Ojczyzna”.

Są tacy spośród moich rodaków, że wylewają łzy za rodzinnymi stronami, piszą o tym książki, jakich krzywd doznali, a w końcu emigrują w poszukiwaniu nowej ojczyzny, w której także są mniejszością.

Str.96

TEODOZJA KOLICZKO

Akcja wysiedleńcza Łemków

Minęło już 44 lata od chwili mojego przyjazdu na Ziemię Zachodnie, ale te chwile pełne dramatyzmu pozostaną mi w pamięci na całe życie.

To wszystko, co się wtedy działo, trudno wszystko teraz ująć w słowa. Były to dni grozy. Ludzie spędzeni z niewielkim dobytkiem, bo wiele rzeczy nie wolno było wziąć, zastraszeni okrzykami, pędzeni byli w nieznane.

Cała ta akcja wysiedleńcza, obecnie nazwana akcją „W”, trwała od 2 do 12 lipca 1947 r.

Z domu rodzinnego, gdzie się urodziłam i przeżyłam 25 lat, wygnano nas wtedy w lipcu do miejscowości zwanej Florynką. Tam czekaliśmy dwa dni. Następnie pieszo i wozami przybyliśmy do Grybowa. W podróż w nieznane jechałam z miesięcznym dzieckiem, ile się namęczyłam i natrudziłam, tego nie da się opisać, to wszystko trzeba było przeżyć.

W Grybowie załadowaliśmy swoje rzeczy w wagony towarowe. W jednym wagonie jechały cztery rodziny, 3 krowy, 3 owce, 2 kozy i kury w paczkach. Wieźliśmy ze sobą trochę odzieży, kilka naczyń i w paczce około 1 q ziemniaków oraz trochę ziarna. Ruszyliśmy wreszcie w podróż na zachód Polski. Transport, w którym jechaliśmy, liczył 50 wagonów, ciągnęły go dwie lokomotywy.

Pierwszy postój mieliśmy w Oświęcimiu, gdzie staliśmy trzy dni. Dzięki życzliwości tamtejszych ludzi można było wykąpać dziecko. Jednego dnia kąpałam swoje maleństwo na dworze, bo takie były warunki. Nigdy nie myślałam, że moja mała córeczka przeżyje te trudy podróży.

W czasie podróży dostawaliśmy ciepłe zupy. Kupowaliśmy też chleb dotąd, dopóki starczyło nam pieniędzy; zmuszeni byliśmy głodować. Na-głodowaliśmy się wtedy, jak nigdy w życiu.

Wreszcie przyjechaliśmy do Legnicy, gdzie zatrzymaliśmy się na dwa dni. Następny dwudniowy postój mieliśmy we Wrocławiu-Brochowie. Z Wrocławia zawieziono nas do Wołowa i tam czekaliśmy 4 dni, gdyż nie było dla nas miejsca. Żywności też nam nie dowieziono, toteż głód nam

Str.97

bardzo dokuczał. Z Wołowa z kolei skierowano nas do Żurawic. Tam cztery dni mieszkaliśmy w stodole, potem w domu bez drzwi i okien.

Wędrownikom nie było końca. Z Żurawic skierowani zostaliśmy do Dolnego Brzegu, a stamtąd do małej miejscowości Moczydlnica Klasztorna do PGR. W PGR mąż zaczął pracować. Mieszkaliśmy tam 9 miesięcy. Zamieszkaliśmy w domu bez okien i w pierwszej kolejności trzeba było zająć się szkleniem okien. Ze zdobyciem żywności były kłopoty. Ponadto ludzie bardzo nam dokuczali, nazywali nas banderowcami. Wcześniej poszła już wieść o tym, że przyjeżdżają ludzie źli, że przywiezieni zostali za

karę. Wszyscy mieszkańcy wrogo na nas patrzyli i odnosili się do nas bardzo nieżyczliwie.

W PGR życie było bardzo ciężkie, toteż z teściami postanowiliśmy się przeprowadzić do następnej miejscowości położonej 3 km dalej. W dwóch pokojach z kuchnią mieszkało nas 11 osób. Warunki do życia były bardzo trudne, musieliśmy zatem szukać nowego mieszkania. Była to już nasza ostatnia przeprowadzka. Znaleźliśmy mieszkanie w tej samej miejscowości w niewielkiej lepiance, która była w kiepskim stanie i wymagała remontu. Zaraz po przeprowadzeniu się do tego domu zawaliła się jedna ściana i trzeba było ją odbudować. Dom był pusty, nie było tam żadnych mebli. Aby zdobyć meble, trzeba było pracować u gospodarzy po kilka dni. Za jedno łóżko pracowałam trzy dni, za drugie żądano 1 litr wódki. Stół też mąż dostał za pracę. I takim sposobem zgromadziliśmy trochę sprzętu, aby jakoś żyć. Meble te na pamiątkę zachowaliśmy do dzisiejszego dnia. Całe życie upływało nam na dorabianiu się różnych rzeczy.

Rodzina moja powiększyła się do sześciu osób i już ciasno nam było w małej starej lepiance. Zbudowaliśmy domek jednopiętrowy.

Kiedy dzieci zaczęły chodzić do szkoły, zawsze były prześladowane i bite, dokuczano im i obrzucano różnymi obraźliwymi przezwiskami. Wiele razy mąż musiał chodzić na skargę do nauczycieli lub rodziców za złe zachowanie się uczniów w drodze do szkoły.

Wiele lat musiało upłynąć, aby mieszkańcy nas zaakceptowali i zrozumieli, że my też jesteśmy ludźmi godnymi i zasługującymi na szacunek i poważanie.

Do tej pory nie mogę zrozumieć, za co nas Łemków, tak bardzo ukarano. Przecież nigdy nic złego nikomu nie zrobiliśmy, mieszkaliśmy spokojnie w górach wśród swoich, a tak wiele musieliśmy wycierpieć.

Str.98

SEMAN MADZELAN

Spowiedź z nie popełnionych grzechów

Szumtfe werszky i potyczky, oj tam na łemkowymi

Szumtfe czerczcie czujeme was na dalekij czużyni

(fragment łemkowskiej pieśni, zrodzonej na wygnaniu)

Podług metryki nazywam się Symeon Madzelan ur. 18 II 1922 r. we wsi Binczarowa, gm. Grybów, woj. Nowy Sącz.

Na tej metryce w łacińskim i ukraińskim języku widnieje elipsowata pieczęćka w kirylicznym brzmieniu: „Grieko-katolicka parafia sw. Dimitrija w Biłcarewi”. W 1946 r.

bez mojej zgody przechrzczono mię na „Szymona” i po dzień dzisiejszy postuguję się tym imieniem w Urzędach, jak również w polskim otoczeniu. Rodzice i moi ziomkowie wołali mnie z łemkowska - Seman, natomiast nauczyciele i ksiądz z ukraińska - Semen. Te dwie minimalne różnice nie brałem pod uwagę, ale z „Szymonem” nie jestem w zgodzie po dzień dzisiejszy, gdyż wepchano mi go na siłę.

Co do nazwy mojej wsi, to nikt z jej mieszkańców nie miał wątpliwości, że w mroku dziejów ktoś właśnie nazwał ją z ruska - Biłcarewa. W tej to wsi ukończyłem podstawową szkołę (7 lat) w ukraińskim i polskim języku. To aż później łemkowszczyźnie odebrano prawo do literaturnego ukraińskiego języka i na siłę naszym dzieciom dano do rąk łemkowski Bukwar, zresztą silnie spolszczony pod redakcją renegata z Krynicy - Metodyja Trochanowskiego, którego pradziadkowie nazywali się Trochanowyczy. Zresztą ten jego Bukwar miał krótki żywot i po trzech czy czterech latach wycofano go z naszych szkół i wprowadzono wyłącznie język polski.

Moja wieś miała około 140 domów (1939 r.) i w przybliżeniu tyle samo rodzin. Żyła tam „jak u Boga za drzwiami” jedna rodzina czysto polska, jedna żydowska, jedna mieszana łemkowsko-polska. Daleko za wsią była również kolonia polska, zwaną Kawerami i żyło w niej 5 rodzin. Moi rodzice posiadali dość duże gospodarstwo rolne i wszystkich gruntów po komasacji (1936 r.) było 24 ha, w tym pięknego lasu 7 ha. Było nas tylko trzech braci, z których ja byłem najmłodszy. Najstarszy brat ukończył

Str.99

polską humanistyczną gimnazję (8 lat) i wkrótce po maturze wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdyż tam się urodził. Młodszy brat miał wielką smykałkę muzyczną (również rodzony w Am(eryce)) i ukończył trzyletni kurs „diakowski” (coś takie jak organista) przy monasterze o. o. Studytów we Florynce. Ja choć miałem dobrą chęć do nauki, nie mogłem ruszyć się z domu, bo ojciec wybrał sobie właśnie mnie na jego następcę. Zresztą bardzo lubiałem zawód rolnika i bez reszty poświęciłem się ojczystej ziemi.

Okrutna wojna

Nie trzeba tu nikomu wyjaśniać, że młodzieniec mający 17 lat z wybuchem wojny, przeniósł na swych barkach cały jej ciężar i niejednokrotnie musiał ryzykować swym młodym życiem. Okupacyjne władze wprowadziły tak zwane „kienkarty” (Kennkarten) i dla mniejszości łemkowsko-rusko-ukraińskiej dano je w odróżnieniu od „P” ukraiński symbol „U”. Nasi łemki przyjęli to ani zimno, ani ciepło, a jednak powstała między nimi jakaś nowa bariera, która w sąsiadach była gołym okiem widoczna i wręcz szkodliwa.

Mając parę dobrych koni, musiałem często wyjeżdżać z domu na różne forszpany, wozić z lasów kłocy itd. Prawie za rok służyłem w przeklętym „Baudyńście” (Baudienst), w którym dobrze zapoznałem się z niewolniczą pracą. Za pół roku pracowałem z końmi i sam przy frontowych fortyfikacjach, a nocami pomagałem

rodzicom na gospodarce. Było naprawdę ciężko, ale żyło się nadzieją, że „nasi” wkrótce przyniosą nam na swoich sztykach upragnioną wolność. Wreszcie po długim czekaniu, 19 stycznia 1945 roku, wkroczyli na naszą ziemię „legendarne” oddziały Armii Czerwonej. Ale już po krótkim czasie zrozumieliśmy, że nic się dla nas nie zmieniło. W siarczyste mrozy wożę końmi drzewo z lasu na budowę mostów i częściowo odmrażam palce u nóg. Za kilka dni leczy mnie tylko matka tartymi ziemniakami, ale stary już ojciec musiał mnie zastąpić i bardzo było mi go żal, jak wracał wieczorem z soplami lodu na siwych wąsach.

W końcu wczesną wiosną 1945 r. zabierają mnie jak „dobrowolca” (ochotnika) do Armii Czerwonej. Nie było to takie proste wymigać się od tego, gdyż enkawudzist dał dokładnie ojcu do zrozumienia, że jak się nie stawię, to wywiozą go jak „kułaka”, tam gdzie niedźwiedzie zimują. Nie

Str.100

wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że są aż takimi kłamcami, przecież byliśmy polskimi obywatelami i nie mogli mieć do nas żadnego prawa. Już po dwutygodniowym przeszkoleniu wojskowym rzucają mnie na pierwszą linię frontową pod Morawą Ostrawską. Boże święty, któż kiedy policzy, ile tam zginęło łemkowskiego kwiatu. Tylko z mojej wsi leży tam 6 (sześć) moich kolegów. W praskiej ofensywie - 6 maja zostaję ciężko ranny i w rezultacie w gnijących ranach wegetuję w sowieckich szpitalach za osiem miesięcy. Potem znów służę „jak miednoej kotłok” w „Doitch Lisse”, dzisiejsza Leśnica-Wrocław.

Powrót i sieroctwo

Nareszcie przy końcu kwietnia 1946 r. dają mi ośmiodniowy „odpusk” (właśc. odpusk - urlop) na „rozysk (poszukiwanie) rodziny” (famillii), ale z wojska nie demobilizują. Pełen nadziei, z myślą, że już nigdy więcej mnie nie zobaczą, podchodzę do rodzinnej wsi, ale już na początku wsi dowiaduję się, że mojej rodziny nie ma, gdyż „dobrowolnie”, jak i ja do wojska, zgłosili się na wyjazd do „Rosji” albo inaczej - na radziecką Ukrainę. W jednej chwili zrozumiałem, że straciłem wszystko. Mimo to wszedłem do swej chyży (chałupa, chata), na której gospodarzyli już zupełnie nie znani mi ludzie.

Przyjęli mnie jakoś więcej jak chłodno i nie widząc tu przytułku, zostawiłem ich w spokoju. Poszedłem do dalekich naszych krewnych, których dom stał na samym skraju lasu. Przyjęli mnie z łemkowską gościnnością, ale tylko jedną noc przespałem spokojnie. Na drugą noc gdzieś koło północy wdarli się do domu bandyci i bronią sterroryzowali nas wszystkich. Grabili, co było pod ręką, i wiązali w pościelowe przyścieradła. Mnie jak „sołdata” potraktowano bardzo groźnie i cały czas stał przy mnie bandyta z pistoletem, ja zaś ręce trzymałem do góry stojąc twarzą do pieca. Tylko raz uderzono mnie pistoletem. Gospodarz i gospodyni mieli potem więcej sińców, gdyż odważyli się im coś powiedzieć. Gospodarzom zabrano świąteczne ubrania, obuwie, pieniądze (musieli pokazać schowek, gdyż ich bito i grożono

śmiercią), stoninę i „śliwownicę” (wódka ze śliwek pędzona domowym przemysłem). Zebrano również wszystkie moje wojenne trofeje razem z „sumką” (plecakiem), całkowite umundurowanie włącznie z czapką zimową i pilotką, koszulą i butami.

Str.101

Zostałem w cudzej chacie, goły i bosi, jedynie zostały mi kalisony, w których spałem. Całe lato nie pokazywałem się między ludzi, bo nie miałem w czym. Mizernie ubrany pracowałem u tych gospodarzy za wyżywienie i dobre słowo.

Pasłem krowy na pastwisku i rozmawiałem z nimi jak z ludźmi. Zazdrościłem ptakom, że mają swoje gniazda, wiewiórkom, że mają swoje dziuple, mrówkom, że mają swoje mrowiska. Byłem przecież sierotą. Marzyłem tylko o jednym: jakim cudem zdobyć choć kawałek ziemi i żyć na niej choćby w szałasie, ale na swoim, tu w rodzinnych stronach. W zimie otrzymałem od brata z Kalifornii bardzo cenną przesyłkę (pisał do niego o ratunek) z ubraniem, obuwiem i bielizną. Znalazłem sobie narzeczoną, i po pewnym czasie wzięliśmy cywilny ślub (17 czerwca 1947 r.). Od razu przeniósłem się pod jej dach do jej rodziny. Jej ojciec krótko przedtem umarł w szpitalu na żołądek i prędko był potrzebny gazda. O hucznym weselu nie mogło być mowy, bo w domu była żałoba. Było to gospodarstwo również bogate, bo jej ojciec był dwa razy w Ameryce i do śmierci był amerykańskim obywatelem.

Wygnanie na polski „Sybir”

Krótko cieszyłem się pięknym malowanym i krytym blachą domem, urodzajną ziemią i dostatkiem pod każdym względem. Zapowiadały się piękne urodzaje w polu i w sobotę rozpocząłem koszenie pachnącej koniczyny, gdyż przyszedł na to czas. Ktoś może powiedzieć, że byłem skrainim (skrajnym, ostatnim) głupcem, wiedząc że ze wschodniej Łemkowiny wysiedlają ludność, a ja pracowałem do końca. Trzeba tu wyjaśnić, że i w tym miejscu naiwnych Łemków robiono na szaro, bo zapewniano nas, że sądecki powiat nie podlega przesiedleniu, gdyż jej mieszkańcy nie sprzyjają „banderowcom”. Wierzyliśmy temu i nie wierzyli, a na wszelki wypadek, po cichu, zbijaliśmy z desek paki. Przy takiej robocie, wieczorem w sobotę, zastał mnie polski wojskowy patrol na koniach i bardzo mnie skarcił i wyśmiał, że bez przyczyny popadam w panikę. Raniutko przed wschodem w niedzielę 30 czerwca zbudził nas wszystkich silny łomot w drzwi. Dwóch polskich żołnierzy przykazało nam do dwóch godzin być gotowym do wyjazdu. We wsi było pełno wojska i konne patrole szarżowały każdy dom zamieszkały przez Łemków. Aż koło południa

Str.102

Łzawiącym wzrokiem żegnaliśmy swoje góry, gdyż długo staliśmy w zbiorce pod wsią.

Droga w nieznane, czyli w Babilońską niewolę

Zaskrzypiały wozy i tumany kurzu uniosły za niezwykłym karawanem. Bolesną skargą zapłakały starce, a małe dzieci widząc że płaczą dziadki, płakały sobie zupełnie nie rozumiejąc, o co tu chodzi. Złowrogo wyły psy przy szosie i kuląc ogony zmykały nam z oczu. Polskie wojsko jak tatarwa na „Dzikich Polach” wulgarnym przekleństwem popędzała nas w jasyr dwudziestego wieku. Obchodzono się z nami wręcz brutalnie, jakby nigdy nie byliśmy obywatelami tego dziwaczanego kraju. Przy drodze często można było widzieć małe grupki ulicznego motłochu, który wykrzykiwał w naszą stronę swoje „patriotyczne postulaty”: „Spopielić chamów w Oświęcimiu” albo „Wysłać ich do morza jak śmierdzące robactwo” itp. Ale widziałem również i ludzi z ludzkim sercem, którzy widząc naszą niedolę spótczuli nam i rękawami ocierali swoje łzy. Nie zapomnę nigdy siwego starca, który stał przed swym domem i prawą ręką robił w powietrzu, w naszą stronę, znak krzyża świętego. To oni, stare dobre nasze sąsiady, skinięciem ręki lub obtartą łzą dodawali nam otuchy, że tam gdzieś w dalekim niewiadomym, spotkamy również ludzi, nie tylko samych drapieźników.

Nocleg na dworcu kolejowym i „zapęd”

Długi czerwcowy dzień był nadzwyczaj gorący i rozgrzany dworcowy bruk grzał nas wszystkich do północy jak duży łemkowski piec. Byliśmy pod silną strażą wojskową i prawie wszystkie rodziny usnęły krótkim letnim snem wierząc nadal, że gdzie jak gdzie, ale tu są pewni o swój dobytek. Niestety, zginęło kilka tobołków, krowa, kilka owiec i cielaków. Rano na skargę poszkodowanych odpowiadało tylko szyderczym śmiechem. Po południu podstawiono kryte i niekryte wagony i przykazano się nam ładować. Młody chłopak pod koniec wojny przyjechał z przymusowych prac do domu gdzieś aż spod Magdeburga - rowerem. Była to jego

Str.103

wojenna zdobycz za dwa lata darmowej pracy. Ładując rower do wagonu, czepił się jego dzienny złodziej i ciągnął w swoją stronę. Chłopcu pomagała jego matka. Widząc, że nie da rady, uderzył matkę dębową laską po rękach i wyrwał chłopcu rower. Działo się to na oczach wszystkich, włącznie ze stojącymi z boku żołnierzami. Drugą noc nocowaliśmy już w wagonach i nic szczególnego się nie działo. Ale z samego rana urzędnicy PUR-u już z samego rana spisywali nasze dane i ruchomy inwentarz. Funkcjonariusze bezpieczeństwa co chwila kogoś „zapraszali” do siebie, i ci mężczyźni wracali albo nie wracali do swych wagonów. W końcu dyskretnie kiwnięto palcem i w moją stronę. Zaprowadzono mnie opodal do domu fotografa i wepchnięto do małej piwnicy pod sieniami. Zastałem tu już dwunastu przeważnie młodych i znajomych ludzi. Większość stanowili mężczyźni, resztę kobiety. Po jakimś czasie wywołano i moje nazwisko. W dużym pokoju za stołem siedział porucznik wojska polskiego i jeszcze dwóch podoficerów. Na stole przed porucznikiem leżał chłodny nagan i trzy pięciobiczowe nahaje. Wyraźnie widać było, że wszyscy są po dobrych „sestkach”. Pan porucznik uśmiechnął się grzecznie i zapytał: „Co nam pan powie o swych braciach banderowcach”. Wyprężyłem się po wojskowemu, i krótko odpowiedziałem: „Panie poruczniku, ja tych ludzi nigdy na oczy nie widziałem”. Jak

pioruny z nieba, momentalnie spadły na mnie piekące bicze, które cięły moje ciało jak ostre żyłki. Usłyszałem tylko jak przez bombardowanie słowa porucznika: „Uciekaj ukraiński chamie, bo cię zabiję”. Leciąłem do wyjściowych tylnych drzwi pod piekącymi razami i stanąłem na progu, bo zagroziło mi drogę dwóch drabów w mundurach. Te z kolei porządnie kopnęli mi w tyłek, przez co porządnie zaryłem nosem o podwórkowy bruk. Uciekałem prosto na przelaj przez ogródki i płotki w kierunku stacji. Za sobą słyszałem porządny żołnierski śmiech. Wleciałem do swego wagonu skrwawiony jak kogut, który co tylko został pokonany przez swego podwórkowego rywala. Przecież byłem tylko w cienkim podkoszulku i baty z łatwością cięły moje ciało. W rezultacie tego pobicia, może ze dwa tygodnie nie położyłem się na plecy odpoczywać. Nie miałem żadnej maści na rany, tylko żona smarowała mi je stódką śmietanką. Tego dnia zabrano tylko z mojej wsi ośmiu mężczyzn, przeważnie starszych gazdów, do Nowego Sącza. Przez główną ulicę Jagiellońską prowadzono ich do więzienia jak złapaną sotnię banderowską w leśnych odstępach. I znów uliczny motłoch wyzywał ich obrzydliwymi słowami. Rzucano w nich kamieniami i wszelką zgnilizną.

Str.104

Nie wszyscy z nich przeżyli gehennę Jaworzna, a ci co wrócili stamtąd, do grobowej deski nie zdradzili tej strasznej tajemnicy, jakie katusze tam przeżyli.

Ognisty koń w rękach sadysty

Jak seryjne pioruny uderzyły bufory bydlęcych wagonów i nasze paki i toboły leciały na głowy i obracały wszystko, co było dbajliwie ułożone w kosmiczny chaos. Porozbijały się garnki z mlekiem, porozlewała się zapasowa woda z konewek, toboły z pościelą poleciały pod krowie nogi, które biedne padały na kolana i odbijały sobie boki o ściany. Po kilkakrotnym takim trzęsieniu, niesamowity pociąg zwolnił do kroku piechura. Wcale nie domyślaliśmy się przyczyny. Ale pan maszynista wiedział, co robi. Na dwóch platformach były nasze rozmontowane wozy, drabiny, pługi, brony, a nawet i dziecięce kołyski. Na te to wagony powskakiwały chłopskie hieny i zrzucali do rowów co się dało. Po tym rabunku (już na szczęście ostatnim) pociąg znów jechał normalnie, ale nigdy nie byliśmy pewni, kiedy się to znów powtórzy. Transport co trochę zatrzymywał się z nie znanych przyczyn w szczerym polu i stał długie godziny. Po oświęcimskim „przetaku” hece z trzęsieniem znów się powtórzyły (w innym transporcie, który wioził florynczanów, dwom ludziom paki połamały żebra, w naszym skończyło się na guzach i sińcach) i ktoś wpadł na pomysł, żeby dla pana maszynisty złożyć się na porządną flachę. W obecności jednego żołnierza wrzucaliśmy czerwone stówy do sołtysowego kapelusza jak daninę na ołtarz złego ducha. Pomogło, jakby ręką odjął i od Katowic po Chocianów (wtedy Kaczanów) mieliśmy „luksusową” jazdę, choć w odorze krowiej gnojownicy (moja rodzina składała się z 7 osób, dwóch pociągowych wołów i 4 dojnych krów). Dla siebie mieliśmy wystarczającą ilość pożywienia, które z rozmysłem sobie przygotowaliśmy. Gorzej było z chudobą, bo zapasy się skończyły już przed Katowicami. Korzystaliśmy z

długich postojów w szczerym polu i wtedy na skarpach kosiliśmy trawę, żęli sierpami albo po prostu darli rękami. Przecież trwało to długich osiem dni.

Str.105

Dziki zachód

W tym maleńkim miasteczku, wojsko przekazało nas miejscowej milicji i wszelkiej maści ormowcom. Nasz transport oblecieli kupcy i proponowali nam bezczelne ceny za nasz rogaty inwentarz. Straszili nas w różny sposób, że i tak taką ilość chudoby nie utrzymamy, bo wszyscy będziemy tylko wyrobnikami pegeerów. Częściowo mieli rację, ale my mieliśmy już czas. Co będzie, to będzie. Najważniejsze było to, że nikt już nam tego dobytku na siłę nie wyrwał z rąk. Przy montowaniu dwóch wozów, jakie posiadałem, brakuje całego półwozia i jednego koła do kompletu. Zamiast koła, wmontowałem gruby drewniany smyk, a przodek wozu przyczepiłem z tyłu. Na ten pięciokołowy wehikuł z trudem załadowałem swój niedokradziony dobytek. Woły miałem silne, czerwonej polskiej rasy, a mimo to pieniały się od nadmiernego wysiłku, ten nieszczęsny smyk był przecież solidnym hamulcem. My wszyscy szliśmy pieszo 18 kilometrów. Nie mieliśmy szczęścia, popadliśmy w gniazdo kresowych szowinistów, w dodatku kilka dni przed nami osiedlono tu już 10 rodzin z gorlickiego i dla nas już nie było miejsca. Milicja powiedziała nam że to jakaś „pomyłka” PUR. Było nas w drugim rzucie też dziesięć rodzin i tylko dla czterech znalazły się jakie takie rudery. Pierwszą noc (chyba dwie) nocowaliśmy na dużym folwarcznym podwórku pod rozłogim kasztanem i spaliśmy jak przysłowiowe susły, naddając sobie zaległe. Wcale nie wiedzieliśmy o tym, że pilnuje nas oddział „pogotowia wojennego”, uzbrojony w siekiery i łomy. To aż po pół roku sami członkowie tego pogotowia powiedzieli nam o tym. Przecież byli uprzedzeni przez kompetentne „władze”, że jesteśmy groźnymi przestępcami.

Jak wszędzie, tak i tu byli ludzie i ludziska. Jedne rzucali do nas kamieniami i pluli na nas, a drugie pomagali nam, jak mogli, żebyśmy zupełnie nie zmarnieli. Dobrym człowiekiem okazał się sołtys tej wsi Kowalczyk, ale nie wiele mógł nam pomóc, bo wszystkie użytki rolne były rozdysponowane i domy zajęte. Wreszcie jeden Łemko z Ragiełowa wpuścił nas do swego domu i dał nam 1 pokój 6 x 5 m. Również nasze bydło znalazło miejsce w jego dużej oborze. Podobnie znalazło jeszcze miejsce 5 rodzin. Był to dość duży na pół zrujnowany folwark z dwoma zagrzybionymi czworakami i w tym gęście (getcie) gnieździło się nas do wiosny 6 rodzin jako lokatorzy. Na środku tego podwórza stało cielsko dużo kalibrowej haubicy, koło której były rozrzucone wielkich rozmiarów mosiężne

Str.106

hilzy. Jedna nasza pomysłowa stara babka zrobiła sobie z takiej hilzy stępe, w której dębowym tłukiem robiła wcale dobre pęcaki z przywiezionego z domu jęczmienia. Pod ścianą jej na pół rozwalonego czworaka był duży stos pierzastych min (kilka ton), ale nikt na to nie zwracał uwagi. Wojenny złom w postaci „tygrysów”,

„lampartów”, tankietek, przeciwlotniczych zenitek stał szeregiem wzdłuż całej drogi wiejskiej i w niektórych miejscach trudno go było objechać.

Najgorzej było, że nie mieliśmy pastwiska dla przywiezionego bydła. Kilka dni naprawdę był to problem nie byle jaki. Dowiedzieliśmy się, że niedaleko za wsią są duże niczyje pastwiska i łąki, ale niestety jeszcze nie rozminowane. Rok temu taka mina zabiła parę koni i furmana i od tej pory nikt tam nie chodził. Nie mając innego wyjścia, zapędziliśmy tam wspólnie może dwadzieścia krów i wołów i z dala czekaliśmy, co będzie. Nic nie było, krowy obżerały się do syta, obcierały się o niemy wojenny sprzęt i już za kilka dni doszły do dobrej kondycji. Doiły się znakomicie, tak że nasze kobiety zaczęły jeździć z masłem i serem na targ. Z niemąym kłopotem zabezpieczyliśmy też nasze bydło w paszę na zimę. Kosiliśmy kosami pegierskie łąki, zbieraliśmy za koparką ziemniaki, a zimą cięliśmy lasy państwowe, albo znów woziliśmy wołami kłocy, kopalniak, do kolejowej stacji. Co jak co, ale głodu w Ludowej Polsce żeśmy nie znali. Wczesną wiosną uprosiliśmy PUR, żeby pozwolił nam, pięciu rodzinom, przenieść się na trzecią wioskę, z góry nami upatrzony pusty, choć też dobrze zrujnowany mały folwarek. Tak samo nie było tu ani drzwi, okien, a nawet pieców, bo jakiś wariat wszystkie piece poburzył szukając niemieckiego złota. Okna, drzwi, wrota, a nawet niektóre podłogi, drogie meble, miejscowi ludzie albo użyli na opał, albo wywieźli na inne potrzeby. Ale mieliśmy tu w bród ugorów i pastwisk. Co prawda, za cztery dziesiątki lat mieliśmy wspólne podwórko, ale żyliśmy w zgodzie. Jeszcze raz mnie przesiedlono na drugi koniec wioski podczas przymusowej kolektywizacji. Na tym już małym wygnaniu byłem ze trzy lata, a po rozwiązaniu kołchozu, wróciłem znów na „swoje”. Ta nieduża wieś miała tę dobrą stronę, że zajmowali jej ludzie z kieleckiego i tarnowskiego, a więc odnosili się do nas wcale po ludzku.

Początkowo nie mieliśmy swoich punktów sakralnych, więc święta i niedziele spędzaliśmy w czterech ścianach. Którejś niedzieli postanowiliśmy jednak mimo wszystko pójść do kościoła. To było blisko i poszliśmy we czterech. Niestety, nasze modły trwały bardzo krótko, bo ksiądz

Str.107

widząc nas, wyszedł na ambonę i strugnął swoją „homilię”, zresztą bardzo nie w czasie. Co chwila podnosił ręce i oczy do nieba i wzywał wszystkie ogniste pioruny, żeby w korzeń wytępilli schizmatyków. Nawiązał te swoje bardzo „uczone” słowa do hajdamackich, chmielnickich, banderowskich rzezimieszków, wzywając Boga do całkowitego się rozprawienia z nimi. Nie pominął i nieboszczyka metropolitę lwowskiego Andrzeja Szeptyckiego, który ponoć święcił noże banderowcom, by rznąli Polaków. Niektóre „świętki” patrzyły w naszą stronę zabójczo, więc po cichu daliśmy drapaką, gdzie pieprz rośnie.

Memu sąsiadowi zachorowało kilkudniowe dziecko, więc zawiózł go do lekarza. Ten zobaczywszy jego agonię, zapytał się tylko, czy jest już chrzczone i radził natychmiast to zrobić. Polecieli z nim do najbliższego proboszcza i prosili go o udzielenie św. sakramentu. Ten dowiedziawszy się, kim są jego rodzice, stanowczo odmówił.

Galopem polecieeli do domu i jeden stary łemko przeżegnał św. krzyżem konające maleństwo i nadał mu chrześcijańskie imię. Dziecko wkrótce umarło. I znów świeży kłopot, bo nie było go gdzie pochować. Miejscowy ksiądz dowiedziawszy się o tym, osobiście przyleciał na motorku i stanowczo zabronił wejścia z nim na cmentarz. Rozmowa odbywała się na naszym wspólnym podwórku, więc byłem mimowolnym świadkiem tej dramatycznej sceny. Matka tego dziecka ogromnie płakała, prosiła, usiłowała całować go w ręce, ale nie pozwolił. W końcu w rozpaczycy zapytała: „No to gdzie proszę księdza mam go pochować?” Bez namysłu odpowiedział: „A co mnie to obchodzi, możecie go pochować i na tym podwórku”. Trzeba było udać się aż do prokuratury, żeby takie zezwolenie otrzymać. A przecież cmentarz w naszej wsi jest komunalny.

Takich przypadków było w naszej okolicy kilka. Mijały lata i moja najstarsza córka poszła pierwszy rok do zawodówki w Legnicy. Któregoś dnia zapytała mnie, czy może uczęszczać na rzymskokatolickie lekcje religii. Nie tylko, że jej pozwoliłem, ale również zachęcałem ją do tego, wierząc, że słowo Boże nie ma nic wspólnego z polityką. Jakże się pomyliłem. Już po trzeciej lekcji, młody kleryk dowiedziawszy się, w jakim Kościele moja córka była chrzczona, postanowił wyzbyć się „parszywej owcy” ze swego stada. Całą lekcję poświęcił „ruskim” popom, którzy rzekomo w czasie kazania nie wychodzą na ambonę tylko włączają do beczki po kapuście i uczą swych wiernych jak hodować bezrogi. Mają duże brody, w których jest pełno plew, słomy i siana, gdyż się nigdy nie myją. Po

Str.108

ich brodzie często spływają smarkle, a nos wycierają rękawem i obrzydliwie w swojej świątyni plują na podłogę. Ma się rozumieć, że jej koleżanki miały dobry ubaw i śmiały się wesóło, jak ona cichcem płakała. Zabroniłem stanowczo takich nauk. Po jakimś czasie otrzymałem od księdza proboszcza list o mniej więcej takiej treści: „Mam obowiązek powiadomić, że Pana córka nie uczęszcza na lekcje religii. Wzywam więc Pana do stawienia się przede mną celem wyjaśnienia sprawy. W razie niestawienia się wyciągnę z tego odpowiednie konsekwencje”. Ale ja się tego wcale nie bałem, bo w porównaniu do tego, co już przeżyłem, to było absolutnym zerem.

Uroki Poronina i monument upiora

W 1971 r. po raz pierwszy po długich latach odwiedził mnie brat z Kalifornii. Było słoneczne piękne lato, więc postanowiliśmy pojechać taksówką do sądeckiego Beskidu i odwiedzić naszą wieś. Po drodze wstąpiliśmy do muzeum męczeństwa w Oświęcimiu i w tym samym dniu wieczorem zatrzymaliśmy się w Poroninie na nocleg. Nocowaliśmy w sympatycznej góralskiej rodzinie i mieliśmy wszystkie turystyczne wygody. Domek znajdował się na wzgórzu z pięknym widokiem na góry. Już do Suchej Beskidzkiej moje oczy nie mogły się nasycić urokiem świerkowych i jodłowych lasów, rwącymi potokami czy małymi poletkami srebrnego owsa i pachnącego zielem siana i koniczyny. Podobne kopki do rosyjskich „babuszek” dosuszały się w

zachodzącym słońcu i ciepłym łagodnym wietrze. Po dziennych wrażeniach, sen zupełnie nie brał i prawie nie spałem nic. Mój brat absolutnie w tym miejscu nie był podobny do mnie i spał sobie na całego. Chrapał przy tym, jakby smreki woził. Ale on nie to co ja. Nocował już nie tylko w przymorskich górach porośniętych sekwojowymi goliatami, ale i w pięknej Weronie, Rzymie, Zurychu, Paryżu, Berlinie, Tokio, Seulu i kto wie gdzie jeszcze. A co ja? Za rok nie mogłem pojechać rowerem na drugą wieś. Za 15 lat nie mogłem odwiedzić swych rodziców i brata na Podolu, nie mówiąc już o rodzinnej wiosce, do której do dzisiaj mam wstęp wzbroniony, choć cichaczem już tam byłem. Jest między nami ogromna przepaść tylko dlatego, że ja urodziłem się w Polsce, a on w kraju, który nie patrzy swoim obywatelom w podniebienie i nic go nie obchodzi, w jakiego Boga czy diabła wierzy. Grunt to obywatel, któremu konstytucja gwarantuje opiekę. Zazdrościłem góralom

Str.109

ich drewnianych chyz, spadzistych zagonów i tej kochanej kamienistej ziemi. Jeszcze była szarówka, a ja już patrzałem na kontury Tatr. A jak wschodzące słońce swymi promieniami pozłociło granitowy Giewont, to rozkleiłem się nie na żarty. Płakałem jak dzieciak, któremu przerwano słodycz matczynej piersi. W drugim oknie mego pokoju mogłem oglądać spieniony potok, który podskakując po kamieniach, śpiewał i moją łemkowską pieśń: Hory naszy, hory naszy, hory naszy Karpaty, nychło ne zna, znaw ne bude, kilko wy w nas wartate. Wychodząc na balkon zobaczyłem chłodne cielsko wodza światowej rewolucji, który stał obok pięknej willi. Jak zauważyłem później, prawie nikt się nim nie zachwycał, a już najmniej miejscowi górale. Przeklinałem w duszy ten czas, który umożliwił mu stąpanie po tej przepięknej ziemi. Dziwiłem się majestatycznym górom, że nie przysypały go lawiną kamieni i lodu. Dziwiłem się zakopiańskim bacom, że nie zamienili go w zimny gład przydrożny lub w głupiego barana, którego by potem strawili wilki. Dziwiłem się „halnemu”, że nie przywalił go smrekiem, a jego myśli nie rozwiął po niedostępnych paryjach (przepaściach). W ogóle dziwiłem się nawet słońcu, że nie poraziło go swymi promieniami.

Nie chciani goście i zdeptany barwinek

Z Poronina do mojej wioski to już tylko ręką sięgnąć. Podchodzę z bratem do swoich drzwi, ale są zamknięte od zewnątrz. Dobrze widziałem, że mieszkańcy są w środku. Była to pora obiadowa. Długo uparcie stukiałem, zanim gospodarz zapytał groźnie: „Kto tam jest?” Czuł pismo nosem, że to ci z zachodu. Powiedziałem mu grzecznie, jak się nazywam i prosiłem go, żeby tylko na chwilę otworzył i zaraz zostawimy go w spokoju. Nic z tego. Zaczął nas wyzywać, że się tu włóczymy, choć nie mamy na to prawa. Straszyl mnie policją (przepraszam milicją) i w ogóle odnosił się do nas grubiańsko. Widząc, że w ten sposób nic nie wskóram, zacząłem z innej beczki. „Proszę pana, jestem tu z bratem który przyjechał aż z dalekiej Hameryki, żeby zobaczyć piec na którym spał będąc dzieckiem”. Słowo „Hameryka” zamieniła go z miejsca w potulnego sługę i nie tylko nam otworzył, ale i unizonym gestem zaprosił

do środka. Chętnie pozował z rodziną do aparatu i nawet prosił brata o adres, że będzie do niego pisał. Zapytałem go, co się stało z drugą połową naszego dużego

Str.110

domu. Odpowiedział chyba szczerze, że duży dach zaczął przeciekać, więc nie mając funduszy na jego remont, po prostu go zdjął. Dwa pokoje i spiżarnię oderznął piłą i drzewo sprzedał. Za uzyskane pieniądze kupił cementową dachówkę i pokrył nią resztę dachu. No, a co stało się z nową stodołą (zapytałem), która była postawiona w 1942 r. Sumitował się, że to gmina sprzedała ją jakiemuś pogorzalcowi, uznając że jest mu niepotrzebna, bo reforma rolna odkroiła od naszej całości 6 ha i przekazała ich matorolnemu. A więc jedna stodoła z murowaną stajnią zupełnie mu wystarcza. Siedemdziesięcioarowe siedlisko, kiedyś pięknie ogrodzone, zamienił na pastwisko, a kiedyś rosły tu owocowe drzewa, był duży ogródek warzywny i specjalnie ogrodzona pasieka z trzydziestoma rodzinami. Nasz ojciec pod tym względem miał bzika, i przed samą wojną zasadził dodatkowo 80 arów sadu na tak zwanej „hirei” (górcie). Młode szczepy kupowaliśmy w sądeckich szkótkach w Łabowej, Polanach. Czego tu nie było! Jabłka złote renety i szare, papierówki, antonówki i twarde jak kamień zimowe odmiany. Gruszki spasówki, babki, cyganki, maślanki i znów twarde zimowe odmiany. Śliwki węgierki, kobyłarki, dymki, renklody. Przed naszym wygnaniem prawie wszystkiego pokosztowałem, gdyż dopiero co zaczęły owocować. Boże święty, ile to wszystko kosztowało pracy, a dziś stoi tu kilka kikutów okaleczonych od przyponów, gdyż gospodarz od początku przypinał do nich kozy, potem już krowy i konie. Na polu zobaczyliśmy nawet piękne urodzaje, tylko wszędzie widać było niedbalstwo. Czyżby nowy gospodarz nie lubiał tej urodzajnej ziemi? Może i tak, ale przede wszystkim nie znał jej ceny, gdyż otrzymał ją prawie za darmo.

Już z daleka widać było, że coś się stało z wojennym cmentarzem. Jesienią 1914 roku był tu front. Zginęło na naszych polach 124 żołnierzy austriackich i rosyjskich. W 1915 roku austriackie władze postawiły tu piękne rondo z ciosanego kamienia, kolumny wejściowe, schody i pamiątkowy krzyż. Miejscowy ksiądz kazał swoim parafianom (parafianom) wszystko to rozebrać, a z uzyskanego materiału powiększyć przestrzeń koło naszej cerkwi zamienionej w kościół. Jakimś cudem dowiedziela się o tym Austria i wystosowała do polskich władz ostry protest. Gmina była zobowiązana naprawić szkodę. Na żal ograniczono się tylko do zwykłej ściany pamięci, która to tam stoi po dzień dzisiejszy. Puszczono między ludzi plotkę, że mur sam upadł, tak i nas poinformował napotkany człowiek. Następnie poszliśmy na miejsce odpoczynku naszych bliskich. Kamiennego

Str.111

ogrodzenia ani śladu, użyto do budowy drogi. Wszędzie ślady krowiego pomiotu. Koląca tarnina panoszy się na zapadłych mogiłach, a drewniane krzyże zginęły już dawno. Pozostały trzy albo cztery betonowe podstawy, a żelazne na nich krzyże powyginane w różne strony uderzeniami ciężkiego młota. Na mogile naszych dziadków ojciec zafundował zupełnie coś innego. Miejscowy majster wykut ze skały

gruby, zdawało się niezgrabny, trzyramienny krzyż. Kosztował on dużo pracy i pieniędzy, ale ojciec taki zaprojektował, bo gdzieś w Ameryce widział podobny. Zastaliśmy tylko kupę gruzu. Wandal musiał się dobrze napocić, by obrócić to dzieło w pierzynę (perzynę). Barwnikowy dywan cmentarza był zdeptany i wypasiony, tylko gdzieś tam między ruinami wegetował jak rozrzucone łemki na zachodzie. Już z cmentarza widzieliśmy, że na trzech cerkiewnych cybulastych baniach nie ma trzyramiennych krzyży z półksiężycem u podstaw. Zamieniono je na zwykłe jednoramienne.

Cerkiew była zbudowana w 1768 r. jak druga, a za legendą jak czwarta. Pierwsza miała stać na „czwertiach” jak murowana rotunda. Ludzie ówcześni bardzo grzeszyli i na samą Wielkanoc jak zaśpiewali Chrystos woskres cerkiew zapadła się z ludźmi pod ziemię. Kto by wierzył, niech stanie na samą Wielkanoc o północy i idzie na tak zwaną „hrybyska” (w naszych czasach pastwisko nad wsią, chaotycznie nierówne (podzielone) na części pół zwane „czwerty”) i przyłoży ucho do ziemi. Musi leżeć w zupełnym milczeniu i samotnie, od północy do wschodu słońca, a usłyszy pod ziemią piekielny głos dzwonów. Tyle legendy na temat religijny. Znał ją każdy mieszkaniec tej wsi.

Cerkiew, a raczej już kościół św. Stanisława był zamknięty, więc obeszlśmy go dookoła. Wysoko na dzwonnicy, przed wchodowymi drzwiami, bielił się piastowski orzeł bez korony. Nie mogliśmy zrozumieć, co to oznacza. Obok cerkwi jest duży grobowiec, w którym spoczywa trzydziestoletni paroch tej cerkwi o. Teofil Kaczmarczyk i jego żona Maria. Na ścianie grobowca była wtedy jeszcze porcelanowa fotografia z jego podobizną. Niestety, jakiś wandal ostrym narzędziem wybił mu oczy. Jest tam również jeszcze jeden żelazny krzyż na grobie jakiegoś o(jca), który był tu przed Kaczmarczykiem. Za nowych czasów postawiono z okrągłych kamieni (po łemkowsku „sowotruky”) kapliczkę Najświętszej Marii, mały pomnik (symboliczny) długoletniemu nauczycielowi Stefanowskiemu, który uczył jeszcze przed wojną nasze dzieci, i duży gipsowy pomnik św. Stanisława. Poszliśmy na bliską plebanię i młody ksiądz chętnie otworzył

Str.112

nam świątynię. Już z góry tłumaczył się, że jest tu tylko od dwóch lat i za popełnione zmiany nie odpowiada. Był to człowiek naprawdę do tego powołany i z żalem opowiadał nam o swoich poprzednikach. Oprowadził nas po całej świątyni i pokazał nam nawet kilka ksiąg liturgicznych, które znalazł poniewierające się w zachrystii. Teraz miały tu swoją skromną półkę. Z pięknego złoconego ikonostasu nie pozostało nic. Po prostu wyrzucono go do lamusa. Wszystkie ścienne obrazy z życia świętych, zamalowano, również wszystkie wersety z Ewangelii malowane cyrylicą. Najbardziej żał nam było wielkiego panoramicznego obrazu, który przedstawiał Chrzest Rusi Kijowskiej w wodach błękitnego Dniepru. Mieścił się on na jednej połowie cerkiewnego nieba na pierwszym planie. Na drugiej połowie przed ikonostasem widniał również takiej samej wielkości obraz Straszego Sudu (Sądu Ostatecznego), który to jak na ironię oszczędzono. Oszczędzono również pięknej

roboty ścienny obraz Matki Boskiej pod chórami, ale miała ona już białą opaskę na rękawie. Mistrz, który ją tworzył, dyskretnie namalował skrót liter cyrylicą, jak się nazywała. Czyjaś niezgrabna ręka zapaprała to miejsce białą farbą. Czy widzieliście gdzieś w świecie Madonnę z białą opaską na rękawie? To okropność, to skrajna głupota ludzka. Muszę tu zaznaczyć, że cerkiew była ponownie malowana przed pierwszą wojną światową. Sprowadzono mistrzów aż z Krakowa i na pewno byli to Polacy. To nie była zwykła sztuka, ale arcydzieło rzadko spotykane na Łemkowszczyźnie. Kiedyś królowała tu zieleń, purpura, błękit i złoto. Dzisiaj jest tu śmiertelna biel i nasze sumienie nie pozwoliło nam nawet na najmniejszy gest religijnej skruchy i chodziliśmy po tym „kościelnie” jak zatwardziali ateści. Zrozumiał to bardzo dobrze uprzejmy ksiądz i radził nam pojechać do Beresta koło Krynicy, gdyż w tamtej świątyni, jak mówił, zachowano wszystko po staremu. Tak też uczyniliśmy i przekonaaliśmy się, że mówił prawdę. Łemku, rodzony mój bracie, jeżeli masz jeszcze odrobinę pamięci o tradycji swoich przodków, pojedź do tam, do tej cerkwi, padnij na kolana i zmów pacierz za ich dusze, a będziesz nadal Łemkiem.

Epilog

I żyli sobie dziadek z babką w obiecanej ziemi „naprawdę” jak w „raju”. Mieli malutką glinianą chatkę pochyloną jak i oni do przodu. Dawno, dawno temu, chyba jeszcze za dziadka Franca, ktoś pokrył ją złotą

Str. 113

słomą i jak na te czasy była wcale przyzwoitym gniazdem rodzinnym. W dwóch wojnach światowych brzęczała małymi oknami i coraz bardziej zapadała jednym bokiem w ziemię. Któż to może wiedzieć, jakie rodziny jej zamieszkiwały i jakie losy spotkały tych ludzi? Może ktoś jeszcze z nich żyje w Ałtajskim kraju albo nad Odrą? Któż to może wiedzieć.

Dzisiaj jest to staruszka porośnięta szarozielonym mchem i zupełnie spróchniałym progiem wyjściowym. Na skraju dachu, na podstawie starego koła, mieści się dużych rozmiarów gniazdo boćków. W każdą wiosnę przylatuje tu ich jedna para, by przedłużyć swój ród. Jesienią zaś całą rodziną krąży nad chatką i odlatują u wyrj (na wyrj; do ciepłych krajów), żeby znów wrócić tu wiosną. Dziadek to łemkowski filozof, który przeklina jak szewc, że nie dano mu skrzydeł, żeby po siarczystych mrozach i „skłóżniak” (przeciągach?) mógł wrócić na wiosnę do swego ciepłego gniazda w Karpatach, które przed laty, też jesienią opuścił. Latem pasie jedyną krowinę w kukurydzianej dżungli, siedzi sobie na białym kamieniu i w fajce kurzy tytoniowe łodygi. Czasem, jak coś zakłuje go pod sercem, wypija stakan buraczanki, siada na przyzbie i po łacinie (sam do siebie) dziękuje nowemu porządkowi za taki obrót sprawy. Zimą, jak już mróz skuje Tudynekę (małe jezioro), oboje z babką ubierają walonki, uszanki, kufajki, biorą sierpy i na tejże topoli żną wysoką troszczę (oczeret). Potem wiążą ją w duże snopy i przez górkę niosą ten ciężar na swych grzbietach do kahały koło chatki, żeby było czym palić w piecu. W małym chlewku prócz

żującej krówki, kwiczy łaciaty prosiaczek i pieje pstrokaty kogut na czele dziesięciu czubatych kurek. W święto oktiabrskiej rewolucji dziadek bierze siekierę i o głowę skraca pysznego koguta. Białego mięsa prawie nie skosztują, ale rosółku chlapią choć parę łyżek.

Przecież to święto pracującego ludu, a oni co? Zbędne roty (gęby), którym muszą płacić dwadzieścia rubli na dwoje ich miesięcznie.

W tym uroczystym dniu już z samego rana przychodzi do nich uśmiechnięty brygadzysta, który niejedno widział, i pobłaźliwie patrzył, jak dziadek z babką paśli krowinę w niedozwolonym miejscu. Ten tylko sam wypija prawie flachę cukrówki, a z pieczonego kapłona zostają tylko kości i główka. Przecież to chłop jak dąb i mógłby pozować Repinowi (Riepinowi) do jego dzieł. Potem przychodzi traktorzysta, który dziadkom rzucił z przyczepy worek zboża i jeszcze drugi, który dziadkom przywiózł furkę słomy nocą dla krówki. I cały dzień dziadkom już wesoło. Ale te już zagryzają samogon suchym chlebem i cebulą.

Str. 114

I żyliby sobie dziadkowie może jeszcze długo, długo w tej podolskiej idylli, gdyby nie przypomniała sobie o nich biała kostucha, która do roku zabrała ich oboje do podziemi Hadesu. Po ich śmierci zajechał tu buldożer i z ziemią zrównał chatkę, a na wiosnę brygadzysta kazał zasiać tu kuku-rydżę. Przylecieli tu również na wiosnę znakome nam bociany i nie mogąc zrozumieć, co się stało z ich gniazdem, długo krążyły nad tym miejscem rodzinnym i aż przed wieczorem usiadły na dachu sąsiada, chyba z myślą o zbudowaniu na nim nowego domu.

Śpią sobie wiecznym snem łemkowskie gazdy na wyżynie podolskiej i bujne wiatry przynoszą im wieści z ich ukochanej Łemkowszyny.

Wieczna Wam Pamięć Drodzy Rodzice.

PS Pominąłem niektóre sprawy, co mogą Was zainteresować. Już wkrótce na Ziemiach Odzyskanych zmuszeni byliśmy rozstać się z naszym ludowym strojem, gdyż na każdym kroku byliśmy wyśmiewani. Również musieliśmy nasze pociągowe woły zamienić na konie, gdyż one były powodem jakichś głupich lwowskich żartów, na przykład: „hej Iwanie, trzymaj byki, bo procesja ide”. Po jakimś czasie ukazał się tygodnik w ukraińskim języku „Nasze Słowo”. Była w nim jedna strona dla nas Łemków i to było dobre, i dobre jest nadal. Separatyzm łemkowski względem Ukraińców wytworzył się z długoletniej ukrainofobii, radia, telewizji, literatury i niczym nie powstrzymanych pysków, co było zabójcze nie tylko dla nas, ale i dla Polaków. Mogę wskazać młodą Łemkinię, która powiedziała do mnie: „Ja taka zła na każdego Ukraińca, co bym zaraz do nich nóż wbiła”. Tak władze ludowe wychowywały swoje społeczeństwo. Co do teorii naszego pochodzenia, to nie mam najmniejszej wątpliwości, że jesteśmy Starorusinami, czyli po nowemu Ukraińcami.

(W Ameryce mieszkam na stałe z żoną i częścią rodziny już 8 lat i raz byłem w Polsce w odwiedziny.)

JAN PAWEŁCZAK

Wspomnienia moje o tragedii mego narodu

27 maja 1947 roku jest mój najsmutniejszy dzień w moim życiu, byłem już dojrzałym człowiekiem, miałem wtenczas 22 lata. W tamtych latach przeżywałem dramatów kilka, ale to był zadawany nam ból od wrogów, 12 września 1944 r. radzieckie wojska przerwały linię frontu na linii Krosno-Dukla i przedzierały się na Słowację w kierunku Bardiowa. W mojej wsi Grab, a także sąsiednich: Ożennej i Wyszowadki ludzie od samego rana były bardzo zaniepokojeni, ponieważ Niemcy obsadzały południową stronę stoków górskich, wzdłuż granicy ze Słowacją. Po godzinie dwunastej od strony Krosna nadleciały radzieckie samoloty i rozpoczęły bombardowanie terenu. Spaliło się wtenczas we wsi kilkanaście budynków, kilka osób cywilnych było zabitych, w tym i dzieci. W całym tym chaosie ludność uciekała z życiem, gdzie się dało, na wszystkie strony, byle dalej od tego piekła. Moja rodzina, a było nas 6 osób, znalazła się we wsi Rostajne, tam były już Rosjanie, odetchnęliśmy z ulgą, nie wiedząc co nas czeka w najbliższych godzinach i dniach.

Moją wieś Grab większą część zajęły Niemcy, do zachodniej części weszły Rosjanie, po całonocnej bitwie nad ranem wojska radzieckie wycofały się na stoki górskie w kierunku Rostajnego, zostawiając na miejscu zabitych niemieckich żołnierzy. Wczesnym rano wojska niemieckie, było to 13 września 1944 r., zajęły całą moją wieś, widząc zabitych swoich żołnierzy rozeszły się po domach i powyciągały cywilów, gdzie kto jeszcze we wsi był, a nie mógł podczas działań wojennych już nigdzie wyjść, rozstrzelali wszystkich moich sąsiadów, w tym mojego kuzyna Pawełczaka Wasyla. Z tego całego piekła udało się przy Bożej pomocy, bo to był cud, ucieknąć mojej siostrze, która obecnie żyje w USA na stałe, i jej starszej sąsiadce, obydwie po wojnie były naocznymi świadkami tego dramatu. Około 20 września Niemcy Rosjanów wyparli, my znowu wróciliśmy do swojej wsi tracąc już sporą część swego dobytku, linia frontu od mego domu była 8 kilometrów, front na tej linii stał do 17 stycznia 1945 r.

Str.116

W dniu 6 XI 1944 wieczorem sołtys wsi Grab odwiedzał każde gospodarstwo i oznajmiał, że na rozkaz dowódcy frontu w dniu 7 XII 1944 r. od godz. 7 rano odbędzie się ewakuacja ludności cywilnej spod linii frontu; i tak w dniu 7 XII 44 r. rano złożyliśmy, co jeszcze mieliśmy na wóz, 2 krowy uwiązaliśmy do wozu i jednym koniem ruszyliśmy w nieznane.

Nie mieliśmy ani żalu, ani pretensji, ponieważ wykonywaliśmy rozkaz kata. Dotarliśmy koło Gorlic do wsi Nowica, tam już się zatrzymało kilka rodzin z mojej wsi. Przygarnął nas gospodarz nazwiskiem Więcko. Imiona nie pamiętam. Odstąpił nam taką spizareczkę 2,5 x 3 m, była kuchenka i mieliśmy ciepły kąpiel przez zimę. Na wiosnę w

1945 r. w miesiącu kwietniu wróciliśmy do swojej wsi Grab, budynek był zniszczony wzięliśmy się za remont, we wsi 70% budynków było zniszczonych przez działania wojenne. Na początku maja przyjechała na teren naszej gminy Krempna tak zwana delegacja przesiedleńcza. W mojej wsi Grab zrobili wielkie zbiegowisko, przybyło ludzi z kilku wiosek, delegaci oznajmili, że między ZSRR a Polską została podpisana umowa o przesiedleniu ludności polskiej z ZSRR do Polski i ludności ukraińskiej do ZSRR.

Wojna się skończyła dla całego świata, tylko nie dla nas, przesiedlenie zgodnie z umową i prawem powinno być dobrowolne, ale było bardzo daleko od tego. Wieś moja jest wsią przygraniczną, między wsią Grab a Ożenna biegnie szosa na Słowację i w mojej wsi zawsze była straż graniczna przed wojną, w czasie wojny solgrenschutz (Zollgrenschutz -niem. straż celna i graniczna), po wojnie w 1945 roku na strażnicę przybyły Rosjanie i oni właśnie napędzali ludność do ZSRR, a kto się twardo upierał, to go wysiedlali ze wsi, i także było i z moją rodziną, zostaliśmy wysiedleni do wsi Świątkowa Wielka, a niektóre rodziny wywieziono do Jasta na stacje i tam koczowały gdzieś do końca lipca. Nie pamiętam dokładnie, kiedy opuścili Rosjanie placówki graniczne, w lipcu czy na początku sierpnia. Po objęciu placówki przez wojsko polskie wszyscy moi mieszkańcy wrócili do domu i życie stawało się z każdym dniem normalniejsze. Współpraca z wojskiem była dobra, a szczególnie był dobry dowódca placówki, wojsko miało konie, pomagało ludziom przy każdej okazji, tak minął rok 1945. W roku 1946 i na wiosnę żołnierze z naszej placówki rozeszły się po wsi i powiadomiły nas, że na drugi dzień przyjedzie tu specjalne wojsko i będą nas łapać i wywozić do Związku Radzieckiego, żebyśmy uciekały do lasu, od strony granicy; tak też i było na drugi dzień, nie pamiętam daty, ludność się wyniosła ze wsi do lasu, a do wsi przybyło

Str.117

kilka samochodów z wojskiem, rozlecieli się po wsi, we wsi nie było nikogo; złapały dwie kobiety starsze, które sobie zlekceważyły tę sprawę, zawieźli ich do Jasta na stację kolejową i tam kazały podpisać deklarację na wyjazd do ZSRR. Te kobiety nie podpisały i po prostu puściły ich do domu. Tak było dwa razy w roku 1946. Po tym się uspokoiło, aż nadszedł ten tragiczny dla nas dzień: 27 maja 1947 roku około godz. 16 przyjechało do wsi wojsko ludowe, rozeszły się po wsi, zgoniły mężczyzn do sołtysa, oficer w randze kapitana oświadczył, że wszyscy Ukraińcy zostaną wysiedleni na ziemie poniemieckie, aby się natychmiast szykować, że za dwie godziny będą odwozić już bagaże. Ludzie bardzo się przestraszyły, zaczęły ich prosić, ale to była prośba do kata. Moja wieś liczyła 34 rodziny, przed wojną 108 rodzin, 74 rodziny wyjechały do ZSRR. Sąsiednia wieś Ożenna liczyła 14 rodzin, przed wojną 45 rodzin, 31 rodzin wyjechało do ZSRR, wieś Wyszowadka - zostało 8 rodzin, przed wojną było 38, 30 rodzin wyjechało do ZSRR.

Po roku 1945 we wsi Grab był sołtys, w Ożennej podsołtys, a Wyszowadka została przyłączona do Grabin. W tych trzech wsiach wojsko naraz zastosowało tę swoją grę.

Dowódcą naszej miejscowej strażnicy był porucznik nazwiskiem Kuling (Kuling?), to był prawdziwy Polak chrześcijanin i on się za nami widocznie ujął, ponieważ wywożenie nas przełożyły na dzień 28 V, następny od godz. 7 rano. 27 maja wieczorem zeszlśmy się wszyscy do cerkwi, ponieważ przez cały maj chodziliśmy na majówkę, ale były to modły i okropny płacz. Już więcej w tej świątyni nikt z nas się nie modlił. W 1952 roku została spalona, we wszystkich sąsiednich wioskach zostały zniszczone cerkwie tak prawosławne, jak i greckokatolickie, wyniszczono prawie wszystkie przydrożne krzyże i kapliczki, z 27-28 maja nikt w domu nie spał, pakowaliśmy się całą noc, wojsko nas już nie odstępowało, całą noc stało koło domów. Rano zajechała furmanka koło domu, były to Polacy z odległych wiosek i załadowaliśmy to na swój wóz oraz na jedną z danych nam furmanek.

Dobyttek nasz liczył: 1 koń, 1 krowa, osobista odzież oraz pościel, trochę zboża, trochę ziemniaków oraz nadzieja w Boga. Po załadowaniu się na wozy, z płaczem opuściliśmy swoje gniazdo, gdzie przez setki lat pokolenia nasze tu żyły.

Nieżyjąca moja matka płacząca wychodząc z domu całowała próg domu, żołnierz, który nas wyprowadzał z domu, nie wytrzymał nerwowo, że

Str. 118

łzami w oczach mówił do mojej matki: „Matulu nie miej do mnie żalu, że ja to robię, bo ja muszę”, a mama odezwała się do niego: „Dziecko ja nie mam do ciebie żalu, tylko do tych bandytów, co ci każą to robić”. Furmankami swoimi jechaliśmy pod silną eskortą wojskową do Jasta, to jest 50 kilometrów. Furmanki, które przyjechały nas wywozić, wywoziły z domów na plac przy głównej szosie, a stamtąd wojsko wywoziło samochodami do Jasta koło stacji kolejowej; tam też zrobiono obóz, wojsko miało namiot, na namiocie wywiesili tabliczkę z napisem PUR. Do tego namiotu po kolei wołały głowę rodziny. W tym namiocie wydawały karty przesiedleńcze, po kolei zawołano też i nieżyjącego już mojego ojca, wszystko obsługiwane było przez wojsko, wojskowy pytając się ojca, ile miał pola, ojciec odpowiadając na pytanie, że ma 19 ha, w tym cztery hektary lasu, ale ten wojskowy wpisał do karty inwentarz oraz 19 ha pola, a lasu nie wpisał. Ojciec zwrócił mu uwagę i miał przy sobie tak zwany spis notarialny po swojej matce i tam wszystko było dokładnie wyszczególnione, i każda działka miała swój numer, ten wojskowy wziął te dokumenty od ojca w ogóle nie przeglądając, a ojcu kazał uciekać i ojciec wyszedł z kartą przesiedleńczą bez własnych dokumentów, po powrocie w roku 1958 ojciec upomniał się w Powiatowej Radzie Narodowej w Jaśle o te dokumenty, ale prawdopodobnie dokumentów tych już nigdzie nie było.

Na stacji kolejowej niesamowity bałagan, ładują po kilka rodzin do wagonu, bydło, bagaże, ludzie były tacy, co mieli małe dzieci, była Sodoma i Gomora, rozłączano najbliższe rodziny, ojciec z jedną córką jechał na Zieloną Górę, a druga córka z mężem na Olsztyn. Taką gehennę nam stworzyli bracia chrześcijanie.

29 maja 1947 r. po południu wyruszyliśmy z Jasta eskortowani przez silny oddział wojskowy, w wagonie niesamowicie gorąco, nie można po prostu oddychać,

wieczorem tegoż dnia byliśmy na stacji towarowej w Nowym Sączu, tam też był dłuższy postój.

Wszedłem z wagonu z wiadrem po wodę prosząc wojskowego, który pilnował koło wagonów, aby mi zezwolił iść po wodę, ten mnie samego nie puścił, ale poszedł ze mną pod studnię, przechodząc koło wagonów zauważyłem pośrodku transportu wagon pełen ludzi, tak nabity, że stał człowiek koło człowieka, byli bardzo przemęczeni, z tego wagonu zauważył mnie idącego z mojej gminy dróżnik, był narodowości polskiej, nazywał się Ciomcia Józef, i w tym momencie krzyknął do mnie: „Janek, daj mi papierosa”, ja się odwróciłem poznałem jego i więcej ludzi było z moich

Str.119

stron w tym wagonie tak Łemków, jak i Polaków. Wtenczas zwróciłem się do tego żołnierza, aby mi zezwolił pójść do kiosku kupić papierosy, żołnierz się rozglądnął wkoło, czy nikt nie widzi, i kazał mi szybko wrócić, pamiętam kupiłem 100 sztuk papierosów bałtyk, oddałem do wagonu i poszedłem w swoją stronę po wodę. W Jaworznie byliśmy 30 maja; całą noc nas przetrzymywano w Jaworznie na stacji kolejowej, i tam podczas nocy wywieziono do obozu więźniów, którzy jechali naszym transportem. Po drodze ludzie różnie się do nas odnosili; były tacy, że ze łzami w oczach na nas patrzyli, ale były i tacy, którzy krzyczeli, że banderowców wiozą, którzy mordowali Polaków.

A to rozmowa w Katowicach na stacji: dwóch kolejarzy, jeden miał około 50 lat, drugi młodszy około 25, ten młodszy mówi: „patrz, wiozą banderowców, natapali ich w lasach”, ten starszy mówi do niego: „ty głupku, czy ty już nic nie rozumiesz, nie widzisz że to są ludzie z całymi rodzinami, z całym dobytkiem ich wiozą, Karpaty zostają puste, wszystkich Rusinów stamtąd wywożą”, ten młody człowiek już się nie odezwał. Przez całą podróż nie wolno było opuszczać wagonów, nie wolno było się kontaktować z ludźmi na peronach, podczas postoju wojsko bardzo rygorystycznie tego przestrzegało. 2 czerwca przed południem byliśmy w Poznaniu, przy dłuższym postoju kilku nas chłopaków wyszło z wagonu i poszliśmy pod kiosk, to mogło być 20-30 metrów, aniśmy się oglądali, kilku żołnierzy stoi koło nas, wzięli nas do wojskowego wagonu, tam nas bardzo biły, a jeden z kolegów był chory na nogę, miał złamaną i jeszcze dobrze się nie wyleczył, to spadł z wagonu, myśmy puciekwały do swoich wagonów, a on leżał, nie mógł wstać, a ci wojskowi do niego kopali aż kobiety z wagonów krzyczały i tak zostawiły; on już dawno nie żyje, zostawił 3 dzieci i żonę.

Do ostatniej stacji Skwierzyna przyjechaliliśmy 3 czerwca 1947 r. Około drugiej po południu transport podstawiono pod rampę i tak nas wyładowywano, bagaże przewożono samochodami, było bardzo dużo milicji oraz po cywilnemu dużo ludzi. To na pewno UB, zładowano nas za miastem, koło rzeki Warty były duże niemieckie stodoły i tam nas ulokowano na noc. Byliśmy bardzo zmęczeni tą podróżą. 4 czerwca gdzieś koło godz. dziewiątej zeszło się dużo władzy tamtejszej do pomieszczenia obok tych stodół i zaczęto nami handlować, tak jak to kiedyś łapano

w Afryce Murzynów i wywożono ich do Ameryki i tam sprzedawano. Przychodzili kierownicy PNZ (Państwowe Nieruchomości Ziemskie) późniejszych

Str.120

PGR-ów i wybierały sobie rodziny, które im pasowały, przede wszystkim ludzi dorosłych do pracy, znowu rozłączano rodziny sąsiadów jednych od drugich po 20-30 kilometrów; z początku dawano po 1 lub 2 rodziny na wieś lub gospodarstwo państwowe, ale później w miarę przybycia większej liczby naszej ludności nie mieli władze gdzie tych ludzi dawać, i znowu dawały na te same wsie lub gospodarstwa państwowe, w końcu tak było, że jak nie we wsi, to w PGR wszędzie była ludność ukraińska. W mojej rodzinie były 4 osoby dorosłe, więc zabrano nas do tak zwanego majątku Kiwice. Kierownik tego majątku właśnie brał udział w rozdzielaniu tej grupy ludzi z naszego transportu. Przyjechały po nas furmanki z tego majątku, więc znowuśmy się pożegnali z rodziną sąsiadami i pojechaliśmy do tego majątku, dano tam 6 rodzin z różnych wsi. W tymże majątku było już 7 rodzin polskich z Lubelskiego, które przyjechały na osadnictwo. Osiedlono nas w tymże majątku prawie po 2 rodziny w jednym mieszkaniu, ponieważ nie było mieszkań. Ludność, która zamieszkiwała tam już, patrzyła na nas jak zwykle na wrogów; po przespanej nocy rano gonią nas do roboty, zajeżdża traktor wszyscy wsiadamy na traktor i wiozą nas do innego majątku; to był folwark, tam nie było mieszkań, tylko było 3 rodziny, a pola było bardzo dużo. Polacy, którzy byli w tym majątku, już w pierwszy dzień w pracy zaczęły nas się wypytywać, żeśmy byli w UPA, że nas w lasach natłapały, my im mówimy prawdę, nigdzieśmy nie byli w żadnej UPA, dopiero po paru dniach, kiedy sami doszli do wniosku, że zostali oszukani, wszystko nam opowiedziały. Przed naszym przyjazdem UB robiło z tymi ludźmi zebranie, oświadczyli im, że tu przywiozą banderowców, bandytów, kiedy nas przywieźli, to tym Polakom przywieźli parę karabinów, myśmy w nocy spały, a oni w ogóle nie spały, tak się nas bały, ale na drugi dzień UB karabiny zabrało i tak Polacy z banderowcami zostały i razemśmy pracowały jak ludzie z ludźmi.

Z naszej ludności nikt nie miał żadnego wpływu na swój los, władze, jak widziały, że jest jakaś rodzina wielodzietna lub słabsze osoby, to lokowały te rodziny w byle jakie mieszkanie bez okien, drzwi, nie było kuchni, jedynie co władze robiły to to, że na każdym domu, gdzie wsadziły ukraińską rodzinę, na domu wymalowały wielkie W. To był znak że tu mieszka Ukrainiec, słowo Łemko lub Rusin tu absolutnie nie istniało i miejscowa ludność o takiej narodowości tu nigdy nie słyszała. Życie toczyło się swoim trybem, my myśleliśmy jedynie o powrocie, więcej nas nic nie interesowało, dyscyplina była dla nas dalej obowiązkowa, nie

Str.121

wolno nam było się nigdzie oddalać samowolnie od miejsca, na które nas dano; już jesienią 1947 r. robiliśmy zbiorowe podanie do byłego Prezydenta Bieruta, po tym podaniu nasiliły się przesłuchania na UB oraz groźby. Żadne dokumenty, jak karty meldunkowe lub dowody osobiste, dla nas w tamtych latach nie były dostępne, dopiero na przełomie 1949— 1950 r. zaczęto się do nas inaczej odnosić, ale do takiej

wolności, jak mieli Polacy, to dla nas tego nie było, wciąż byliśmy ludźmi II kategorii. Tak ciągnęło się aż do roku 1956, do objęcia władzy przez Władysława Gomułkę. W roku 1956 zaczęliśmy masowo starać się o powroty na swoje, i części udało się, ale nie wszystkim, którzy pragnęłyby wrócić na swoje, spotykaliśmy się często z ludźmi na stanowiskach bardzo życzliwymi nam. Przypominam sobie artykuł w gazecie „Po prostu” Na południe od Warszawy, w tej chwili nie pamiętam już autora tego artykułu, ale były tam słowa współczucia nam; autor artykułu pisał, że do Bieśczaad puszczają wszystkich, tylko nie tych, co pragną tego.

Do chwili obecnej Parlament nie potępił akcję „W”, a jest to hańba nie nasze, ale ta hańba spada na naród polski, bo ci, co to z nami robili w imię Polski i narodu polskiego, zapominając że jest to koniec dwudziestego wieku i że tym samym krokiem zniszczyły część Polski, zniszczyli nasz naród, naszą kulturę, a zarazem zniszczyli i kulturę Polską. Polska jest tak samo naszą ojczyzną, jak i ojczyznę każdego Polaka. Nasi przodkowie służyli wiernie Koronie Polskiej, nasi ojcowie walczyli w 1939 roku z najeżdżącą hitlerowskim i nie zasłużyliśmy sobie na takie traktowanie nas, ale Chrystus też nie był winien i go zamordowano, i ten Krzyż Chrystusa jest dla nas drogowskazem.

Str.122

MICHAŁ SKIRPAN

(Wspomnienia)

Łemkowie to najdalej na zachód wysunięta grupa etniczna Rusinów--Ukraińców, z których i ja pochodzę. Żyliśmy przez wieki w tych niedostępnych górach niczym na zapleczu świata. Łemkowszczyzna pozostawała na uboczu wydarzeń. Mieszkańcy tych ziem żyli bardzo biednie, gdyż warunki są tam bardzo trudne, przyroda surowa, wymaga wiele, akceptuje tylko bardzo męźnych. Byli bardzo przywiązani do tradycji i kultury swoich przodków i z tego wszystkiego szczęśliwi. O poczuciu łączności z całym narodem Rusi świadczy znany epizod Bajusa i Sawki z Kostką Napierskim.

Byliśmy lojalni wobec braci Polaków i wspólnej ojczyzny, za przykład może posłużyć chociażby postawa tej społeczności wobec wspólnego wroga, jakim były hitlerowskie Niemcy. Nie powiódł się Niemcom zamiar powołania na Łemkowszczyźnie „Lemkvolku” na wzór niestawnego „Góralenvolku”.

Nasi ojcowie nie wyparli się ojczyzny i narodu, wśród którego żyli. Byli bici, gnani na roboty, ginęli w łagrach, dzielili los swoich sąsiadów i innych narodów. Brali udział w walce, której celem było zwycięstwo nad brunatnym oprawcą. Uchodzili za najpewniejszych przewodników i kurierów AK przez południową granicę. Jak podaje Wiesław Praiss („Przegląd Powszechny” 10/87): „Ukrywali żołnierzy września, tu organizowała się PPR i inne stronnictwa, w Gorlicach i Woli Cykielskiej ukrywano W. Gomułkę, w oddziałach partyzanckich AK, GL-AL nie brakowało mieszkańców tej ziemi. A jednak o wszystkim nagle zapomniano”.

Pierwszym objawem nietolerancji było rozpędzenie na jesieni 1945 r. Włościańsko-Robotniczego Komitetu Łemkowszczyzny, próbującego organizować nauczanie języka ojczystego (ukraińskiego), zgodnie zresztą z obowiązującą Konstytucją z 1921 r., na której opierała swoje prawo PRL.

Należy dodać, że szkolnictwo takie działało na tym terenie w okresie Cesarstwa Austro-Węgier.

I pomyśleć, że dokonała tego władza, na której sztandarach wypisane były hasła internacjonalistyczne. To była pierwsza złowroga przygrywka

Str.123

do tego, co miało nastąpić, co było przed nami. To, co nastąpiło, można skwitować tym, że dla nas wojna nie skończyła się w maju 45 r.

Część ludności z terenu Łemkowszczyzny, jak i z pozostałych terenów południowo-wschodniej Polski, zamieszkałej przez Rusinów-Ukraińców, wysiedlono w roku 45 przy „wydatnej” pomocy Armii Czerwonej (czytaj NKWD) do USRR. Tym, co pozostali, zaplanowano oślawioną akcją „Wisła”. Była to, jak pisze M. Miklaszewska w „Solidarności” 5/89, ostatnia w Europie XX wieku, przymusowa, masowa zsyłka, deportacja, która dotknęła tę ludność i do dziś nie spotkała się z należyтым potępieniem.

Dramat nasz polega i na tym, że zbiorowej zbrodni dokonano na ludności żyjącej w oderwaniu od swego narodu i przemian, jakie tam zachodziły. Tu czas zatrzymał się w miejscu, my zostaliśmy nadal Rusinami (Rusnakami) i tylko dla nielicznych było wiadome, co znaczy Ukraina.

Mając dwanaście lat (w czasie deportacji) rozumiałem, że dzieje się nam krzywda, ale dlaczego? Przeżycia związane z wysiedleniem mogą posłużyć niemal każdemu do napisania powieści.

W okresie międzywojennym wsie na Łemkowszczyźnie, podobnie zresztą jak w innych regionach kraju, były przeludnione. Okupant wyniszczył je ekonomicznie, gospodarstwa zostały bez inwentarza. W wyniku przeprowadzonej akcji repatriacyjnej do USRR wyjechało około 60% mieszkańców tej ziemi. Na wsiach łemkowskich zrobiło się luźno. W pozostałą na miejscu ludność wstąpił duch pracy i odbudowy. Obsiano wszystkie pola, zbiory zapowiadały się znakomicie, był czerwiec, słoneczna pogoda, zboże dostawało kłosa i wtedy do akcji wkroczyły siły zbrojne PRL. Do dyspozycji dawano godzinę, dwie i trzeba było wszystko pożegnać i zostawić. Mnie pozostał w pamięci widok płaczących kobiet i dzieci obchodzących swoje domostwa, potączone z całowaniem drzwi i narożników domów, przydrożnych krzyży, kaplic i kamieni. Trzeba było wszystko zostawić w okresie dla rolnika najbardziej niekorzystnym, na około półtora miesiąca przed zbiorami. Wyjeżdżali głodni, nadzy i bosi. Wyjeżdżali w łachmanach pozostałych po pięcioletniej okupacji.

Krzyż, jaki przyszło nam dźwigać po przebyłym kataklizmie wojennym, był ponad siły dla wyniszczonej wojną ludności. Dla przypomnienia należy dodać, że jedna z największych bitew II wojny światowej rozgrywała się na tym terenie (Przełęcz Dukielska). Front tu stał pół roku - zima 44/45. W każdym domu Niemcy, niektóre wsie wysiedlone i zaminowane, a mieszkańcy skazani na banicję.

Str.124

Wysiedlanie trwało bardzo krótko, po czym znaleźliśmy się kilkanaście kilometrów od domu na punkcie zbiorczym. Ogrodzeni, pilnowani, czekaliśmy czternaście dni na wagony pod gołym niebem, w błocie na deszczu, który się rozpadał i padał przez dwa tygodnie. Jedynym przytułkiem przed panującymi warunkami atmosferycznymi była obora miejscowego majątku, gdzie trzymano konie. Pomieścić się tam mogły tylko niektóre dzieci, spały one w żłobach i między koniami, poznać ich można było po ogromnych łojotokach w oczach. Były przypadki, że pozbawieni elementarnych warunków ludzie dostawali obłądu, tracili zmysły, ganiani i bici po obozie. Był to straszny widok nędzy i rozpacz. Po dwóch tygodniach podstawiono wagony, część z nich było krytych, a część to zwykłe węglarki. Do każdego wagonu była przydzielona obstawa wojskowa. I tak ruszyliśmy na zachód, ruszyliśmy z miejsca i to było najważniejsze, że jedziemy obojętnie gdzie. Po trzech dniach dotarliśmy do Oświęcimia i tu jak na ironię losu, jakby zapomniano o roli tego miasta?, pod pretekstem szczepień lekarskich (sanitarnych) wyciągano z wagonów co bardziej znanych ludzi i oni już więcej do wagonów nie powrócili. Za nimi zamknięto bramy obozu koncentracyjnego w Jaworznie. Przez osiem miesięcy męczono ich głodem i torturami, bez rozpraw i wyroków. Wielu z nich pozostało w tamtej ziemi.

Jednym z tych, za którymi zamknęły się bramy Jaworzna, był mój wujek, z którym jechałem w jednym wagonie, człowiek wyjątkowo spokojny, apolityczny. Zabrano go od żony i dwojga małych dzieci. Należał do tych, co przeżyli. Wrócił z tym, że własna żona nie mogła go poznać, chory na chorobę zakaźną - czerwonkę - przez dwa tygodnie chodził trzymając się ścian.

Po odsianiu „najbardziej niebezpiecznych wrogów” w Oświęcimiu, z pozostałymi w wagonach pociąg ruszył dalej na zachód i tak po siedmiu dniach podróży pociąg-widmo dotarł do mety. Było to małe miasteczko powiatowe, niedziela, piękna słoneczna pogoda, z tej okazji na dworzec przyszło dużo mieszkańców, przedstawiciele miejscowych władz, milicji, wójtowie gmin, którzy na swój teren przyjmowali tych Bogu ducha winnych „skazańców”. Tu odbyło się takie komisyjne przyjęcie. Kontrolowano przede wszystkim bagaże, na życzenie należało otwierać i pokazywać to, co się przywoziło, szukano głównie granatów z odpowiednimi komentarzami o banderowcach. Jeden z tych nieszczęśników przywiózł żarna, co wywołało małą sensację, koniec tego był mniej ciekawy, szczególnie dla

Str.125

właściciela, który przez rozbicie obudowy musiał udowodnić, że nie ma w niej sprzętu bojowego. W naszym wagonie rozbito i wysypano m.in. skrzynkę z suszonymi

ziemniakami. Wiele konsternacji wśród przybyłej ludności wywołało zachowanie się niektórych osób, szczególnie w stosunku do starszych kobiet i dzieci, które nie rozmawiały, bo nie umiały po polsku. Następnie rozpoczęło się przydzielanie ludzi do poszczególnych miejscowości. Każdy przedstawiciel gmin dobierał sobie na swój teren tych nieszczęśników. Wśród „kupców” znalazł się jeden człowiek, który nie szukał granatów, nie kazał rozbijać skrzyń, nie zwracał uwagi dzieciom i babciom, że nie mówią między sobą po polsku. Patrzył na to wszystko i mówił głośno do pozostałych, że on ten naród zna, że ten naród jest nie winien, że on by chętnie wszystkich przyjął na swój teren, ale nie może, bo raz, że mu nie wolno, a po drugie, nie ma wolnych zagród. Dzięki temu człowiekowi napięta atmosfera została częściowo rozładowana, swoim postępowaniem zdobył sobie sympatię wysiedleńców i wszyscy chcieli jechać do niego, jego gminy, wszyscy tego nie mogli jednak dostąpić. Należeliśmy do tych, co nie dostąpili tego zaszczytu.

Ja i dwoje moich kuzynów, dzieci wujka, którego pozostawiono w Jaworznie (8 i 10 lat), oraz nasze bagaże załadowaliśmy się na podstawiony samochód i powieziono nas na wieś 17 kilometrów od miasteczka i tam wyładowano w pustej stodole. Wokół stodoły zebrała się gromada ludzi, ciekawych zobaczyć z bliska, a może i dotknąć „banderowców”. Co wy tam macie? - padały pytania. Na pewno granaty, a gdzie wasi rodzice? Chyba zostali w bandach - i tak bez końca. Wszystko to było ponad nasze siły - byliśmy strasznie zmęczeni psychicznie i fizycznie oraz przerażeni tym wszystkim, co nas otaczało. Na nasze szczęście stodoła była w niezłym stanie, robiło się ciemno. Jeden ze starszych gospodarzy podszedł do mnie i mówił: „Jesteś tu najstarszy, pozamykaj sobie stodołę” i pokazał mi, jak to zrobić, ja tak zrobiłem i zanim zasnęliśmy, pod stodołą stukano i wykrzykiwano różne epitety. Ja w tym czasie zadawałem sobie pytanie, co znaczą ci banderowcy, dlaczego ci ludzie czują do nas taką nienawiść. Dlaczego nas tak poniżają, czy już zawsze tak będzie i tak z tymi myślami zasnąłem; ja i moi kuzyni i spaliśmy do południa następnego dnia. W tym czasie dotarli do nas okropnie zmęczeni dziadkowie, 15-letnia siostra i ciocia. Oni szli pieszo, prowadzili inwentarz i spali po rowach. Po ich przybyciu oznajmiono nam, że musimy udać się dalej, do wsi oddalonej o sześć kilometrów. Tu zamieszkaliśmy: w jednym domu trzy rodziny

Str. 126

- trzynaście osób. Teren ten był już dobrze zaludniony, puste pozostawały tylko pojedyncze, w wyjątkowo złym stanie, pozbawione drzwi i okien domy lub zagrody z wypalonym domem. W każdym takim pomieszczeniu były zwąły gruzy, odchodów i śmieci.

Przyjechało nas trzydzieści parę rodzin, rozrzucono nas na przestrzeni 50 km, od jednej do trzech rodzin na wieś, jadąc przez te wsie z daleka można było rozpoznać, gdzie mieszkają przesiedleńcy, ich zabudowania wyróżniały się od otoczenia, często do celów zamieszkania wykorzystywane były obory.

Był to początek lipca, nasze zapasy żywności kończyły się. Pomoc państwa polegała na kilku kilogramach mąki kukurydzianej na osobę. Przed nami stanął problem

wyżywienia i zabezpieczenia żywności na cały okres zimowy. Trzeba było chodzić po bogatszych gospodarzach i prosić o zatrudnienie przy żniwach, wykopkach i omłotach. Chodziliśmy nawet na odległość 15-20 km. Wynagrodzenie nasze za dniówkę wynosiło 15-20 kg zboża lub 50 kg ziemniaków. Ja miałem trzynasty rok, a siostra piętnaście, toteż z początku nie wszyscy chcieli mnie zatrudniać i dawać pełną stawkę, z czasem przekonali się, że dobrze pracuję, i tych problemów było mniej. W czasie tych prac trzeba było niemal na okrągło słuchać nieprzyjaznych opowieści o Ukraińcach. Do pracy u gospodarzy byliśmy zmuszeni pomimo takiego wieku na skutek komplikacji rodzinnych. Dziadkowie nasi mieli wówczas po siedemdziesiąt lat, ojciec zmarł w 1935 r. w wieku 25 lat na skutek choroby nerek, matka żyła osobno z drugim mężem. Na dodatek tego wszystkiego wujka zabrano do Jaworzna.

Dziadkowie nasi byli ludźmi wychowanymi na tradycjach chrześcijańskich, bardzo szanowani, o czym może świadczyć chociażby Złoty Krzyż Zasługi przyznany dziadkowi w okresie międzywojennym, babcia pochodziła z rodziny polskiej, w związku z czym jej rodzina pozostała nie wysiedlona. Z uwagi na taki układ rodzinny dla mnie nieobce były polskie zwyczaje. W domu nie słyszałem marnego słowa nietolerancji, i nagle w takim wieku i okolicznościach zostałem rzucony w to wzburzone morze, narażony na szykany i zagrożenia, były to przeżycia nie na taki wiek. Jak trudne to były przeżycia, niech świadczy chociażby taki przypadek: ciocia, której mąż przebywał w Jaworznie, pojechała do Warszawy do ambasady USA, by próbować go ratować z tego łagru, gdyż urodził się on w Nowym Jorku i przed wysiedleniem rozpoczął starania o obywatelstwo i wyjazd do USA. I właśnie w tę noc, w czasie jej nieobecności, przyszedł

Str. 127

do nas napastnik podający się za przedstawiciela władzy, pobił staruszką dziadka i zabrał nam cały dobytek, odzież, obuwie i inne przedmioty. Po tym napadzie kilku sąsiadów przychodziło do nas i wskazywało sprawcę, którym był mieszkający kilkaset metrów od nas gospodarz - poznawał go również (pomimo zamaskowania) dziadek. Władza jednak umorzyła śledztwo.

Z czasem atmosfera uległa poprawie, odnosiło się wrażenie, że zostaliśmy przynajmniej częściowo akceptowani. Byli tacy, co opowiadali nam i śmiali się z tego, jak to niektórzy sąsiedzi przesiedleńców w pierwszych dniach (nocach) po naszym przyjeździe uwierzyli szeptanej i oficjalnej propagandzie i pilnowali swego dobytku z siekierami w dłoniach.

Przekrój ówczesnego społeczeństwa Ziemi Zachodnich to prawdziwa mozaika. Przypominam sobie taki przypadek, jak kilkuletni chłopiec sąsiada słyszyc rozmowę w naszym domu powiedział, że moja mama z tatą tak samo rozmawiają, jak się kłóć.

Przeprowadzona z premedytacją pacyfikacyjna akcja wysiedleńcza pod kryptonimem „Wisła”, wyrządziła niepowetowane szkody. Mająca przed sobą wielkie

możliwości rozwoju Łemkowszczyzna (podobnie jak Bieszczady) straszy swym zacofaniem, degradacją i dzikością. Wiele wsi jest zarośniętych, niedostępnych, nazwy ich pamiętają tylko byli mieszkańcy. Następstwem podjętych działań były i są ogromne straty gospodarcze i inne, których nie sposób wymiarować.

Jak podaje miesięcznik „Solidarność Walcząca” nr 13, tylko w samej eparchii przemyskiej zniszczono 330 cerkwi katolickich, nie wliczając prawosławnych. Dalej autorzy, którzy prowadzili inwentaryzację, piszą tak: „Z bogactwa i kultury chrześcijańskiego Wschodu, z której przez wieki czerpał i nasz naród, zdają sobie sprawę Niemcy, Francuzi, Anglicy, tylko nie my. Ocalałe wyposażenie wewnątrz cerkiewnych dewastowano i rozkradano, a w świątyniach rozlegało się pobekiwanie zamkniętej tam trzody”.

Straty, jakie ponieśli mieszkańcy tych ziem, są nie do odrobienia. Została zniszczona, rozbita grupa etniczna. Nasza tragedia jest mało znana, nad nią przechodzi się do porządku dziennego, jak by nic się nie stało. Co innego jakiś Tatar, Niemiec, a my przypisani na poniżanie, na zapomnienie.

Jerzy Tomaszewski w tygodniku „Polityka” z 30.7.88 r. napisał: „W warunkach polskiej administracji, szkoły, prasy, radia, telewizji, jedynie bardzo uparci Białorusini lub Ukraińcy zachowują swój język i obyczaje”.

Str. 128

Zostaliśmy oderwani od swoich korzeni, pozbawieni ziemi, rozproszeni wśród nieprzyjaznego otoczenia z przeznaczeniem na szybkie i bezwzględne zniszczenie tożsamości narodowej. Nasza mniejszość w tych warunkach czuje się wyizolowana, musi tajić swoje pochodzenie, żeby unikać dyskryminacji i różnych szykan. Ponure miano bandytów, jakie nam przypisano i jakim nas zaszczuto, nie pozostawia dla nas miejsca. Do kogo więc się zwrócić, od kogo oczekiwać wsparcia i zrozumienia? Chyba intelektualści!

I właśnie w „Gazecie Krakowskiej” z 19.07.89 ukazał się list otwarty poety Jerzego Harasymowicza pod tytułem Łemkom pod rozważę. Datę wybrano nieprzypadkowo, bo oto od kilku lat, rozsiani po zachodniej Polsce mieszkańcy Łemkowszczyzny wyznaczają sobie w dniach 20-22 lipca spotkanie przy ognisku (watrze). Adresatami, jak widać, byli ci, co się interesowali swoją przeszłością, co się odważyli tak przyjechać. A oto kilka zdań zaczerpniętych z tego „Pośłania”:

„Łemkowie to potomkowie wołosko-mołdawskich pasterzy z domieszką krwi polskiej i ruskiej. Łemkowie to nie jest żadna grupa etniczna, to jest po prostu naród. Że jest w mowie podobny do ukraińskiego? To jest zasługa Cerkwi greckokatolickiej. Uważam, że tak samo jak Polacy na Litwie, Łemkowie powinni u nas dążyć do swego niezależnego Łemkowskiego Rejonu. Powinny to być, moim skromnym zdaniem, południowe tereny byłego powiatu gorlickiego. Łemkowie powinni mieć swoją władzę, swoje narodowe symbole, swój złoty sztandar z czerwonym prawosławnym Krzyżem. Uważam za zdrajców Narodu Łemkowskiego tych jego wykształconych

synów, którzy raptem poczuli się Ukraińcami. Naród Łemkowski nie jest gromadą pastuchów, jak to się wydaje jego niektórym synom wykształconym. Ci wyrodni synowie stają się ni z tego, ni z owego zażartymi Ukraińcami, zdają się być Ukraińcami bardziej niż prawdziwi Ukraińcy".

Tak więc mamy to, co mamy, zamiast obrony dzielenie według wypróbowanych wzorów, na przeszkodzie stają tylko świadomi synowie, z pozostałych można ulepić każdą, żądaną figurę. Materiał podatny do manipulowania, bo odcięty od swojej szkoły, religii, ziemi i źródeł historycznych.

Ciekawe, jakby reagowali nasi „Harasymowicze", gdyby w sąsiednich krajach tworzono nową historię polskich grup etnicznych i wmawiano im, że nie są Polakami.

Naszą tragedię należy rozpatrywać w kontekście stosunków polsko-ukraińskich.

Str.129

Dzieje tych stosunków są tragiczne. Główną przyczyną nieszczęść obu narodów była polska ekspansja na wschód, która rozpoczęła się w XIV wieku. Jerzy Wyrozumowski w swojej książce pt. Kazimierz Wielki tak napisał: „Kolejne etapy ujarzmiania przez Koronę Polską drogą przewlekłych, krwawych wojen i zabiegów dyplomatycznych, Rusi Halicko-Włodzimierskiej, Kijowskiej, Białorusi i Litwy, charakteryzowały się nasileniem ekspansji, grabieży i ograniczania w prawach miejscowej ludności".

Jak z tego wynika, konflikt ten swoimi korzeniami sięga siedmiu wieków. Dla pełnego wyjaśnienia nagromadzonych uprzedzeń sięgać należy do źródeł. Przykładem takiego potraktowania problemu jest artykuł p. Agnieszki Magdziak-Miszewskiej zamieszczonego (przez) „Więź" 2/91. Oto jego fragmenty: „Sytuacja Ukrainy i Białorusi jest nieporównywalna. Nieporównywalny jest stopień świadomości narodowej. A za to, że tak jest, winę ponosimy również my, zapatrzeni w polską historię tych ziem, nadal nie chcemy dostrzec, że żyje tam i zawsze żył naród, który ma święte, niepodważalne prawo uważać je za swoje. Tak się przyzwyczailiśmy do roli męczenników Europy, że każda wzmianka o tym, iż nie zawsze tak bywało, że czasem i my występowaliśmy w roli gnębieli, drażni nas i głośno krzyczymy, że oskarżyciele kłamią. Wrażliwi na wszelkie opinie na swój własny temat, nie potrafimy zrozumieć cudzych lęków i urazów.

Zapatrzeni we własne zwycięstwa skłonni jesteśmy lekceważyć białoruskie próby wybicia się na niepodległość. Nasza wspólna historia jest trudna i bolesna. Nie zmienimy jej. Ale możemy zacząć się wreszcie uczyć traktować naszych sąsiadów z szacunkiem, na który w najwyższym stopniu zasłużyli. I wówczas może się okazać, że mamy wielu wspólnych bohaterów i twórców. Bo my Polacy mamy ich dzięki Białorusi naprawdę wielu - Kościuszko, Mickiewicz, Moniuszko, ks. Popiełuszko".

Agnieszka Magdziak-Miszewska trafiła w sedno. Zostało poruszone to, co najczęściej jest pomijane, obchodzone, o czym nie mówi się do końca. I nad tym należy ubolewać.

Nasze społeczeństwo wychowane na propagandzie sukcesów niechętnie przyjmuje do wiadomości inne rozwiązania.

Miejmy nadzieję, że przyszłość należeć będzie do ludzi pokroju p. Magdziak-Miszewskiej i wielu innych, którzy pragną rozliczyć się z tragiczną przeszłością przy pomocy odkrywania społeczeństwu źródeł prawdy. Sprzyjać temu powinna tworząca się na naszych oczach historia.

Str.130

Pisać prawdę trzeba na przekór siewcom niezgody „twórcom” *Łun w Bieszczadach* i innych paszkwili, z których można zebrać pokaźną bibliotekę. Do wyjaśniania czarnych i białych plam, wyzbycia się balastu zakłamania, pisać i mówić trzeba prawdę bez upiększeń i przekręceń, nawet wtedy, gdy prawda jest gorzką prawdą, w przeciwnym razie stajemy się niewolnikami zakłamania.

Dla eliminowania nagromadzonych uprzedzeń trzeba usuwać z drogi to, co dzieli, mąci, zatruwa atmosferę, co przeszkadza w wychowaniu w duchu pokoju wzajemnego zrozumienia i szacunku dla słabszych. Stanąć po stronie słabszych, pokrzywdzonych to bardzo szlachetny odruch, nieobcy również polskiemu społeczeństwu. Mamy na to wiele dowodów i przykładów.

Problem mniejszości narodowych w dzisiejszej Polsce to przede wszystkim problem moralny, jego humanitarne rozwiązanie ma znaczenie nie tylko dla mniejszości tu żyjących, ale również dla wytworzenia odpowiedniego klimatu wokół naszego kraju.

Od lat osiemdziesiątych polska opozycja rozpoczęła tworzyć klimat sprzyjający wychodzeniu naszej społeczności z getta stworzonego dla nas w 1947 r. przez władze PRL i strzeżonego przez MSW. Nadszedł chyba czas naprawienia krzywd, jakie wyrządzono naszej mniejszości przez zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej, podczas akcji „Wisła”, która w świetle prawa międzynarodowego była zbrodnią przeciwko ludzkości. Czas zdjąć z tej społeczności piętno zaszczytów, przywrócić podeptaną godność człowieka i prawo do swej ziemi.

Str.131

ANDRZEJ SOKACZ

(Wspomnienia)

Jestem Łemkiem. Urodziłem się w sylwestrową noc 1959 roku w Legnicy. Moi Rodzice pochodzą z byłego powiatu gorlickiego, z dwóch oddzielonych od siebie masywem Magury Wątkowskiej wiosek - Bednarki i Bartnego. Oczywiście poznali się i pobrali już na Ziemiach Zachodnich. Oboje zdobyli wykształcenie. Ojciec jest księgowym, a Mama nauczycielką, obecnie są już na emeryturze. Od dzieciństwa byłem świadomy swego pochodzenia, chociaż początkowo się nad tym nie zastanawiałem. Wiedziałem tylko, że jestem inny od moich sąsiadów i kolegów.

Jednak nie czułem się wyobcowany, gdyż w tej czteropiętrowej poniemieckiej kamienicy oprócz nas mieszkali jeszcze: samotny Żyd, któremu my, dzieci, wyjmowaliśmy gazety ze skrzynki na listy, dziwiąc się hebrajskim literom, rodzina greckich imigrantów z dwojgiem dzieci (byłem zaintrygowany niezrozumiałym językiem, w którym Nikos rozmawiał ze swoją matką). Na ostatnim piętrze mieszkali wprawdzie Polacy, ale też byli inni, sąsiedzi nazywali ich złośliwie „kocia wiara”. U nas w domu rozmawiało się po łemkowsku. Oczywiście nie było to żelazną regułą i my dzieci (jest nas dwoje z siostrą) rozmawialiśmy między sobą po polsku. Jednak gdy rodzice nas słyszeli, to zwracali nam uwagę, żeby rozmawiać po „swoimi”. Na ulicy mówiło się po polsku, chcę jednak dodać, że nigdy nie odczułem, żeby rodzice bali się czy też wstydzili naszej mowy. Może po prostu nie chcieli zwracać na siebie uwagi. Zresztą na klatce nas znali jako Ukraińców (dobrze słychać przez ścianę) i nigdy się tego nie zapieraliśmy. Raz nawet zaczepił mnie mój sąsiad-rówieśnik pytając, czy mój tato jest Łemek, to powiedziałem, że tak, dodając natychmiast szczerze - ale mama też! W późniejszych czasach aż do dnia dzisiejszego otoczenie zawsze wiedziało, kim jestem i nigdy, poza paru incydentami w dzieciństwie, nie miałem z tego powodu przykrości.

Ojciec mój przed założeniem rodziny był aktywnym członkiem UTSK (Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne), kilka lat był nawet przewodniczącym koła w Legnicy. Prenumerował też regularnie „Nasze Słowo”

Str.132

- tygodnik w j. ukraińskim. Mieszkała z nami babcia, która zwracała się do nas wyłącznie po łemkowsku, po polsku zresztą mówiła nie najlepiej, przekręcając śmiesznie niektóre słowa. Gdy miałem sześć lat, babcia nauczyła mnie modlitwy Otcze nasz- Wychowywałem się więc w atmosferze łemkowskiej, chociaż nie rozumiałem dokładnie, co to znaczy być Łemkiem, Ukraińcem. Używało się częściej słów - nasz, swój, np. „win jest swij człowiek, naszy świata” itp. Duży wpływ na kształtowanie mojej świadomości miała Cerkiew. Do kościoła nie chodziliśmy, jedynie będąc gdzieś na wczasach (było to wtedy dla mnie wielką atrakcją, szczególnie dźwięk organów). W latach sześćdziesiątych chodziliśmy do cerkwi prawosławnej (matka jest prawosławna, ojciec grekokatolik). Muszę przyznać, że jako dziecko nie bardzo lubiłem uczęszczać na nabożeństwa. Długa, prawie dwugodzinna Służba Boża dłużyła mi się niemiłosiernie, w dodatku starocerkiewny obowiązujący w liturgiach wschodnich jest mało zrozumiały. Końcem lat sześćdziesiątych zaczęliśmy chodzić do nowo utworzonej parafii cerkwi greckokatolickiej. Od razu zauważyłem, że msze są nieco krótsze, co dla mnie było chyba najważniejszym elementem w tej zmianie obrządku. W tym miejscu chciałbym się nieco dłużej zatrzymać przy sprawach wyznaniowych. Otóż mimo nieobecności parafii greckokatolickiej w Legnicy chrzczony byłem właśnie w tym obrządku. Od czasu do czasu przyjeżdżał bowiem do Legnicy śp. ks. Hajdukiewicz ze Szprotawy (były proboszcz grekokatolicki na łemkowszczyźnie) udzielając ślubów i pogrzebów wszystkim spragnionym posługi kapłańskiej rodakom. W późniejszych czasach o. Hajdukiewicz został pierwszym proboszczem nowo utworzonej parafii greckokatolickiej w Legnicy.

Chciałbym zaznaczyć, że nigdy nie dochodziło między rodzicami do nieporozumień na tle wyznaniowym. Często jeździliśmy do dziadków ze strony mamy do Zimnej Wody, wsi w pow. Lubin, gdzie mieszka sporo przesiedleńców z Bartnego, i będąc tam w niedzielę lub w święta wspólnie szliśmy na nabożeństwo prawosławne w miejscowej cerkwi (były kościół ewangelicki). Szczególnie miło wspominać bardzo uroczyste odpusty na święto Uszenia (Zaśnięcie NMP) 26 sierpnia. Zjeżdżało się wtedy dużo ludzi, uświetniał „praznyk” swą obecnością władca wrocławski i kilku innych księży. Dla dzieci największą atrakcją były odpustowe kramy pełne przeróżnych kolorowych i hałaśliwych drobiazgów. Nigdy nie wracałem do domu z pustymi rękami. Wyjazdy do Zimnej Wody umacniały we mnie poczucie przynależności narodowej. Moi kuzyni (dzieci

Str.133

braci mamy) rozmawiali między nami wyłącznie po łemkowsku, oprócz tego przysłuchiwałem się rozmowom dorosłych, gdzie czasem tematem były dawne czasy na łemkowszczyźnie. Zawsze mnie to interesowało i będąc już starszym świadomie zagadywałem o te sprawy, starając się jak najwięcej na ten temat dowiedzieć.

Będąc w drugiej klasie przygotowywałem się do pierwszej komunii św. chodząc na religię, której uczyła nas „imość” - żona naszego proboszcza. Po przyjęciu pierwszej komunii moja nauka katechezy na tym się zakończyła i aż do szkoły średniej na lekcje religii nie uczęszczałem. W szkole nie pytano mnie o te sprawy, zresztą było takich dzieci więcej i nikogo to nie obchodziło. Podsumowując swój okres życia do ukończenia szkoły podstawowej stwierdzam, że świadomość pochodzenia łemkowskiego była dla mnie oczywista. Było to jednak pojęcie ograniczające się do najbliższych mi osób. Poza nimi było to środowisko polskie - w szkole, również i muzycznej, do której uczęszczałem przez pięć lat oraz na podwórku wśród rówieśników.

Gdy nadszedł czas wyboru szkoły średniej, nastąpił dylemat, co wybrać - LO ukraińskie czy szkołę polską. Ja w zasadzie nie miałem zdania na ten temat, ale bardziej schylałem się ku szkole polskiej. O liceum ukraińskim wiedziałem tylko, że istnieje, nikogo tam nie znałem, a w sumie miałem obawy, czybym się tam zaaklimatyzował. Decyzję jednak pozostawiłem rodzicom. Ostatecznie poszedłem do polskiego liceum ogólnokształcącego. Zdecydował tu chyba pewien mit. W naszych kręgach uważano bowiem powszechnie, że poziom nauczania w 4 LO (ukr.) jest niższy niż w szkołach polskich, a także, że takiemu absolwentowi z „łatką” ukraińskiej szkoły trudniej będzie dostać się na studia. Mnie jako tzw. zdolnego chłopca rodzice od dawna widzieli jako przyszłego lekarza czy też jakiegoś innego „magistra”. Z dzisiejszej perspektywy wiem, że te obawy były bezpodstawne i odsetek absolwentów 4 LO, którzy dostali się na studia, nie odbiega od norm liceów polskich.

Etap, w którym uczęszczałem do „ogólniaka”, był jednym z przyjemniejszych okresów w moim życiu. Miałem bardzo dobrych kolegów, z którymi spotykałem się również poza szkołą. Jednak pod względem kształtowania mojej świadomości narodowej był

to okres trochę „martwy”. Nie miałem kontaktów z rówieśnikami - Łemkami poza tymi sytuacjami, o których wspominałem wcześniej, a więc na gruncie rodzinno-kościelnym. W klasie maturalnej zacząłem uczęszczać na lekcje religii

Str.134

prowadzone przez naszego proboszcza (obecnego biskupa przemyskiego J. Martyniaka). Nie czułem się na nich za dobrze, gdyż prawie cała uczęszczająca młodzież to byli uczniowie ukraińskiego liceum, wszyscy ze sobą zaprzyjaźnieni i zżyci. Ja czułem się trochę wyobcowany i dlatego po zakończeniu katechezy szybko uciekałem do domu i swoich „kumpli” z klasy. Od czasu do czasu czwarty ogólniak dawał występy muzyczne, na które dość chętnie chodziłem, gdyż podobały mi się ukraińskie piosenki, wolałem jednak Deep Purple i Niemena z magnetofonu kolegi. Do świetlicy UTSK nie chodziłem, ponieważ w ogóle młodzież w moim wieku była tam rzadkim gościem.

Cezurą w moim życiu było rozpoczęcie studiów na Wydziale Weterynarii Akademii Rolniczej we Wrocławiu. O ile pierwszy rok to był martwy sezon, bo tylko nauka i jeszcze raz nauka, to od drugiego roku poznałem uroki studenckiego życia. Na moim roku miałem kolegę, też Łemka, którego poznałem zresztą na pierwszej w moim życiu dorosłej zabawie tanecznej w świetlicy UTSK na ul. Ruskiej. Impreza mnie zafascynowała. Podobało mi się tam dosłownie wszystko. Orkiestra świetnie grała, wykonując piosenki ukraińskie rodem głównie z Kanady i USA w sposób żywiołowy i brawurowy, towarzystwo świetnie się bawiło, śpiewając wspólnie w przerwach między tańcami. Poznałem wtedy wielu ludzi i zrozumiałem, że stanowimy jakąś całość, enklawę wśród innych ludzi. Byłem zadowolony, że i ja należę do tego środowiska. Od tej pory zapragnąłem znaleźć sobie sympatię, koniecznie ze „swoich”. Po pewnym czasie stworzyliśmy z nowymi kolegami udaną paczkę. Chodziliśmy razem wszędzie, spotykaliśmy się po zajęciach na uczelni, szliśmy na piwo, do kina czy do klubu. Byliśmy wszyscy Łemkami o ukraińskiej świadomości narodowej. Choć byliśmy na różnych uczelniach, byliśmy bardzo zżyci i spotykaliśmy się prawie codziennie.

Po drugim roku na wakacjach wybrałem się na rajd młodzieży ukraińskiej w Beskidy na Łemkowszczyznę. Było to niezapomniane przeżycie. Dla większości z nas było to pierwsze spotkanie z ziemią naszych przodków. Rajd ten bardzo zaprzyjaźnił ze sobą uczestników, zawiązały się też pierwsze romanse. Wspólne śpiewy przy wieczornym ognisku wspominam często do dziś. Był to dla mnie końcowy etap kształtowania się mojej świadomości narodowej. Z rajdu wróciłem jako patriota ukraiński, dumny ze swego pochodzenia, tradycji i kultury, zrozumiałem też wtedy, że tereny Łemkowszczyzny są moją matką ojczyzną. W 1980 roku będąc na weselu

Str.135

w Bartnem poznałem swoją przyszłą żonę. Żona pochodzi z Gorlic, więc okres narzeczeństwa to częste, pięciusetkilometrowe dla mnie wyprawy do niej na święta, ferie itp. Wspólnie byliśmy też na rajdzie Karpaty, Festiwalu Ukraińskiej Muzyki w

Koszalinie czy na Jarmarku w Gdańsku. W 1983 wzięliśmy ślub, a rok później przeprowadziłem się do żony do Gorlic. Wróciłem więc do Kraju Ojców, o czym marzyło wielu wysiedlonych barbarzyńsko w 1947 r. Łemków.

Obecnie mamy dwóch synów, których staramy się wychować tak, jak nas wychowano. Na koniec chciałbym coś powiedzieć o moim stosunku do Polski i Polaków. Lubię ten kraj i ludzi, wśród których się urodziłem i z którymi na co dzień żyję. Mamy wspólną mentalność, jednakowy styl bycia, temperament i wspólną słowiańską duszę. Gdy w 1987 roku byłem wraz z chórem „Łemkowyna” na tournée po Kanadzie i Stanach, uderzyła mnie odmienność charakteru i stylu życia Amerykanów, nawet i z pochodzenia Łemków. Nie czułem się tam dobrze i mimo że miałem szansę wyjazdu do Kanady na stałe (żona ma tam bliską rodzinę), zostałem w Polsce. Tu czuję się najlepiej i tu chcę budować szczęśliwe życie dla siebie i swojej rodziny.

Str.136

NADIA WISŁOCKA

(Wspomnienia)

W połowie drogi łączącej Nowy Sącz z Krynicią leży wieś mego dzieciństwa, wspomnienie której budzi drzemiącą w duszy tęsknotę i ból. Nazywa się Łabowa. Położona jest w dolinie rzeki Kamienicy i otoczona łagodnie wznoszącymi się stokami porośniętymi lasami jodłowymi gór. Na opadających łagodnie w kierunku rzeki polach uprawiano kiedyś owies, żyto, jęczmień, len, ziemniaki i karpiele. Obok domów znajdowały się ogródki warzywne i kwiatowe. Zabudowania były drewniane i składały się najczęściej z domu mieszkalnego, obory, stodoły, spichlerza i zimnej piwnicy.

Wieś liczyła około 150 domów, w tym żydowskich było około 40, polskich 5 we wsi i 5 na tzw. morgach. W latach dwudziestych kilku uczestnikom legionów Piłsudskiego hrabia Stadnicki dał po 6 morgów ziemi i materiał na budowę domów. W ten sposób powstała tak nazywana kolonia licząca 5 gospodarstw.

Do Żydów należały dwa tartaki, w których pracowała biedniejsza ludność. Żydzi posiadali też 2 sklepy tekstylne, 4 spożywcze, garbiarnię, piekarnię, 3 krawieckie i dwa szewskie punkty usługowe, rzeźnię cieląt i baranów, sklep mięsny i dużą karczmę z zajazdem. Usytuowana ona była w środku wsi przy dużym placu targowym. Zatrzymywali się tu kupcy przyjeżdżający na jarmarki wiejskie, a także handlarze zdążający na jarmark koński do Starego Sącza. W tej karczmie odbywały się zabawy weselne.

Rusini posiadali jedną piekarnię, kooperatywny sklep wielobranżowy, dwa sklepiki spożywcze oraz kuźnię. Właścicielem drugiej kuźni był Polak. Większość ludności trudniła się rolnictwem. Stan posiadania był zróżnicowany, ale poziom życia był prawie jednakowy. Za bogatszych uważano tych, którzy mieli las. Do takich należał mój ojciec, który był właścicielem 29 morgów lasu, 14 morgów ziemi i dużego zabudowania. We wsi osiedliła się też rodzina cygańska, która pobudowała sobie mały domek na polu mego ojca, przyjaciela Cyganów.

Za rzeką, na wzgórzu pod wsią Uhryn, bieleły się z daleka widoczne

Str.137

ściany osiemnastowiecznej cerkwi. W święta i każdą niedzielę zdążał do niej pobożny lud nie tylko z Łabowej, ale i okolicznych 3 wsi położonych w dolinach potoków wśródgórskich. Po skończonym nabożeństwie na przycerkiewnym placu przystawali grupami ludzie i wiedli długie rozmowy. Tego typu spotkania służyły wzajemnemu poznaniu i zbliżeniom. Z cerkwi do plebanii przechodziło się przez przerzuconą nad rzeką solidną kładkę. Plebania była ładnym budynkiem w stylu dworku i posiadała też budynki gospodarcze. Ksiądz był rolnikiem! „Imost”, żona księdza, była osobą lubianą i cieszącą się we wsi wielkim autorytetem i poważaniem. Ona to inicjowała i prowadziła ożywioną działalność oświatową i kulturalną wśród młodzieży. W tzw. czytelni „Proświty” organizowała kursy gospodarstwa domowego, „weczerzy” i inne zabawy towarzyskie. Utworzyła też amatorski zespół teatralny. Przygotowane inscenizacje prezentowano w okolicznych wsiach, a nawet w Nowym Sączu, gdzie też mieszkali Ukraińcy. Moja mama, obdarowana przez naturę pięknym głosem i talentem aktorskim, była jedną z głównych artystek samorodnych tego zespołu. Przy cerkwi brat mamy, który w czasie wojny zginął w obozie oświęcimskim, prowadził chór cerkiewny. Z łatwością mogę przywołać z pamięci obrazy, w których jawi się mama, wujek i dziadek pełniący w cerkwi funkcję pałamara.

W 1934 roku poświęcono wybudowany z finansową pomocą hrabiego Stadnickiego kościół, a podczas wojny dokończono budowę plebanii polskiej. Żydzi modlili się w swojej bożnicy. Miejsca pochówku również były oddzielne.

Dzieci uczyły się w odrębnych szkołach. Wszystkie trzy grupy żyły zgodnie, wzajemnie się uzupełniając i zachowując własną tożsamość. W piękny słoneczny dzień wrześniowy 1939 roku przyszła do wsi nowa rzeczywistość. Początkowo oznakami jej były błyszczące pod błękitnym niebem srebrzyste sylwetki „eroplanów” z ciekawością obserwowane przez dzieciarnię. Wnet jednak zjawili się Niemcy i zaczęli wprowadzać swoje porządki. W 1941 roku do obozów koncentracyjnych wywieziono wszystkich Żydów i rodzinę cygańską. W 1942 roku podobny los spotkał kilku Rusinów, wśród których byli dwaj bracia mojej mamy - dyrygent chóru cerkiewnego i student seminarium duchownego. Kilkanaście osób polskiej i ruskiej narodowości wywieziono na przymusowe roboty do Rzeszy. Miejscowa ludność nękana kontyngentami żyła w ciągłym

Str.138

zagrożeniu nie tylko ze strony niemieckiej, ale i uzbrojonych grup ludzi podających się za polskich partyzantów. Nocą napadali na uśpione wsie, grabili dobytek, palili domy i znęcali się nad ludnością. Tak jesienią 1944 roku spalono ruską plebanię w Łabowej, w Uhrynie ograbiono i spalono dom wiejskiego nauczyciela, a jego uprowadzono. Przepadł bez śladu. W zgliszczach odnaleziono nie spalone resztki jego żony. W Łabowej uprowadzono czterech mężczyzn, wśród nich ruskiego nauczyciela, który był oficerem rezerwy wojska polskiego. Ciała ich znaleziono w górach, gdy wiosną stopniał śnieg.

Armię Czerwoną, która wkroczyła w styczniu 1945, powitano z nadzieją. Nadzieje jednak szybko wygasły. Zaraz w lutym zarządzono mobilizację mężczyzn w wieku od 18—45 roku życia do Armii Czerwonej. Kilkunastu zwerbowanych wysłano na front, z którego większość nie powróciła. Rozpoczęto też aresztowania i wysyłkę na Sybir. Odebrano chłopom las i upaństwowiono. Wiosną rozpoczęto akcję przesiedleńczą ludności na Ukrainę. Od przesiedlenia wymigąło się 20 rodzin, ale i tych w 1947 objęła akcja „W”. Słuchy, że siłą wysiedlani są ludzie, docierały ze wschodu już od wiosny 1947 r. Mimo niepewności wykonano prace wiosenne. W lipcu zjawilo się we wsi wojsko. Wydano polecenie: przygotować się do wyjazdu. Można było zabrać tyle, ile zmieściło się na wozie drabiniastym. Niewielkie zapasy żywności, owies dla konia, kilka sprzętów domowych, tobołki z ubraniem i pierzynami ułożono na wozie, dzieci ulokowano między tobołkami, za wozem uwiązano dwie krowy. Przedtem ucałowaliśmy z rodzicami progi swego domu. Mama i tato płakali. Potem nasz koń Kuba dołączył do karawany i pociągnął nasz wóz w nieznaną. Był 4 dzień lipca 1947 roku.

Noc spędziliśmy na stacji kolejowej w Nowym Sączu. Rano jedna kobieta dostała ataku spazmów, bo zaaresztowano jej męża. Ją odwieziono do szpitala, a dwoje ich dzieci dano pod opiekę młodemu małżeństwu. Gdy podstawiono wagony, ludzie rozpoczęli załadunek: po dwie rodziny z bydłem w jednym wagonie. W Oświęcimiu pociąg stanął na boczniczy. Po dłuższym czasie trwożliwego oczekiwania, wszczął się ruch. Wzdłuż pociągu chodzili wojskowi z jakimiś listami, zaglądali do wagonów, wyczytywali nazwiska, a wyczytanych gdzieś zabierali. Gdy zabrani wrócili, pokazywali ślady pobicia. Byli na przesłuchaniu. Do transportu nie powróciło 2 mężczyzn - jednym z zatrzymanych był brat mojej mamy. Był to już trzeci członek najbliższej rodziny, represjonowany przez dwie różne

Str.139

władze. Po tej procedurze pociąg ruszył w dalszą drogę. W gorących i dusznych wagonach rozlegał się ryk spragnionego i głodnego bydła. Wreszcie pociąg zatrzymał się na stacji w Lubinie, gdzie nastąpił rozładunek wagonów, podział ludzi na kilkurodzinne grupy i wyjazd do różnych miejscowości. Znaleźliśmy się w grupie liczącej 8 rodzin, którą skierowano do Erlicha. Było to duże poniemieckie gospodarstwo, składające się z ogromnej stodoły, obory i 2 domów. Jeden z domów był już zasiedlony ludźmi z wcześniejszych transportów. Dwie, bardziej przedsiębiorcze rodziny zajęły wolny dom, reszta rozlokowała się w stajni. Zgłodniałe konie i krowy

wypuszczono na soczyste łąki. A ludzie? Wciąż nie mogli uwierzyć w smutną rzeczywistość, łudzili się nadzieją, że sytuacja jest krótkotrwała, że wnet ktoś da rozkaz: „Wracajcie do domu!”

Mijały dni, zapasy żywności topniały, a nikt nie zjawiał się z dobrym rozkazem. Oto skład mieszkańców stajni: młode małżeństwo z dwójką dzieci zaaresztowanego w Nowym Sączu właściciela piekarni, moja babcia z dziadkiem, wujenka (mąż jej pozostał w więzieniu w Oświęcimiu) z trójką dzieci, brat wujenki, my oraz stara, mądra kobieta, bardzo przez wszystkich szanowana, nazywana nonaszka, tzn. chrześną, i jej przybrana wieloosobowa rodzina. Za radą „nonaszki” postanowiono trzymać się razem, bo jak powiedziała, źdźbło słomy tylko w snopie nie daje się złamać. Trudno jednak było na dłuższą metę żyć w stajni. Mężczyźni wyruszyli szukać nowego miejsca zamieszkania, a razem z nimi moja mama, której przypadła rola głowy trzech rodzin, albowiem nasz tato pogrążył się w apatii, wujenka trwała w rozpacz, a dziadek był stary. Tak trafiono do oddalonej o 12 km od Lubina wsi Niemstów. Niefortunny był to wybór, a rada „nonaszki” okazała się fatalna. Ciągłe licząc na tymczasowość sytuacji osiedlono się w jednym domu. Chociaż dom był duży, obora przestronna, różnice charakterów i niedogodność życia tylu ludzi w jednym gospodarstwie nie sprzyjały harmonii. Konflikty powstawały przeważnie z powodu dzieci i wspólnie przygotowywanej paszy dla bydła. Wiosną moja mama podjęła działania zmierzające do oddzielenia się. Upatrzyła sobie ładny, wolny jeszcze domek nad rzeką, ale sołtys nie pozwolił go zająć mówiąc: „to nie dla was!” Dostaliśmy dom stary, niski ze spaloną oborą i bez stodoły, na końcu wsi i w pobliżu państwowego gospodarstwa rolnego. W nasze sąsiedztwo ściągnęli Łabowianie z innych miejscowości. Na skraju wsi powstała mała kolonia licząca 8 rodzin.

Przybyliśmy na zachód z piętnem banderowców, więc odnoszono się

Str.140

do nas wrogo i z pogardą. Z biegiem czasu stosunki międzyludzkie stawały się życzliwsze, ale zawsze pozostawaliśmy ludźmi gorszej kategorii.

Życie w bliskim sąsiedztwie ludzi pochodzących z jednej miejscowości ułatwiało pokonywanie trudności. Pomagano sobie przy remontach domostw, w pracach polowych, pożyczano sprzęt i konie. Starano się w miarę możliwości pielęgnować stare zwyczaje i tradycje. Młodzież spotykała się w niedzielne popołudnia na grę w siatkówkę, potańcówki i śpiewy. Ale wszystko to było tylko namiastką przeszłości. Upływający czas i obiektywne warunki sprzyjały procesowi asymilacji. Maria Dąbrowska powiedziała w swoich pamiętnikach, że dla człowieka najważniejsze jest to, co wziął w siebie w wieku 10-15 lat. Pokolenie, które przyjechało na zachód w tym okresie życia, zachowało swoją tożsamość. Małe dzieci i narodzone na ZO (Ziemiach Odzyskanych) nie miały z czego czerpać, więc szybko się asymilowały. Tak się stało z moim młodszym rodzeństwem i moimi dziećmi. Moja mama do końca życia żałowała, że nie pojechaliśmy w 1945 r. na Ukrainę, a ja podzielam jej opinię.

Tabela obrazująca ruch ludności przybytej z Łabowy do Niemstowa (lata 1947-1991)

Str.142

Z liczby 69 przybyłych pozostało w Niemstowie 11 osób, wśród nich mój wujek liczący 84 lata z osiemdziesięcioletnią żoną. Są oni najstarszymi ludźmi we wsi.

Sądzę, że oderwanie ludności ruskiej, czy jak inni mówią łemkowskiej, od jej korzeni, spowodowało zniszczenie prawdziwego jej charakteru.

Warto jeszcze dodać, że tylko w jednej z wymienionych w tabelce rodzin, nie pojawiły się małżeństwa mieszane.

Str.142

JAROSŁAW ZWOLIŃSKI

Rapsodia dla Łemków

Część II

Zamiast wstępu

29 czerwca 1947 roku, mieszkańcy wsi Florynka powiatu nowosądeckiego, zostali dnia i nocy (24 godziny) załadowani na furmanki z całym dobytkiem pod nadzorem i przy hałaśliwym pokrzykiwaniu żołnierzy z KBW i funkcjonariuszy UB i ze swoich domostw, wszelkimi możliwymi dróżkami wypychani do głównej drogi, prowadzącej z Krynicy do Grybowa. W ten sposób spacyfikowano całą wieś, nie zostawiono nikogo (poza jedną rodziną Aleksego Kaniuka). Każdego kto się opierał lub opóźniał wyjazd, „upominano” kolbami albo mocnym „pogłaskaniem” pięściami. Opisałem to wszystko dość dokładnie w części pierwszej pt. Moja wieś Florynka - lata 1939-1947 (zob. zakończenie tekstu pamiętnika). Łemków z jednej z największych wsi na Zachodniej Łemkowszczyźnie wsi Florynka ładowano na stacji w Grybowie do trzech transportów. Było nas wtedy 182 rodziny. Zadaniem władz było rozrzucenie nas po kilka rodzin, na obszarze dwóch wielkich województw - od granicy na Odrze, na wysokości m. Kostrzyzna w woj. poznańskim, aż po Wołów, Ścinawę i Złotoryję w woj. wrocławskim. Miał to być ostatni akord w tej rapsodii, koniec narodu, całkowita przymusowa asymilacja w ciągu kilkunastu lat, jak też zatarcie śladów po nas na naszej rdzennej ziemi w Karpatach - Ziemi Łemkowskiej.

Jakże się przeliczyli ówczesni uczniowie Stalina, pan Bierut, pan Gomułka i wodzowie ich służb specjalnych i represyjnych. Po wielu latach okaże się, że ich plany zagłady małego narodu, nie spełniły się.

Zacznijmy jednak od początku.

Str.143

Rozdział I Osiedlanie na nowej ziemi

Po siedmiu dniach podróży w wagonach towarowych, razem z bydłem, często trzodą chlewną i domowym ptactwem dowieziono nas do stacji końcowej. Nasze spotkanie z nową ziemią, mieszkańców wsi Florynka, tych z I transportu, nastąpiło tu na stacji kolejowej w niewielkim miasteczku Sulęcinnie. Miasto to, kiedyś powiatowe, położone jest na zachód od Poznania w odległości około 150 km, oczywiście w 1947 roku należało do woj. poznańskiego. Stąd niedaleko do Kostrzyna i Słubic nad Odrą, a tam już granica z Niemcami.

Tu, po zatrzymaniu składu pociągu na bocznym torze, oznajmiono ludziom, że właśnie na tej stacji następuje wyładowanie. Jakoś tu cicho, pusto, widać tylko dużo różnych cywili - urzędników (wiemy, że są ludzie z UB) i milicji. Jest też dużo bryczek konnych i jakichś panów. Wkrótce okazało się, że są to dyrektorzy majątków państwowych. Tu zaczęła się selekcja, liczenie rodzin, ludzi dorosłych i zdolnych do pracy, dzieci. Tu dyrektorzy majątków wybierali rodziny, jakby kupowali ich na targowisku. Odliczano po kilka rodzin, na ile pozwalali „urzędnicy” do każdego majątku. Po wielu latach widziałem taki serial w telewizji pt. Korzenie - tak samo postępowano kiedyś z Murzynami. W tej chwili już wiedzieliśmy, że rozdzielano nas do państwowych folwarków. Widać było bardzo ostre nastawienie do ludzi „z transportu”, jak też widać było ogromne przygnębienie na twarzach Łemków.

Urzędnicy podzielili cały transport na drobne grupki i pod kierunkiem urzędników na bryczce kazali ruszać w drogę. Po załadowaniu dobytku na nasze wozy, wiedząc że nas rozdrabniają, szybko zdążyliśmy zrobić orientację i zapisać miejscowości, gdzie kto idzie. Osiem rodzin do majątku w Żelechowie, idą tam Zwoliński, Kopusciański, Maksymczaki, Malesz i inni, zdążyliśmy zapisać nazwę wsi, pięć rodzin do Jarnatowa, mamy ich adres, a oni mają nasz, sześć do Glisna, 4 rodziny do Łagowa, inni do Trzemeszna i tak aż do ostatniej rodziny.

Ruszyliśmy. Jedziemy, idziemy trzymając się wozów, można to dzisiaj porównać z filmami amerykańskimi „droga na zachód” albo też z filmem, jak Mojżesz prowadził swój lud do Ziemi Obiecanej. My o tym jeszcze nie wiedzieliśmy, natomiast władza dobrze wiedziała, że ma to być dla nas droga do unicestwienia. Dla tych rodzin florynczan z I transportu, rozładowanego

Str. 144

w Sulęcinnie, miał nastąpić koniec ich narodowego istnienia już na zawsze, przez rozsianie ich po kilka rodzin na ogromnym obszarze nie znanego nam terenu. Zasiedlono nami różne folwarki, gdzie nie było ani Boga, ani ludzi. Mówiono na stacji w Sulęcinnie: PNZ (Państwowe Nieruchomości Ziemskie 1946-1949) - taki i taki, folwark: taki i taki. I tak już jedziemy powoli na przyznaczony nam folwark.

Jedynym zbawieniem Bożym było to, że pierwsze dni lipca i dni naszej podróży były suche, bezdeszczowe i ciepłe. Na każdym postoju chłopci ze wsi Florynka rozmawiają w gromadkach. Mają o czym, przecież w tym transporcie przywieziono znanych,

dobrych i szanowanych chłopów, rolników, gospodarzy z Florynki, jak Wasyl Habura z Derszkoły z liczną swoją dorosłą młodzieżą, Antoni Habura z Łanu, Kopuściański, Pecuch, dwóch żaków z Florynki - Andrzej Zwoliński i Stefan Merena i wielu, wielu innych. W transporcie, raczej wśród naszych ojców, panuje jakieś dość mocne podenerwowanie.

Jedziemy przez jakąś nie zaludnioną wieś o nazwie Wiśniów czy Treśniów, zresztą i przewodnik z PNZ też nie wie. Wieś zupełnie pusta, jakieś baraki, kilka domów bez ludzi. Ostrzeżono nas, że tu nie wolno się zatrzymywać, bo wszystko zaminowane. Mocno grzeje lipcowe słońce, zmęczone są i zwierzęta, i ludzie. Zatrzymujemy się w zupełnie pustej, dużej wsi o niemieckiej nazwie Malkendorf (została potem Malutkowem). Dziwna to wieś. Tyle murowanych zabudowań, a wszystko puste. Dowiadujemy się, że wieś nie rozminowana, a tu naokoło jest wojskowy poligon. Jakże nam to wszystko niezrozumiałe.

Starsi, bardzo uważnie obserwują wszystko, co napotykamy po drodze. Zresztą wszystko jest tu inne, inny świat, duże wsie i same murowane domy, widać duże obejścia gospodarcze, inne drogi, inna zieleń, dużo nie zaoranego i nie obsianego pola, jak też w niektórych miejscach ogromne łany zbóż, żyto i pszenica. Widać też w takiej wsi jak Jemiołów, że nie wszystkie domy są zamieszkałe.

Ludzie urodzeni na wsi, wychowani na wsi, rolnicy z dziada pradziada lubią ziemię, szanują ziemię, żywią dla niej nawet pewien kult. Łemkowski rolnik na wiosnę pod pierwszą skibę przyorywał jajko i bochen chleba, jak zresztą o wiele lat później poeta łemkowski Petro Murianka napisze w swoim poemacie: „rosnyj mi chlibe jak lis i jak lis mi pachny”. Czy tutaj też zapanują takie zwyczaje? Spoglądali gospodarze łemkowscy na tę nie zaoraną ziemię i obliczali, ile z tego może być chleba. Jeszcze nie

Str. 145

bardzo zdawali sobie sprawę z tego, że tę ziemię trzeba inaczej uprawiać, inaczej orać, inaczej siać ziarno, inaczej zbierać plony. Z tak dużą ilością ziemi nie można rozmawiać i pielęgnować ją tak jak tamte małe zagony w rodzinnej łemkowskiej wsi.

Dojechaliśmy wreszcie do małego miasteczka o nazwie Łagów. Tu pozostawiono kilka rodzin, kilka następnych skierowano do majątku folwarku o nazwie Teresin. Naszym przeznaczeniem był majątek PNZ w Żelechowie, we wsi oddalonej od Łagowa o kilka kilometrów. Dotarliśmy tam wieczorem w składzie 8 rodzin. Ulokowano nas w dwóch domach. Przy domach jakieś komórki na bydło. Wszystkie pomieszczenia mocno zdewastowane. Trzeba było w jakiś sposób przy pomocy majątku powstawić drzwi, okna, naprawić piece, żeby coś można było ugotować. Najważniejsze, że po tej długiej podróży odpocznie bydło. Każda rodzina miała po kilka sztuk bydła, konie, woły. Przez dwa dni doprowadzono do jako takiego porządku mieszkania, poutykano sprzęt rolniczy i wozy. Po zabudowaniach wiejskich widać, że jest to wieś duża, bogata. Ogromne zabudowania gospodarcze, duże domy, stodoły, nie widać pustych domów, poza tymi majątkowymi, gdzie nas

ulokowano. Wiemy już, gdzie możemy paść bydło, gdzie kosić trawę, wszystko to tak idzie naszym ludziom, jakby wszystko robili po omacku. Wydaje się, jakby byli oszołomieni. Na trzeci czy czwarty dzień muszą się już wszyscy stawić, o szóstej rano na podwórku majątku. Stawili się. Tu spisano jeszcze raz ilość osób w każdej rodzinie, ile zdolnych do pracy, kto co posiada, jaki sprzęt rolniczy, ile koni, krów, wołów.

Miejscowi osadnicy bardzo dokładnie obserwują „tych nowych”, próbują nawiązać rozmowy, podpytują, wypytują. Wiemy, że ich też uprzedzono, że przywozi się tu Ukraińców z akcji „W”. My już też wiemy, że są to repatrianci z Buga, gdzieś tam z Łucka na Wołyniu, chociaż o tym Wołyniu nikt z Łemków nigdy nie słyszał. Po takich zdawkowych rozmowach i tak już wiemy, że my wszyscy łącznie z małymi dziećmi lepiej po polsku rozmawiamy od nich. Mówią jakimś „chachłackim”, trudno dla nas zrozumiałym językiem z tym miękkim „ł”. Polacy to są czy też nie. Nie wiemy.

Jak było przykazane następnego dnia, bo tego pierwszego kazano obejrzeć całe gospodarstwo, punktualnie o szóstej jakiś tam dyżurny podzwonił dzwonkiem zawieszonym na gałęzi drzewa i tu znów zebrali się wszyscy robotnicy majątkowi i wszyscy zdolni do pracy Łemkowie. Tutaj następował

Str. 146

rozdział pracy dla każdego robotnika. Gruby, bardzo czerwony na twarzy dyrektor majątku porozdzielał ludzi, ten do stajni do koni, ten do stolarni, do warsztatu, kuźni, obory i tak aż do ostatniego robotnika. Grupa Łemków liczyła około 19 osób, a ludzi majątkowych było nieco mniej. Dalsze dyspozycje dla Łemków: „przyjechaliście tutaj do pracy na majątku, na roli się znacie, zbliżają się żniwa, będziemy kosić zboże, mamy mało sprzętu i ludzi do pracy”. Mówił jeszcze coś więcej. Takie to było pierwsze spotkanie rolników, ludzi wolnych, z dyrektorem wielkiego majątku ziemskiego - również rolnikiem, gospodarzem wielkiej posiadłości państwowej.

To spotkanie było pierwszym od wielu dni, pierwszą rozmową o gospodarstwie i roli, o potrzebie koszenia żyta. Wszystkie inne rozmowy z urzędnikami były bardzo z ich strony aroganckie. Były tu też inne pouczenia: jakie tu obowiązują prawa na majątku, zwyczaj, dyscyplina i jak płaci się za pracę. Była też taka zapowiedź: tu w majątku musicie zostać przez rok czasu, nigdzie wam stąd nie wolno wyjechać bez mojej zgody i zgody władz. Przyjęli Łemkowie tę rozmowę z bardzo opuszczoną głową. Teraz potwierdziło się to, czego do tej pory nikt nam oficjalnie nie powiedział - wysiedlenie przymusowe, karne, ludzi zapędzono do majątku jak do obozu, oddano pod nadzór milicyjny.

Rozeszli się ludzie w zamyśleniu do przydzielonej pracy, lecz jak było widać - nie przejęli się aż tak bardzo gadaniem dyrektora majątku. Każdy rolnik czuje się człowiekiem wolnym, niezależnym, Łemkowie tak się czuli. Człowiek niewinny i wolny nie bardzo słucha i nie bardzo przejmuje się oskarżeniami, staje się obojętny. Tymczasem w bardzo szybkim tempie zbliżały się żniwa. Dyrektor zarządził wydanie dla każdej rodziny po kilka kilogramów mąki i kaszy. Tam w ich rodzinnych stronach ten okres to najtrudniejszy przednówek, może tu będzie łżej. Następnego dnia

dzwonek zadzwonił znów o szóstej rano, wszyscy stawili się punktualnie. Ten dzwonek o szóstej rano stał się z czasem głównym powodem do ucieczki łemkowskich rolników, obecnie robotników na majątku - na swoje. Chociaż Łemkowie są bardzo pracowici i wytrwali i nieobca im jest bardzo ciężka praca, to jednak stawianie się na podwórku majątku o szóstej rano pod dzwonkiem zawieszonym na gałęzi drzewa było dla nich jakby ogromnym poniżeniem. A byli to znani w swojej wsi dobrzy i pracowici gospodarze, wymienimy ich nazwiska na następnych stronicach. Tam na swoim wstawali o czwartej rano, kładli się spać o dwudziestej

Str. 147

trzeciej - ale tam nie było dzwonka. Taka jest mentalność chyba wszystkich ludzi wolnych, nie akceptujących przymusu, taka jest mentalność rolnika, pana na swoim.

Tymczasem bardzo szybko dojrzewały żyta, żniwa zbliżały się z każdym dniem. Zaraz za wsią Żelechów rozciągają się ogromne połacie pól, ogromne łany żyta. Myślą Łemkowie - jak to wszystko zebrać, skosić, wy młócić, pozbierać ze ścierniska kłoski. Dość trudno było to zrozumieć ludziom, którzy nigdy tak ogromnych przestrzeni, pól obsianych żytem nie widzieli.

W majątku było kilka par koni, jakiejś dziwnej rasy ogromnych, ciężkich z dużymi kopytami, taki koń u nas w górach nie wytrzymałby nawet tygodnia i zjadłby całe gospodarstwo ze ścianami. Były też trzy traktory na żelaznych kołczastych kołach z napisem z przodu Lanz-Buldog. Majątek posiadał około 2 tysięcy hektarów pola, ludzi niewiele, były te - Łemków gospodarzy ręce bardzo potrzebne. Tylko czy władza nie mogła skrzyknąć młodych ludzi na roboty i zapłacić, czy trzeba było rozwałać całą Łemkowszczyznę, żeby zasilić PNZ-y.

Któregoś tam dnia dyrektor zapowiedział, że po niedzieli zaczynamy koszenie żyta. Praca na roli to przecież specjalność ludzi gór. Przygotowali swoje kosy, sierpy i czekali aż rozpocznie się koszenie i dyrektor wskaże im, gdzie będą kosić. I zaczęło się. Wczesnym rankiem wyszli na wskazane pole. Ogromny obszar dorodnego żyta. Zabrali ze sobą jedzenie, dzieci, jakby na jakąś wyprawę. Nareszcie będą robić przy zbożu, pracować przy „chlebie”.

Zaczynają. Do pokosu staje pierwszy mężczyzna, a był to młody, dobrze zbudowany chłopak, chyba Jarek Kopuściański - a za nim kobieta do podbierania, potem następny i następna kobieta i tak aż do ostatniej pary. Tak koszone zboże tam na Łemkowszczyźnie, z tą różnicą, że każda rodzina w mniejszym składzie na swoim, na małych zagonach. Tu wszyscy naraz dla jednego gospodarza. Jakież precudowny to widok, kiedy kilkunastu mężczyzn tnę kosami żdźbła żyta, a za nimi podbieraczki podbierają pokłos i układają już w snopy, za nimi następna grupa wiązała te snopki powrótami robionymi na poczekaniu z tego samego snopka.

Przyjechał przed południem na pole również i dyrektor majątku, swoją dwukołową bryczką. Długi czas nie schodził ze swojej bryczki, patrzył, patrzył, patrzył. Jest to

widok nie zapomniany dla każdego dorosłego człowieka. Takiego obrazka „na żywo” chyba nigdy nie widział, jest to

Str.148

widok bardzo bliski każdemu, kto zna i rozumie wieś. Nie mógł się dyrektor napatrzeć na dziwnych żniwiarzy. Nie pamiętam jego nazwiska, ale był to na pewno człowiek wykształcony, co świadczyło z jego zachowania i rozmowy, może pamięta takie obrazki z opisów w literaturze. Po dłuższej obserwacji, wysiadł z bryczki, porozmawiał z ludźmi, pochwalił, obiecał dostarczyć czarną zbożową kawę do picia i odjechał. Podchodzili też gospodarze ze wsi popatrzeć na majątkowe pole, jak to Łemkowie koszą zboże. Może ten widok przypomniał im ich rodzinne strony, gdzieś tam na Wołyniu, a może też tęsknili „za swoim”, jak i Łemkowie. Jakiś lepszy nastrój zapanował przy jedzeniu śniadania, nawet jakąś piosenkę zanucili, a śpiewali pięknie, a zwłaszcza piosenki nastrojowe, liryczne. Dziwni to ludzie ci Łemkowie, są szczęśliwi, jak już pracują, tak po swojemu.

Po pierwszym dniu koszenia wszyscy czują zmęczenie. Drugi dzień jest trudniejszy, bolą ręce, plecy, pokos już nie taki szeroki, a tu jeszcze tyle do koszenia. Widział to i dyrektor i mówi - trzeba naprawić stare kosiarki, zaprzęgnąć po 4 konie, również wasze konie i kosić kosiarkami. Tak też się stało, rozpoczęto się koszenie maszynami. Zgrzytało toto, skrzypiało, hałasowało, ale jakoś kosiło i to szybciej niż kosami. Teraz wszyscy wiązali snopy i od razu stawiali takie małe kopki. Było to pierwsze spotkanie ludzi, gospodarzy z gór z taką techniką koszenia zboża. Jedno co im się nie podobało - ile to kiosków tu się zmarnuje. Po kilku dniach pracy zarówno mieszkańcy wsi - gospodarze - jak i dyrektor majątku i jego pracownicy nabrali ogromnego szacunku dla Łemków za ich pracowitość i zaradność.

Tutaj na tych ziemiach wszyscy wszystkiego się uczyli. Uczyli się szczególnie repatrianci z Buga, ale uczyli się też Łemkowie, bo zarówno Wołyniacy, jak i Łemkowie nie byli przyzwyczajeni do takich przestrzeni. Tu nie pasował górski drewniany wóz łemkowskiego gospodarza, jak też nie pasował, jeszcze bardziej, drewniany zabugowski wóz z „dugą”. Musieli się uczyć, wszyscy od wszystkich. Najłatwiej jednak radzili sobie poznaniacy. Ich równiny są podobne do tych wielkich obszarów pól, jakie są tutaj. Dzwonek w majątku dzwonił każdego ranka. Widziałem, jak był tym zawsze zdenerwowany Kopuściański, był też na ten dzwonek oburzony mój ojciec i inni, którzy każdego ranka na tę szóstą godzinę musieli się stawić. Po całodzienniej, ciężkiej robocie w żniwa każda rodzina żyje swoim życiem, bo to trzeba jeszcze zadbać o swoją chudobę, przypilnować,

Str.149

czy konie nakarmione, pomyśleć już o tej porze o paszy dla bydła na zimę. Jest tyle roboty, że niewiele czasu zostaje dorosłym na wspólne biesiady. Tylko dzieci, tylko dzieci przynoszą z podwórek coraz to ciekawsze wieści. Tu ich wyzwano banderowcami, tam znów inne dzieci boją się naszych, z innymi nie mogą się dogadać. My też obserwujemy jakiś ogromny dystans mieszkańców wsi w stosunku

do naszej społeczności. Wieczorem zamykają bramy, nie wdają się w żadne rozmowy, jakbyśmy byli tyfusem zarażeni. Tak, byliśmy, to był ten tyfus wszczepiony nam przez władzę - Ukraińcy z akcji „W”. Robotnicy majątkowi też mało rozmowni, byli to przeważnie poznaniacy, a więc jakaś akcja „W” była i dla nich czarną magią.

Dyrektor majątku rzadko z naszymi ludźmi rozmawia, bo robotę każdego dnia już rozdziela brygadzysta. Ustalono, że bydło naszych gospodarzy będzie pasał jeden człowiek wyznaczony przez naszych ludzi, ale będzie to tylko ten, który nie może ciężko pracować. Wyznaczyli więc łemków: Fecia Maksymczaka z uwagi na jego wątłe zdrowie i podeszły wiek. Tu, w tym czasie przydawały się każde ręce, poszukiwany i bardzo potrzebny był każdy fach: stolarz, kowal, ślusarz, inaczej to zasiane na wiosnę 1947 roku zboże, może przez wojsko, nie byłoby w żniwa zebrane. Kto też zbiera zboże z naszych łemkowskich pól, z pól na całej łemkowskiej ziemi. Często tak mówił mój ojciec. Za jakie grzechy wygnano nas z domu, żeby robić tu na majątku. Jakże tu strasznie, nieswojo, ciągle chce się spać, nie ma chęci do życia, co to będzie dalej, przecież tak się nie wytrzyma.

Wiemy już teraz dobrze, gdzie nas przywieziono, wiemy, co nas czeka w najbliższym czasie. Zaczynamy tęsknić za swoimi. Na razie po tych chyba już 10 czy dwunastu dniach nic nie wiemy o naszych florynczanach, których skierowano w inną stronę od nas i zupełnie nic nie wiemy o florynczanach z pozostałych transportów, którzy pozostali na stacji kolejowej w Grybowie. Wydaje nam się, że stąd jest wszędzie strasznie daleko, chyba się stąd nigdy nie wydostaniemy.

Rozdział II Odnajdywanie własnej tożsamości

Tu w majątku widzimy, jak dość dokładnie nas obserwują. Nie wiemy, kto tu jest pracownikiem biura, a kto urzędnikiem z UB. W naszej grupie, w Żelechowie jest trochę młodzieży. Zaczynają się kręcić, jakby tu odwiedzić

Str.150

tych w Łagowie i tych w najbliższych folwarkach. Jest niedziela. Ruszyło kilkoro do Łagowa. Wrócili wieczorem, uradowani, choć zmęczeni, bo pieszo, polnymi drogami w obydwie strony to kilkanaście kilometrów. W następną niedzielę do innego majątku. Po jakimś czasie odwiedzają i nas w Żelechowie. Teraz już wiemy o prawie całym naszym transporcie. Ileż to radości, uciechy, są, żyją.

Po tych kilku spotkaniach młodzież nabiera coraz więcej śmiałości. Nikt nas po drodze nie legitymował, nie zatrzymywał. Uzgadniamy, że w następną niedzielę jedziemy, raczej pójdziemy do Jarnatowa, a w następną do Wielo wsi. Młodzież zaczyna medytować: no tak, czym jechać, końmi za daleko. Bardzo pilnie potrzebne są rowery. W niedługim czasie młodzież łemkowska w sobie tylko znany sposób zorganizowała rowery i tymi rowerami w każdą niedzielę ruszono na odnajdywanie swoich łemków. Po drodze w różnych wsiach dowiadywano się, że w tej czy tamtej wsi również mieszkają ludzie z akcji „W”, chociaż mówiono również -bänderowcy z

akcji „W”. W taki sposób w ciągu żniw odnaleźliśmy cały transport wyładowany w Sulęcinnie, a przy okazji odkryliśmy, że w Buczu są hanczowanie, w Lubrzy kliniwczenie, i tak odnajdujemy również wiele rodzin z innych wsi.

Bardzo, ale to bardzo, ta łemkowska młodzież chciała być ze sobą, a tak bardzo niewiele czasu miała dla siebie. Przejazd 20-30 km starym rowerem, który często trzeba było pchać zamiast nim jechać, a potem powrót tyleż kilometrów - nie pozostawiał zbyt wiele czasu na cieszenie się swoją obecnością. Zbierali się w czyimś domu, gospodarz częstował czym mógł, co miał w domu do jedzenia stawiał na stół, bo nieraz trzeba było obczęstować kilkanaście osób.

W taki oto sposób młodzież odnajdywała swoją wspólnotę, wspólnotę łemkowską, rozproszoną po folwarkach, majątkach, skazaną na wymarcie. Nie jest przesadą powiedzenie - na wymarcie. Kiedy przyjechaliśmy naszymi rowerami nieraz do najbardziej odludnych miejsc, gdzie w dużym zdewastowanym budynku folwarcznym mieszkały 2 rodziny łemkowskie i kiedy nieraz widziałem, jak na nasz widok ośmioro, nieraz dziesięcioro młodzieży reagowali, nie szlochaniem, lecz głośnym płaczem, nieraz pomyślałem: barbarzyński to był pomysł, aby nas wysiedlić i skazać na takie warunki. Nie daliśmy za wygraną. Same odwiedziny i poodnajdywanie się Łemków mocno ich na duchu podtrzymało. Gdzie tylko byliśmy, wszyscy pytali, czy u nas nie ma miejsca, żeby nas było więcej, takie same pytania

Str.151

były z naszej strony, ile was jest, gdzie jeszcze są nasi ludzie, skąd pochodzą? Przejeżdżamy przez wsie i miasteczka i obserwujemy. Gdzie są wolne domy, czy tu nie ma naszych, czy nie można by tu się osiedlić.

Bardzo szybko minęło nam lato i jesień 1947 roku. Po żniwach zaczęli Łemkowie myśleć, jak tu przez zimę utrzymać swoje bydło, jak tu wykarmić. Poproszono dyrektora majątku o pozwolenie na koszenie różnych nieużytków. W taki sposób zabezpieczano paszę dla własnego bydła. Rozpoczął się też rok szkolny dla dzieci. Do szkoły poszły również wszystkie łemkowskie dzieci.

Minął już pierwszy szok, powoli zaczynaliśmy się przyzwyczajać do tutejszego klimatu, który Łemkom absolutnie nie sprzyjał. Ojciec mój ciągle mawiał: co za zgnite powietrze. Ojcowie nasi coraz częściej myśleli o pójściu na jakieś gospodarstwo, o pójściu na „swoje”. Jesienią 1947 roku mieliśmy już pierwsze wiadomości, że dwie albo trzy rodziny osiedliły się w małym miasteczku o nazwie Toruń Lubuski. Nikogo nie trzeba było namawiać, żeby czym prędzej tam pojechać, czy nie można czegoś znaleźć, co nadawałoby się do zamieszkania i kawałek jakiejś stajni dla chudoby.

Dość mocną stroną łemkowskich gospodarzy było to, że mieli swoje przywiezione na zachód bydło, mieli jeszcze i swoje konie, czuli się w dalszym ciągu gospodarzami. Łemko, rolnik z dziada pradziada nie wytrzyma bez własnego gospodarstwa. Prawie wszyscy florynczanie, którzy byli w PNZ-ach i na folwarkach, myśleli, jak tu się stąd wyrwać, ażeby na wiosnę być już na swoim.

W Toruniu Lubuskim (obecnie Torzym i takiej nazwy będziemy używać już dalej) było dużo wolnych domów. Tu może się pomieścić dużo naszych rodzin. Tak też się stało. Na wiosnę 1948 roku, za zgodą dyrektorów PNZ-ów, a czasem i bez jego zgody, czy czyjegokolwiek zezwolenia osiedliło się w Torzymiu nawet w bardzo zdewastowanych budynkach, kilka rodzin. Byli tam już: Antoni Habura, Michał Dubec, Aleksander Junak, Seman Merena i Petro Dubec. Wieść poszła po całym powiecie sulęcińskim, że są tam jeszcze jakieś rudery do remontu. Do końca 1948 roku było w Torzymiu już 15 rodzin łemkowskich, natomiast już na wiosnę 1949 było nas już 21 rodzin i już nie tylko samych florynczan, bo była już rodzina Tyliczszaków ze Złockiego i rodzina Ropickich z Astrabika.

Ziemia wokół miasta to same ugory, ziemia bardzo słaba. Łemkowie zagospodarowali wszystkie rudery, co tylko się dało. Bywało i tak, że

Str.152

stajnia była na innej ulicy od mieszkania, a stodoła jeszcze na innej. Aleksander Junak mieszkał przy ul. Krośnieńskiej na II piętrze, tam przygotowywał jedzenie dla kilku świniaczek i nosił to jedzenie do chlewików daleko na podwórku. Władek Zwoliński swoje bydło trzymał na innej ulicy, a jeszcze z innej ulicy nosił ze stodoły paszę.

Wróćmy jeszcze na chwilę do roku 1947. Otóż po raz drugi trzeba wspomnieć o tej wielkiej mądrości Łemków, jaką było to, że gdziekolwiek byli, czy się przenieśli do innej miejscowości - każde ich dziecko w wieku szkolnym poszli do szkoły. Ta mądrość przyniosła owoce o wiele, wiele lat później i owocuje do dzisiaj.

Nie wspominałem dotąd o reakcji władz, a szczególnie starostwa w Sulęcinie i wójta gminy w Torzymiu, jak też UB w Sulęcinie.

Praca łemkowskich rodzin w PNZ-ach i na folwarkach była bacznie obserwowana przez wszystkie powiatowe władze. Zadaniem starosty i wójtów gminy było zasiedlenie pustych gospodarstw i domów i zaoranie jak największej ilości ugorów, zadaniem UB było trzymanie Łemków w ryzach. Tu po cichu wygrywało starostwo i gmina, bo właściwie „po cichu” wolno było się w Torzymiu osiedlać. Nie wygnano stąd nawet tych rodzin, które z PNZ-ów uciekły nocą wraz ze swoim dobytkiem.

Warto też wspomnieć, co się stało z pozostałymi florynczanami. Otóż co się stało z pozostałymi florynczanami, dowiedzieliśmy się już po kilku tygodniach naszego pobytu w Żelechowie. Drugi transport mieszkańców z Florynki odjechał z Grybowa w dwa dni po nas, również w wagonach towarowych, ale także w kilku wagonach węglarkach, zupełnie odkrytych. W takich odkrytych wagonach znajdowali się ludzie, jak i ich dorobek życia. Drugi transport zatrzymał się na stacji w Nowej Soli. Stąd również popędzono ludzi ze swoim dobytkiem do wsi o nazwie Stany i Lipiny, gdzie były jeszcze wolne gospodarstwa, lecz strasznie zdewastowane. Wolne gospodarstwa dlatego, że we wsi Stany, jak i Lipiny 70% areatu uprawnego to ziemie

kl. VI - nieurodzajne piaski. Oprócz Stanów i Lipin, pojedyncze rodziny pozostawiono również w innych wsiach, jak Seman Koziar w Jeziornej, Jan Majczak w Jodłowie.

Trzeci transport florynczan wyładowano na stacji kolejowej w Rokitkach. Tym rodzinom wskazano wieś Michałów. Właściwie trudno to nazwać wsią i trudno to opisać. Jest to obszar (dzisiaj już znany prawie w całej Polsce) o powierzchni gminy, teren zalesiony, niski, podmokły, bagnisty, trudno dostępny, o bardzo rozrzuconych i oddalonych od siebie

Str.153

pojedynczych zabudowaniach gospodarczych. Z przybywających na te tereny wcześniej osadników zza Buga nikt w te pustkowia się nie zapuścił - po prostu teren pusty odstraszał. Łemkowie z tego transportu również nie mieli wyboru, tu musieli zostać.

Dla ówczesnej władzy było to zbawieniem, z uwagi że za jednym pociągnięciem rozwiązała 2 kwestie. Pierwsza to zasiedlenie pustych terenów, a druga - zapakowanie Łemków w niedostępne tereny i ogromne ich rozproszenie. W tym powiecie legnickim (lubińskim), szprotawskim, głogowskim, kożuchowskim osiedlono już wcześniej, również później po florynczanach, Łemków z innych łemkowskich wsi, jak Muszynka, Słotwiny, Binczarowa, Brunary, Śnietnica, Stawisza, na takiej samej zasadzie, po kilka rodzin w jednej miejscowości. Wiele, wiele lat później również się okazało, że te odległości dla Łemków nie są aż tak straszne i nie do niepokonania. Utworzyły się trzy ośrodki - skupiska florynczan, do których dołączały i inne wsie również rozproszone w woj. wrocławskim, jak i poznańskim.

Taka polityka osiedleńcza była dla nas już zupełnie jasna. Wystraszyć, przestraszyć, rozdrobnić dla całkowitego wyniszczenia i wynarodowienia. Mam wycinek z gazety „Życie Warszawy” z 1990 (1991) roku, w której jest artykuł o Łemkach pod takim tytułem: A Łemków miało nie być. Łemków raz na zawsze miało nie być.

Dezintegracja tej społeczności miała również na celu uniemożliwienie spotykania się, rozmawiania własnym językiem, kultywowania obyczajów, odprawiania nabożeństw w swoich cerkwiach, jednym słowem - totalne wyniszczenie narodu i kultury przez całkowitą asymilację. Pozbawienie ludności łemkowskiej wszelkich praw w pierwszych latach osiedlenia na Ziemiach Zachodnich, było nakazem idącym od Biura Politycznego Partii, realizowanym przez UB i milicję. Ażeby do końca pognębić naród - wyjaśniano sąsiadom i mieszkańcom najbliższych okolic, gdzie mieszkali Łemkowie, że „ci przybysze to bandyci-Ukraińcy i należy na nich bardzo uważać, bo są niebezpiecznymi przestępcami”. Dzisiaj są już szeroko znane fakty, jak UB pilnowało Łemków - każda rodzina, każda wieś, gdzie tylko żyli Łemkowie, miała swego „opiekuna” z UB, od pierwszych dni naszego osiedlenia. Ile to razy mieszkańcy Torzymia mówili nam o tym, jak ich nastawiano przeciwko nam.

W Torzymiu, po osiedleniu się już kilkunastu rodzin, w 1948 roku, wzmocniono też posterunek milicyjny. Dotychczas było dwóch milicjantów,

teraz jest już czterech. Osiedlenie się Łemków w Torzymiu miało również ogromny wpływ na ożywienie tego miasteczka. Zorganizowano Gminną Spółdzielnię, sklepy, magazyny, magazyny zbożowe, uruchomiono tartak, rozpoczęto odgruzowywanie miasta, które było bardzo zniszczone zarówno działaniami wojennymi, jak późniejszymi pożarami. Ugory wokół miasta były orane już nie półdrewnianymi pługami, które Łemkowie przywieźli ze sobą, lecz pługami żelaznymi.

Podstawowy czynnik integracyjny

Osiedlone łemkowskie rodziny w Torzymiu stanowiły już jakąś zbiorowość. Było nas już około 85 osób.

Łemkowie, z natury swojej są religijni. Tutaj już nie mogli wytrzymać bez swojej cerkwi, bez względu na to, czy byli to prawosławni, czy też grekokatolicy. Tam, w swoich górach mieli w swoich wioskach nawet po 2 cerkwie, prawosławną i grekokatolicką. Tu nie mieli nic. Tego im bardzo brakowało. Ci grekokatolicy jakoś pojedynczo, później coraz śmielej szli do kościoła rzymskokatolickiego, ci prawosławni mieli do tego jakieś większe opory wewnętrzne.

Skrzyknęli się, uradzili, że jest w Torzymiu na cmentarzu poniemieckim mała cmentarna kapliczka, z której można by zrobić kapliczkę na wzór cerkiewny. Powiedzieli wójtowi, że będą się tam modlić. Wójtem był starszy pan zza Buga, nazywał się Woliński, jakiś widać było przedwojenny urzędnik, dość przychylnie do nas nastawiony. Kapliczkę szybko wyremontowali, przynieśli z domów obrazy, te przywiezione z Florynki, zrobili małą świątynię na podobieństwo małej cerkiewki. Wszystko dobrze, tylko skąd wziąć księdza. Śpiewać to oni potrafili - tylko trzeba księdza prawosławnego. Napisali do Warszawy do metropolity. Pewnej niedzieli przyjechał jakiś urzędnik i przedstawił się, że jest księdzem prawosławnym, a przysłał go metropolita, chciałby widzieć cerkiew. Nie wierzył, że taka jest. Nie wierzył, żeby w tym czasie ktoś się odważył organizować tu cerkiew prawosławną, przy takim nastawieniu do ludności z akcji „W”. Pokazali kapliczkę. Wszedł, zbladł, zaniemówił, chyba zapomniał, jak należy się przeżegnać - jakby przeżył jakiś szok. Nareszcie uklęknął przed obrazami, zapalili kilka świeczek, uklękli wszyscy inni, zapanowała jakaś cisza, nie wiadomo dlaczego. Przecież ksiądz miał się ucieszyć, że jest cerkiewka.

Po tej, jakiejś milczącej ceremonii, wszyscy wstali i dopiero zaczęła się rozmowa. Ustalono, że przyjedzie za 2 tygodnie, bo dzisiaj nie ma niczego do odprawienia nabożeństwa. Nie pamiętam nazwiska tego pierwszego prawosławnego księdza w Torzymiu, myślę, że do tego tematu jeszcze wrócę. Wrócę, chyba i dlatego, że człowiek ten jako osoba duchowna uciekł czy też przyjechał jako repatriant zza Buga, przed zesłaniem na Sybir bądź grożącą mu jakąś inną zagładą. Jako osoba duchowna nie wytrzymał, wiedział i torzymianach, o Łemkach prawosławnych,

podał swoje nazwisko do metropolity w Warszawie, chociaż do tej pory był zwykłym robotnikiem leśnym. Coś jednak w tej wierze jest. Siła nieznaną.

Przyjechał nasz ksiądz za 2 tygodnie. Przywiózł, co mógł, szaty, chyba kielich, no i krzyżyk, ten właśnie trzyramienny, nasz prawosławny krzyżyk. Zebrało się dużo ludzi, bo wieść poszła na okolicę, że w Torzymiu w kaplicy prawosławna Służba Boża. Na długo przed rozpoczęciem nabożeństwa oczekiwali ludzie. Przyjechali, czym kto mógł, najwięcej rowerami, nawet z odległości 30-40 km. Felymon Kaniuczok z Glisna, z Wielo-wsi, z Łagowa i wielu innych miejscowości. Rozpoczęła się Służba Boża, a wraz z nią i szloch, i płacz. Było dwóch żaków z dawnej Florynki - tęgie głosy - Andrzeja Zwolińskiego i Stefana Mereny oraz piękne głosy żeńskie dawnych floryneckich chórzystek: Marii Zwolińskiej, Warwaki, Tacy Dubec, Juhaski Habury, wielu innych dziewcząt z Torzymia wstrząsnęły każdym pojedynczym człowiekiem, każdą łemkowską duszą, choćby była nie wiem jak twarda, nie było siły, żeby nie zapłakać. Żyjemy, śpiewamy po swojemu Hospody pomyłuj, a na koniec Służby Bożej, piękne O mnohaja lita.

Jeżeli w dzisiejszych terminologiach można użyć słowa „zgromadzenie”, to tam na cmentarzu poniemieckim, w małej kapliczce, urządzonej na podobieństwo cerkwi prawosławnej, odbyło się pierwsze wielkie zgromadzenie Łemków-florynczan (i nie tylko), zgromadzenie, gdzie modlono się i śpiewano po swojemu, jak dawniej na swojej ziemi we Florynce. Chociaż ta pierwsza Służba Boża nie wypadła tak jak w cerkwi we Florynce, ze względu na tremę księdza i trochę inny jego akcent od naszego łemkowskiego, to nasza wartość duchowa ogromnie wzrosła. Łemkowie poczuli, że żyją duchem i swoją wiarą. Nie było też dla nikogo zaskoczeniem, że do cerkwi przyszli nasi florynczanie-greckokatolicy. Spór dzisiaj idzie o tę garstkę rodzin greckokatolickich, które tam na łemkowszczyźnie mieli swoje greckokatolickie cerkwie i swoich księży.

Str.156

Ogromną przesadą jest twierdzenie, że było ich dużo. Jeżeli dla przykładu w największej wsi Florynka, w której w 1938 roku mieszkało 242 rodziny, w tym greckokatolickich było 46, w pozostałych wioskach jeszcze mniej, to przy takim rozdrobnieniu Łemków na Zachodzie, nie mieli oni żadnej szansy na organizowanie parafii greckokatolickich na zachodzie, gdyby im nawet oddano za darmo gotowe cerkwie. Niewielka ich ilość, z której część od razu zadeklarowała pójście do kościoła, przestała się liczyć. Poza tym było to bardzo na rękę klerowi katolickiemu, przejęcie jak największej ilości dusz. Zniknęli też, nie wiadomo gdzie, księża greckokatolicy wraz z naszym wysiedleniem. Nie jest prawdą, że ich UB pozamykało, przecież uznawali Rzym. Wszyscy oni znaleźli schronienie w Kościele rzymskokatolickim. Po krótkim ich przystosowaniu, zostali skierowani do parafii rzymskokatolickich - oczywiście nie na głównych kapłanów, chociaż takimi też byli. Wiele, wiele lat później opowiadał mi o tym ks. Jan Polański ze wsi Parafii Rogi koło Niemodlina w woj. opolskim na Śląsku, z którym (przyjaźniłem się) z uwagi na jego sympatię do Ruchu Łemkowskiego, jaki w latach 1956-1959 tworzyliśmy w Zielonej

Górze. Niejedną noc przegadałem z ks. Polańskim, a ponadto przez 3 lata prowadziliśmy ze sobą regularną korespondencję. Mądry to był człowiek, dużo przeżył. Tak więc grekokatolicy nie byli w stanie zorganizować swoich parafii ze względu na ich liczebność i rozproszenie na Ziemiach Zachodnich. Wielu z nich, na przekór, jak dawniej w górach, nie poszło do Cerkwi Prawosławnej lecz trochę po cichu, trochę skrycie do Kościoła rzymskokatolickiego.

Wróćmy jednak do tej niedzieli i małej kapliczki-cerkiewki w Torzymiu i pierwszej Służby Bożej, po przeszło rocznym pobycie na tych ziemiach. Po zakończeniu nabożeństwa prawdziwe zebranie rozpoczęło się przed kapliczką. Przywitaniom, uściskom, uciechom, radości nie było końca. Żal było się rozstawać, szczególnie młodzieży, która po prostu pragnęła być ze sobą. Potem zaproszenia: wy chodźcie do nas, wy do nas, aż wszyscy wszystkich zaprosili. Tak zaczęła się ponowna integracja, czyli ponowne budowanie własnej wspólnoty, tu, na obczyźnie. Poproszono na obiad i księdza, a wraz z nim kilku znaczniejszych ludzi. Świątowano ten dzień bardzo uroczyście. Odwaga Łemków poszła w górę. W dni następne oczekiwano reakcji mieszkańców Torzymia na to nasze wydarzenie. Oczekiwano również na reakcję władz powiatowych. Nie stało się nic szczególnego. Społeczność polska w Torzymiu nas po prostu

Str.157

zaakceptowała Łemków, „co się modlą na cmentarzu”, a nie Ukraińców. Wójt gminy powiedział: „bardzo pięknie śpiewacie” - chociaż myślę, że nie raz słuchał takiego cerkiewnego śpiewu, bo sam pochodził - jak mówił - z Wołynia, gdzieś tam z Trembowli. Władze powiatu nawet się nie odezwały. Od tego czasu powstały w Torzymiu już dwie społeczności, ta polska katolicka, i ta łemkowska prawosławna. Jak się potem okazało, naszego śpiewu cerkiewnego słuchało całe miasto. Najgorzej było z księdzem rzymskokatolickim, który nie mógł tego przeżyć, że pozwolono na „coś takiego”.

W niedługim czasie w haniebnym sposób zemścił się okrutnie. Kiedy zmarła pierwsza Łemka w Torzymiu, a była nią Eufemia Merena z domu Gojdycz, ksiądz katolicki nie pozwolił pochować jej na cmentarzu urządzonym dla katolików. Pochowali Łemkowie swoją wierną za płotem tego nowego katolickiego cmentarza. I tak rozpoczął się podział już na dusze nie te żywe, lecz martwe, te lepsze miały być katolickie, a te gorsze tam za płotem prawosławne. Eufemia Merena pochodziła z dobrej i bogatej rodziny. Mieli we Florynce nowy dom na Bołcarkach w sąsiedztwie Petra Cieśli i dość ładne gospodarstwo. Mieli też dużą gromadkę dzieci (5 może nawet 6). Ojciec Eufemii, stary Gojdycz był tam, we Florynce, zasłużonym dla Cerkwi prawosławnej. Może ksiądz o tym wiedział. Z biegiem lat za tym płotem powstał piękny cmentarz, tylko dla prawosławnych i grekokatolików, bo ci chcieli być chowani przy swoich. Chociaż w parafii rzymskokatolickiej w Torzymiu zmieniło się bardzo wielu kapłanów, Łemkowie do dzisiaj nie wrócili na katolicki cmentarz i chyba nie ma potrzeby, żeby wracali. Na ich nagrobkach są krzyże trzyramienne, a na wielu z nich napisy „ruską azbuką” (rosyjskim alfabetem). To dla potomnych, dla badaczy,

którzy będą potwierdzać istnienie Bizancjum i na tym terenie. Narody germańskie w przyszłości i tak uznają, że ten naród został tu przywieziony przymusowo pod skrytymi w kaburach pistoletami i jak tam na własnej ziemi łemkowskiej został wierny swojemu wyznaniu i obrzędowi słowiańskiemu.

Od tej pierwszej, lipcowej niedzieli nabożeństwa w małej cerkiewce odbywały się 2 razy w miesiącu. Tu też chrzczono pierwsze urodzone w Torzymiu łemkowskie dzieci, tu też odprawiano msze żałobne, ale też tu udzielano ślubów. Jakież nie znane są wyroki Boże. Mała kapliczka na cmentarzu, służąca nie tak dawno dla zmarłych innego wyznania, posłużyła dla odrodzenia się na tej ziemi wiary słowiańskiej - wyznania prawosławnego,

Str.158

dla narodu skazanego na zagładę przez władców nie chrześcijańskich. Przez wiele, wiele lat modlili się (modlą się i dzisiaj) prawosławni chrześcijanie-Łemkowie z karpackiej wsi Florynka w małej kapliczce na obcej ziemi.

Wokół tej kapliczki-cerkiewki - o czym trzeba wspomnieć - było bardzo dużo kamiennych i żelaznych krzyży nagrobnych, jak i innych figur. Słuchali ci przodkowie: katolicy, protestanci, ewangelicy (wszyscy oni mieli jeden wspólny cmentarz) łemkowskiego cerkiewnego śpiewu w bizantyjskim obrzędku, a w czasie mszy żałobnej głos psalmu Wiecznaja pamiat słychać było na całej tej górcie sulęcińskiej - wielkim cmentarzu pochowanych tu ludzi. Dzisiaj również słychać cerkiewne śpiewy. Nie ma tylko żadnego nagrobka, żadnego pomnika po tubylcach, bo w latach osiemdziesiątych kazano zniszczyć katolickie krzyże i inne pomniki, nie ma śladu po cmentarzu, który przez wiele lat nam nie przeszkadzał. Co za paradoks dziejów, przecież wiara katolicka szła do Polski przez Niemcy, poczynając już od drugiej żony Mieszka I Ody, w 980 roku. Zniszczono wszystkie pamiątki po przodkach-tubylcach, tak samo jak zniszczono wiele pomników-pamiątek dawnej kultury łemkowskiej na cmentarzach, tam na Podkarpaciu, na Ziemi Łemkowskiej. Może to gromkie śpiewy cerkiewnych modlitw śpiewanych przez wyznawców obrzędku słowiańskiego spowodowały, że musiały się zapaść pod ziemię nagrobki germańskie? A może tu niedaleko Odry, Kostrzynia, Cedyni na Ziemi Lubuskiej i Santockiej był kiedyś obrządek słowiański? Mimo wszystko chciałoby się powiedzieć: O władcy, Wy świeccy i Wy wierni!, gdzie rozum, kultura, gdzie tolerancja! Jakże mało rozumu jest tam, gdzie nawołuje się do waśni, do dzielenia wyznań, do dzielenia na lepszych i gorszych chrześcijan. To się nazywa pychą, to nie ma nic wspólnego z nauką Chrystusa. Łemkowie nadal śpiewają w swojej cerkiewce, swoje cerkiewne, słowiańskiego obrzędku, pieśni cerkiewne.

Pierwsze wesele w Torzymiu

Jesienią 1948 roku odbyło się pierwsze łemkowskie wesele w Torzymiu. Było to wesele Fecia Habury z Olgą Dubec. Byłem pierwszym drużbą. Co za wspaniałe łemkowskie

wesele, przygotowane z wszelkimi kanonami łemkowskiego wesela, takiego, jak bywały nasze wesela, tam w domu. Druźbowie w kapeluszach, a na kapeluszach wstążki, drużki

Str.159

w tybetowych kabatach (spódnicach) i w gorsetach, oczywiście wyszywanych, do diademiku na głowie przypiętych było chyba z 10 wstążek (pasamunok) różnokolorowych. Druźbów było dwóch, każdy z nas miał szablę (oczywiście drewnianą; gdyby szabla była metalowa, prawdziwa, na pewno by nas milicja pozamykała za posiadanie broni). Tą szablą, kiedy para młoda wychodziła do ślubu i wracała ze ślubu, drużba w każdych drzwiach robił trzy razy krzyż - po prostu stukał w odrzwia od góry do dołu, a potem od prawa na lewo, jakby mówił - „wo imia otca i syna śwatoho ducha, amyn” - potem przeskakiwał przez próg do drugiej izby. Tak samo czynił drugi drużba. Dopiero wtedy mogła przekroczyć próg para młoda. Potem pieszo do cerkwi, ze śpiewem i orkiestrą przez całe miasto. Ślub po naszymu, dużo ludzi, wszystko według znanego nam obyczaju. Całe wesele trzymamy z zachowaniem wszelkich tradycji, które przecież dobrze pamiętali starsi i ci dorastający.

Dlaczego to wesele zasługuje na odtworzenie w pamięci? Otóż po pierwsze - zachowano w obcym środowisku, własną narodową tradycję obrzędu, w weselu takim udział brało prawie całe łemkowskie społeczeństwo Torzymia. Po drugie - na wesele do Fecia Habury i Olgi Dubec przyjechało bardzo dużo łemków z pozostałych transportów, tj. z Michałowa, ze Stanów i Lipin, temu wydarzeniu bardzo uważnie przyglądali się mieszkańcy Torzymia. Po trzecie - taką imprezę można uznać za zgromadzenie znacznej ilości młodzieży i starszych (w czym ciągle władza starała się przeszkodzić), gdyż na wesela zapraszano 80-100 osób, a wesele trwa nieraz i trzy dni, jest więc czas na dyskusje i rozmowy.

Zebranie się dużej ilości ludzi, utrzymanie własnego obyczaju, własnego śpiewu weselnego było bardzo znaczącym akcentem i ogromnym krokiem do integracji łemków, zachowania własnej, odrębnej tożsamości i to, ciągle i wszędzie podkreślanie - to nasze łemkowskie, to my łemkowie, nigdy jako Ukraińcy. Gdybyśmy sobie wtedy pozwolili na wmówienie nam, że to są Ukraińcy z akcji „W”, nigdy nie zachowalibyśmy naszego łemkowskiego ducha, pieśni, zwyczaju, a nawet naszego wyznania. To nasze łemkowskie, to my łemkowie, wreszcie to łemki, a nie Ukraińcy utwaliło się w mieszkańcach Torzymia, jak i u władz powiatowych już wtedy i tak pozostało po dzień dzisiejszy.

Jest tu i moja osobista refleksja. To wesele Fecia Habury i Olgi Dubec miało i dla mnie powód do dumy, było dla mnie jakieś bardzo szczęśliwe. Umiąłem śpiewać, znałem nasze weselne piosenki, potrafiłem utrzymać

Str.160

jako drużba rytm wesela i nie dopuściłem do żadnych scysji biesiadników podchmielonych. Taki był obowiązek pierwszego drużby. Od tego wesela przez czas mojej kawalerki drużbowiałem 33 razy, w tym kilka razy na weselach polskich w Torzymiu i okolicach.

Wróćmy jednak do uroczystości weselnych. Przy takiej okazji i takiej zbiorowości ludzkiej omawiane są wszystkie sprawy, jakie tylko ludzi interesują. Jest to jakby zebranie z bardzo szeroką tematyką obrad. Tu spotkała się młodzież, której w rodzinach łemkowskich nie brakowało, np. u Tyliczszaków czworo dorastającej młodzieży, u Haburów, Merenów, Dubców i wielu innych, po troje i czworo, a przecież z innych transportów przyjechali i chłopcy, i dziewczęta. Sam kwiat, piękna młodzież. Po weselu zbiorowe odprowadzanie do stacji kolejowej i dalsze pożegnania - do następnego zobaczenia na weselu u tego czy tego w Michałowie, Stanach czy też Lipinach.

Nie, nie koniec wesela. Na trzeci dzień - nie było żadnej przerwy - gospodarze i nowożeńcy zaprosili sąsiadów, tych najbliższych, ale też zaprosili tych najważniejszych z miasteczka - przyjdą, czy nie przyjdą, prezes GS-u p. Łysakowski, leśniczy, kierownik tartaku, ktoś ważny z gminy i kilku naszych Łemków - do towarzystwa. O dziwo - wszyscy przyszli. Zaczynamy wesele od nowa. Wypili, pośpiewali z nami, pośpiewali i sami, oczywiście przy naszej pomocy, bo przecież dobrze są nam znane takie piosenki, jak Szła dziewczeczka do laseczka, Góralu czy ci nie żal czy też Czerwony pas, które po jednym czy drugim kieliszku zawsze ktoś zanuci, a inni mu pomogą.

Prysł mił o Ukraińcach z UPA w polskiej społeczności miasta Torzymia... tylko ksiądz, tylko ksiądz katolicki miał pretensję do swoich ludzi, do swojej „gminnej śmietanki”, za kumanie się z prawosławnymi. Jakże to dziwne, że człowiek z człowiekiem dogada się zawsze i wszędzie, bez względu na dzielące ich różnice, natomiast nie może się dogadać władza z władzą.

Było to wesele pokrzepieniem duszy ludzi. Szli do cerkwi i śpiewali, śpiewali głośno, może nie dla ludzi, którzy ich obserwowali, śpiewali dla siebie. Gdy zasiedli do stołu weselnego, znowu śpiewali. Tu w swoim gronie śpiewali już nie oni, tu śpiewała ich łemkowska dusza, bardzo często nawet przez łzy - tym śpiewem byliśmy my sobą - ze sobą - z naszym zwyczajem, z naszym sumieniem z naszym zdeptanym, ale czystym honorem. A ileż to razy w czasie wesela śpiewaliśmy nasze Mnohaja lita,

Str.161

dla tych, dla tamtych, bo Mnohaja lita śpiewa się zawsze dla kogoś, dla wszystkich Łemków Mnohaja lita a Mnohaja lita to nie zwykła pieśń, to prawie modlitwa, śpiewana jest również w cerkwiach..., Mnohaja lita, bo ten naród jakby zmarłychwstał, śpiewał i płakał. Tak śpiewali tam u siebie w łemkowskich chatach na swojej ziemi z tą różnicą, że tam nad nimi, na ścianach wisało pełno obrazów - ikon z różnymi świętymi..., jakże bardzo chciało się płakać przy tym śpiewie a w zadumie powiedzieć całemu światu - że „na dzień popiołów został gwiazdzisty diament”. Nareszcie próbujemy się odnaleźć i odnajdujemy. Tu na tym weselu był

czas i na toasty, i na przemówienia. Tak było już wszędzie na zachodzie na wszystkich weselach u florynczan, gdziekolwiek się znajdowali. Jakże wspaniali są ci ludzie. Jakże wspaniali są ci florynczanie.

Rozdział III Florynczanie

Okrzepli trochę torzymscy Łemkowie. Pracowali, gdzie się dało, a pracy było mnóstwo, to w tartaku na 2 zmiany, gdzie brygadystą był pan Klimiuk, a potem sędziwy pan Dobrowolski o bardzo krzaczastych brwiach, to w nadleśnictwie przy wyrębie i zwózce drewna, to przy odgruzowywaniu miasteczka i wybieraniu cegły z ruin, którą ładowano na wagony i stano na odbudowę stolicy. Pracowity to naród aż do przesady, zawzięty na robotę. Np. taki gospodarz jak Włodzimierz Zwoliński, który przywiózł sobie na zachód parę dorodnych wołów, obok prowadzenia gospodarstwa jeździł tymi wołami do lasu na zrywkę drzewa i woził to drzewo (wołami i starym swoim wozem) do tartaku w Torzymiu. Nawet nie bardzo tu pasuje słowo - jeździł - raczej chodził razem z tymi wołami. Mieszka do dzisiaj w Torzymiu jako ostatni gospodarz - już wzorowy gospodarz - pamiętający rok 1939, lata PRL-u jak i obecną Rzeczpospolitą, która zabezpiecza mu emeryturę w wysokości 460 000 zł (Signum temporis).

Dorastała młodzież. Było nas - młodych ludzi - coraz więcej. Kiedy zebraliśmy się w niedzielę albo wieczorem po pracy u kogoś, było nas nieraz 18 i więcej osób. To ta młodzież łemkowska prowadziła prym w Torzymiu. To właśnie tu w Torzymiu było centrum łemkowskie powiatów: sulęcińskiego, świebodzińskiego, nawet częściowo gorzowskiego.

Str.162

Z czasem Torzym stawał się dla nas za ciasny. Coraz więcej młodzieży uciekało do szkół średnich, do pracy w Zielonej Górze. Do Torzymia przystano na stałe księdza prawosławnego. Był nim (nie żyjący już) śp. Mikołaj Poliszczuk. Miał około 30 lat, pięknie śpiewał. Postawił parafię na nogi po swojemu. Bardzo ludzki był to człowiek, wiele wieczorów przedyskutowaliśmy na ławce przy domu Fecia Serafina albo Władka Kochana w gronie kilku, czasem i kilkunastu osób - Łemków z Torzymia. Było miejsce na poważne rozważania, politykę i żarty. Pracowałem wówczas (lato 1950 rok) jako gminny sekretarz Związku Samopomocy Chłopskiej w Torzymiu. Moje wykształcenie uważano za małą maturę. Byłem już pierwszym łemkowskim urzędnikiem. Przewodziłem też gminnej organizacji młodzieżowej. Bez naszej młodzieży nie odbyła się żadna torzymska zabawa. Bez naszej młodzieży nie istniałby hufiec SP (Służby Polsce), bez naszych Łemków w Torzymiu nie istniałby w tym czasie tartak. Tak to florynczanie.

Z naszymi Łemkami z pozostałych transportów utrzymywaliśmy łączność na bieżąco. Jeździliśmy na wesela do Lipin do Michałowa, jak i do Stanów. To, co obserwowałem już wtedy - było dla mnie bardzo pocieszające. Wszędzie, gdzie tylko byli, żyli florynczanie, od razu zbierało się wokół nich dużo Łemków. Takie centrum było w Torzymiu, a zaczęło się od florynczan, takie drugie centrum utworzyło się w

Przemkowie oraz trzecie w Michałowie. Na tej przestrzeni terytorialnej od powiatu gorzowskiego przez Sulęcín, Międzyrzecz, Strzelce Krajeńskie, Skwierzynę, Świebodzin, Zieloną Górę, Nową Sól, Kożuchów, Głogów, Szprotawę, Legnicę i dalej aż po Wołów i Ścinawę, osiedleni byli, raczej rozproszeni byli Łemkowie, wysiedleni z kilkudziesięciu wsi łemkowskich. Żyło nas tu kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Bardzo ważną rolę odgrywały tu te właśnie centra, jak Torzym, Przemków, Michałów. Znaczącą rolę odgrywała również Zimna Woda. Potwierdzi się to za kilka lat, kiedy centrum organizacyjne Łemków przeniesie się do Zielonej Góry.

Jacy byli ci Łemkowie na zachodzie? A zwłaszcza florynczanie, dlaczego nie dali się „zahukać”? Otóż wbrew temu, co pisali nieraz różni kronikarze, może i pisarze, Łemkowie nie byli żadnym zacofanym narodem. Można to określić na przykładzie samych florynczan, w naszym przypadku nawet na przykładzie florynczan z Torzymia. Np. Wasyl Habura, bardzo znany gospodarz, tam we Florynce, na Derszkowi, wysoka postać z wąsami. Syn jego, Jarosław, był w Niemczech na robotach, potem

Str.163

w ruskiej armii, był na froncie, przeżył, wrócił. Wasyl Habura miał w domu kilkoro dorosłej młodzieży, Tyliszczak ze Złockiego, znany tam w Złockim jako młynarz, bo oprócz dużego gospodarstwa miał swój młyn. Bardzo stateczna postać, często przyglądałem się Jego poważnej twarzy, z uwagą słuchałem wypowiedzi. Wszystkie Jego dzieci to prawie wielkoludy: Wanio, Seman, Anna, Wasyl, Mikołaj, wysocy, dobrze zbudowani - piękna młodzież. Stefan Merena z Florynki, tam w swojej wsi jako komendant Straży Pożarnej w swoim mundurze wyglądał jak generał, wiele razy na powiatowych zawodach strażackich zdobywał ze swoimi strażakami pierwsze miejsce. Andrzej Zwoliński - podoficer podhalańczyk, wysoki, przystojny mężczyzna, za którym po powrocie z wojska przyjechała bryczką do Florynki jakaś hrabianka spod Żywca, Antoni Habura, znany gospodarz z Łanu, Koścío Serafin i Wanio Pecuch mieszkający w Porzadle, wielu innych: Maksymczaki, Smalce, Wilczacy, Mereny. Trzymali się florynczanie razem, a wokół nich skupiało się dużo rodzin łemkowskich z innych wsi, mieszkających wokół Torzymia.

Tak jak młodzież, starsi prowadzili długie rozmowy najczęściej po Służbie Bożej, przy cerkiewce na cmentarzu. Spotykali się również i w domach, dlatego że prawie w każdą niedzielę, kiedy było nabożeństwo, byli ludzie spoza Torzymia, byli oni gośćmi różnych rodzin. Wszyscy chcieli ze sobą porozmawiać, więc rozmawiali albo u Haburów, albo u Mereny, albo znów u kogo innego. Florynczanie w Torzymiu nie dali sobie narzucić od samego początku, czego władza bardzo pragnęła, tego właśnie „przezywania” - Ukraińcy z akcji „W”. Jeżeli na nas tak mówiono - to śmiałyśmy się mu prosto w nos - ktoś cię tu ogłupia - my nie Ukraińcy - my Łemkowie - a o akcji „W”, wiemy tyle, co i ty. W taki sposób florynczanie w Torzymiu wyprostowali i władze, i ludzi, swoich sąsiadów - aż w życiu codziennym zanikło słowo Ukrainiec. To właśnie odwaga i czyste sumienie, na pewno własny honor pozwoliły zachować własną godność. Wypada w tym miejscu, kiedy mówimy o florynczanach - wrócić do łemkowszczyzny.

Naród nasz - Łemkowie - nie był ani zacofany, ani jak na przedwojenne czasy źle wykształcony. W wielu wsiach były szkoły podstawowe, w wielu wsiach były czytelnie, a jeżeli szkoły i czytelnie, to ktoś to musiał prowadzić, były dzieci nauczycieli, księża prawosławnych, byli ludzie, co prowadzili sklepy, były leśnictwa, były wreszcie i ośrodki miejskie, jak Krynica, Gorlice, gdzie dużo młodzieży pracowało, było też sporo ludzi,

Str.164

którzy po kilka lat „odbyli staż” na robotach w Ameryce. Były też inne czynniki, które miały wpływ na to „cywilizowanie” się Łemków, przecież nie była to niedostępna puszcza.

Dla samej Florynki czynnikiem takim było jej położenie na szlaku bardzo ważnych arterii. Jest to dolina rzeki Mostyszy, na której wzdłuż od Krynicy do Grybowa (główna wtedy droga Krynica - Nowy Sącz) położone są wsie: Berest, Polany, obok Kamiana, Perunka, dalej Florynka, a tu we Florynce druga główna droga do Izb i aż na Słowację. Mieli więc Łemkowie dobry kontakt ze światem. Tak było na całej Łemkowszczyźnie z tą oświatą. Znane są takie centra, jak Uście, Łosie, Bortne, Gładyszów i wiele innych wielkich wsi łemkowskich z dobrze prosperującą oświatą.

Znaczny odsetek Łemków przed wojną nie było analfabetami. W szkołach uczono też języka łemkowskiego. Mieli Łemkowie już i wykształconą przed wojną swoją inteligencję. Byli to ci z gimnazjum w Gorlicach, jak ci, którzy ukończyli uniwersytet w Pradze czy też polskie Uczelnie (na Uniwersytecie Praskim w 1922 roku studiowało 18 studentów - Łemków z różnych wsi, podaję to na podstawie artykułu p. Horlyckij Bursak (Gorlickie Seminarium}, zamieszczonego w kalendarzu „Łemko Sojuza” (Związek Łemków) z 1957 roku) Temat ten wart jest osobnych rozważań naukowych. Tej właśnie inteligencji łemkowskiej bali się władcy Austro-Węgrów, na ich kredo polityczne bardzo uważnie patrzyli Polacy, bardzo nie pasowali Ruchowi Proukraińskiemu. Mieli też Łemkowie dużo talentów samorodnych: w muzyce, śpiewie, rzeźbie, malarstwie, budownictwie, mieli swoich wybitnych ludowych artystów, kowali, cieśli, tkaczy i wielu innych zawodów.

To poczucie honoru i dumy mieli florynczanie nie tylko w Torzymiu. Tu w Torzymiu ujawniło się to samo, na samym początku. Tu odezwała się potrzeba bycia razem, ze sobą, bycia sobą, ze swoimi, bo inaczej serce pęknie. Była to ta straszna potrzeba „gadania ze sobą”, bo komuś trzeba było się wyżalić - komu, jak nie swoim? Jakże zagadkowi, nieodgadnieni są ci Łemkowie, jakże nie znana jest ich psychika, jakże wspaniali ze swoją towarzyską szczerością. Można florynczanom przypisać jeszcze jedną dodatkową cechę - umiejętność organizowania się. Ta cecha pozostała w genach po dziadkach i ojczym. Pozostała od tego czasu, kiedy właśnie tam we Florynce, w lecie 1918 roku organizowali wielkie wiece w ogrodach plebanii wokół starej greckokatolickiej Cerkwi. Tam zbierało się kilkuset delegatów z Zachodniej Łemkowszczyzny, aby próbować

Str.165

znaleźć miejsce dla narodu łemkowskiego. Tu, we Floryncie została powołana Rуска Łemkowska Rada Narodowa Łemków. To w wyniku tych wieców powstał Rząd Łemkowski w grudniu 1918 roku, który przetrwał prawie 2 lata. To stąd z Florynki poszedł przykład na całe łemkowskie góry aż na drugą stronę Karpat, do Łemków na Słowacji. Przystawie mówi, że „pragnienia ojców odżywają w genach wnuków”, może jeszcze kiedyś utworzymy Narodową Radę Łemków już w trzeciej Rzeczypospolitej? Nie będę już wspominał o florynczanach-rewolucjonistach, co z Leninem rozmawiali, tacy też byli. To opisałem osobno.

Nie mogłem nie poświęcić parę strof samym florynczanom. Jakże oni rozsiani są dzisiaj po całym świecie, jakże rozproszeni. Jak wiele należy im zawdzięczać, gdziekolwiek są tu na Ziemiach Zachodnich, za ich odwagę w tamtych latach 1947-1949, za ich mądrość i niepozwolenie na wdeptanie ich w ziemię, zniszczenie, wynarodowienie. Ich postawa, a zwłaszcza to nasze - My, Łemkowie - gdziekolwiek byli i są do dzisiaj dała owoce, przyniosła efekty, jakich się nawet sami nie spodziewali.

Rozdział IV

Nowy rozdział

W roku 1950, w lecie, za namową prawosławnego księdza złożyłem podanie o przyjęcie mnie do Teologicznego Seminarium w Warszawie. Zostałem przyjęty. Dowiedziało się o tym UB. Od razu wyrzucili mnie z Plenum Powiatowego ZMP w Sulęcynie z organizacji gminnej i po krótkim czasie, bo w listopadzie z hukiem wcielili do wojska karnego. Był to V Batalion Budowlany. Zebrano nas w RKU (Rejonowa Komenda Uzupelnień) w Sulęcynie. Tu spotkałem od razu dużo naszych chłopców - Łemków. Był tam Szpytko, Rystweij, Spiak, Kobelak. Wiedzieliśmy już, że jest to pierwsza kara władzy w tą młodzież, która już tu na zachodzie trochę okrzepła, to są ci, którzy jeździli rowerami i szukali się po okolicach. Tu w Sulęcynie nabierano nas w sumie około 100 chłopców, również Polaków, i zawieziono pociągami aż do Jarosławia w Rzeszowskim, tak aby żaden nie mógł być blisko rodziny i swoich środowisk łemkowskich.

Ten okres od listopada 1950 do marca 1953 jest wielką przygodą, którą opowiem innym razem. Co jest godne podkreślenia to to, że znów jako

Str.166

Łemkowie, w absolutnej tajemnicy, trzymaliśmy się razem. Wspomnę tylko o tym, że po niedługim czasie rekruckim zostałem podoficerem, potem szefem kancelarii, uczyłem polityki w kompaniach, byłem dowódcą grupy budowlanej (150 osób), budowałem piekarnie wojskowe, magazyny amunicji, więzienia, siedziałem w areszcie, nosiłem nielegalnie pistolet, byłem postrzelony, miałem w kompanii samych podejrzanych (niepewni politycznie) chłopców z AK, synków kapitalistów, kułaków z poznańskiego i podejrzanych Polako-Niemców ze Śląska. Poznałem kawałek kraju,

od Jarostawia przez Biskupiec Reszelski (tu był nasz sztab V BB, 5000 ludzi), Lidzbark Warmiński, Warszawa, budowałem tu z moimi ludźmi lotniska, Czerwony Bór, Zambrów i tak przez ponad 2 lata. Do domu wracałem 6 dni, z uciechy wygranej, a nie przegranej.

1953 rok - koniec marca - wiosna, znowu jestem w Torzymiu. Brat mój ma już ładne gospodarstwo, 2 konie, gospodaruje osobno też mój ojciec. W Torzymiu wśród naszych Łemków trochę się przeredziło. Dużo młodzieży w szkołach, trochę się pożeniło, trochę wyjechało. Torzym trochę lepiej zasiedlony. Rośnie już i nowe pokolenie dzieci tu urodzonych. Pokolenie moich ojców traci nadzieję na powrót „do domu”, zaczynają chorować. Wciąż jednak orzą tę ziemię, lecz nie widać u nich jakiejś radości. To jest jednak ta łemkowska choroba - tęsknota za swoim. Ta ziemia im nie pachnie, ta ziemia jest jakaś zimna, orze się ją pługiem żelaznym, bez „czereśta”, bez kolaski, sieje się siewnikiem, a nie ręcznie, z płachty, niby lepiej, ale nie to samo. Tu nie ma szacunku dla ziemi, dla ziarna, szacunku takiego, jaki dla ziemi i ziarna w swojej psychice mieli Łemkowie - nasi ojcowie.

Trochę pomagam w gospodarstwie, trochę obserwuję naszych ludzi, co się za dwa lata zmieniło. Zaczynam oglądać się za pracą. Przyjechali z UB z Sulęcina, proponują pracę - nie, to nie dla mnie - za dużo skrzywdziliście mnie. Przyjechali z UB z Zielonej Góry - proponują pracę - odmówiłem. Znalazłem pracę w Sulęcinie. Zgadza się na codzienny dojazd autobusem. Muszę być z naszą młodzieżą w Torzymiu. Teraz spotykamy się już na dyskusjach bardziej dojrzałych.

Częste rozmowy wieczorami na ławce koło domu Kochana w gronie kilku swoich chłopców: Fećko Serafin, Władek Kochan, Mikołaj Tyliszczak, Wanio Wilczacki, Jarostaw Habura, a czasem i Jarek Merena, rozszerzały nasz horyzont myślenia, potęgowały własne ambicje i naszą spójność. Często zadawaliśmy sami sobie pytanie - dlaczego nic o nas nie

Str.167

napiszą w gazetach, gdzie przeczytaliśmy słowo - Łemkowie. W czerwcu 1953 roku minie 6 lat, jak już jesteśmy na Zachodzie.

Mamy już swoich nauczycieli - Łemków - uczących w polskich szkołach, mamy coraz więcej naszych urzędników, jest coraz więcej młodzieży łemkowskiej na uczelniach. Ja mogę już kontrolować władzę Gminnej Spółdzielni i wszystkie sklepy jako inspektor powiatowy inspekcji handlu. Pewnego dnia prezes GS-u, p. Łysakowski, powie do mojego brata: „Wyrośliście na ludzi” - odpowiedź brata: „Byliśmy nimi od początku, tylko nie chcieliście nas zauważyć”.

W młodzieży łemkowskiej narastał pomatu jakiś wewnętrzny niepokój, trudno to nazwać buntem. Łemkowie chcieli udowodnić władzy, że nie mają nic wspólnego z ukraińskim nacjonalizmem, z akcją „W” i że bezprawnie ich wygnano z domów. Bardzo uważnie obserwowała to władza, bardzo nam się przyglądało i przysłuchiwało UB. Teraz już w rozmowach z każdą władzą i na każdym wiejskim czy

gminnym zebraniu ciągle wytykamy, dlaczego nam odebrano nasze ziemie i gospodarstwa. Tak było już wszędzie na Zachodzie, gdzie tylko byli Łemkowie, zarówno w poznańskim, jak we wrocławskim województwie. Torzym należał już do województwa zielonogórskiego, gdzie żyła prawie połowa wysiedlonych Łemków. Mamy tutaj swoją parafię, mamy księdza, ale mamy też już i swoje pomniki nagrobne na „swoim” cmentarzu z trzymiennymi krzyżami. Istniejemy, jesteśmy, nie na swoim, nie u siebie, dla naszych pokoleń. W końcu 1953 roku było już na cmentarzu w Torzymiu 12 mogił łemkowskich. Na nowych terenach, na obcej ziemi zakładamy już swoją „kolonię” - kolonię tych, którzy odeszli i pozostaną tu na wieki, a może tylko do czasu, aż ktoś zniszczy ich krzyże nagrobne i zaorze mogiły, tak jak stało się z cmentarzem dawnych tubylców? Historia lubi się powtarzać. Wiemy również, że są kłopoty z chowaniem Łemków i na innych łacińskich cmentarzach. W ługach Górzyczych katolicki ksiądz namawiał swoich wiernych do bójki z prawosławnymi wiozącymi nieboszczyka na cmentarz. Taka postawa kleru polskiego i wielu urzędników stwarzała bardzo uciążliwy klimat dla Łemków, co z kolei zmuszało Łemków do jakiejś samoobrony i skupiało wokół swego kręgu, bo „kupą” łatwiej się bronić. Już o tym wspominałem, ale ten właśnie czynnik - uważanie Łemków za wysiedleńców z powodu UPA, takie właśnie nastawianie społeczności polskiej, realizowanie takiej polityki przez władze UB i KC - zadziałał zupełnie odwrotnie.

Str.168

Wszystkie te szykany społeczność łemkowska odrzuciła, a ten rygor pozwolił Łemkom na przetrwanie we własnych grupach, a jeżeli już tylko we własnych grupach, to i zachowanie wszystkiego co nasze łemkowskie: śpiewu, obyczaju, mowy, przekazywanie dzieciom wszystkiego tego, co z dawnych lat zapamiętali rodzice i dziadkowie.

Jest już 1954 rok. Największe skupisko łemkowskie utworzyło się w Przemkowie. Tu i cerkiew duża i piękna, i prawie we wszystkich wsiach powiatu szprotawskiego żyją Łemkowie, dużo rodzin z Florynki. Są Łemkowie w Piotrowicach, Lesznie Górnym, Krepie, Szprotawie, dalej w Przecławiu, Gaworzycach, tu stawiszanie, tam blichnarczanie, a to Brunar z Rozdziela i innych łemkowskich wsi.

Rozpocząłem pracę w Szprotawie. Miałem tu ogromne pole do działania ze względu, że mogłem dojechać na kontrolę do sklepu do każdej wsi i miasteczka. I znowu rozmowy, tu Serafin Wanio, tu Worhacz Jarosław, tu Dubec, tam moi szkolni koledzy i najbliższy sąsiad z Florynki Polikar Maksymczak. Wszyscy mówią - dlaczego nic nie robicie - dlaczego nie krzyczycie o powrotach Łemków na swoje ziemie. Tymczasem władze państwowe zaczynają coś robić, coś myśleć wobec ludzi z akcji „W”. Aż wymyślili - jeżeli Łemkowie - jako przesiedleńcy z akcji „W” organizują się, dyskutują we własnych środowiskach i nie ma możliwości rozpoznania, co się dzieje - trzeba to wszystko ujawnić i pozwolić im robić zebrania jawnie, ale będzie to już pod naszym nadzorem - nadzorem UB. Napór Łemków był coraz większy, silniejszy, odważniejszy. Przewodniczący Woj(ewódzkiej) Rady Narodowej we Wrocławiu, a był nim p. Ostapczuk (nie będziemy tutaj wnikać w jego narodowość), wzywał

poniektórych Łemków do siebie na rozmowy. Była to już znana nam koncepcja władz centralnych na utworzenie w Polsce jakiegoś stowarzyszenia dla Ukraińców w Polsce. Przeprowadzone przez władze rozmowy z pojedynczymi osobami miały na celu dobranie ludzi do tworzenia Komisji Oświatowych, a z czasem może i przyjęcia jakiejś bardziej zorganizowanej formy uciszenia tego hałasu przesiedleńców z akcji „W”. W tym mieli pomóc również i wytypowani przez władze Łemkowie i Ukraińcy. Władza bardzo chciała uciszyć „prowodyrów”, może chciała też poznać potrzeby i żale Łemków. Do tej pory nas tylko pilnowano.

Na tych zebraniach trzeba było władzy rozpoznać działaczy i wszystkich bardziej aktywnych ludzi, chętnych do rozmów. Wiedzieliśmy już, że utrzymanie Łemków w ryzach przesiedleńców z akcji „W”, nie pozwoli

Str.169

na żadne podskoczenie, choć władza pozwoli na wygadanie się. Mieliśmy sygnały z Warszawy „co jest grane”, wiedzieliśmy, że po tej pierwszej selekcji na zebraniach łemkowskich, władza wybierze do dalszej swojej pracy tych działaczy, którzy będą władzy odpowiadać. To zresztą nie jest nic nowego w polityce. Zasadniczym zadaniem tych Łemków czy Ukraińców miało być stawianie na zebraniach spraw odwracających uwagę od powrotów. Jest rok 1955. W łemkowskich środowiskach, tak we wrocławskim, jak i w zielonogórskim, zaczynało się mocno kottłować. Wybrani przez władze spośród Łemków działacze w woj. wrocławskim już teraz śmiało występowali jako reprezentanci (takimi się przynajmniej uważali) przesiedleńców z akcji „W”, akceptujący linię KC i UB, jako że wszyscy przesiedleńcy są Ukraińcami. Już w zeszłym roku, tj. w 1954, powołali Zarząd i utworzyli Ukraińską Komisję Kulturalno-Oświatową. Władza skierowała uwagę na pracę kulturalno-oświatową dla zajęcia się tą sprawą, a nie wykrzykiwaniem o powrotach. Takiego kierunku wiele rodzin łemkowskich nie akceptowało tak w woj. wrocławskim, jak zielonogórskim. Występowały już podziały zarówno wśród Łemków, jak i samych działaczy.

W tym samym czasie w jednej z gazet, a była nią „Karpacka Ruś”, wydawana w języku łemkowskim w USA przez dawną emigracyjną organizację łemkowską „Łemko Sojuz”, zaczęły ukazywać się obszernie artykuły o tym, co się wśród Łemków na Zachodzie dzieje. Gazeta ta przysyłana była do Polski. Wielu Łemków w Polsce dopiero z tej gazety dowiadywało się o tym, co dzieje się w środowiskach łemkowskich, ale również o tym wszystkim dowiadywały się Łemkowie w Ameryce. Były to w zasadzie krytyczne oceny poczynąń władz państwowo-partyjnych w odniesieniu do ludności łemkowskiej, za ciągłe szczucie - wy jesteście winni śmierci gen. Świerczewskiego - banderowcy z akcji „W”, a teraz za dalsze narzucanie Łemkom państwowej polityki narodowościowej. Były to artykuły ostre, bezpardonowe również w stosunku do samych działaczy łemkowskich. Jeździłem coraz częściej po wsiach, gdzie byli nasi ludzie. Wszyscy mówią - nie dajcie się wrobić w żadną politykę, tak mówili nasi ojcowie, którzy wiele rzeczy widzieli i przeżyli. Tak mówią w Torzymiu, tak samo w Przemkowie, w Piotrowicach, Lesznie, Lipinach. Gazeta „Karpacka Ruś” zamieszała również i w Warszawie. Mamy sygnały, że mogą

jej nie „wpuścić” do Polski. Tak się też stało już w niedługim czasie, ale o tym napiszę w następnej części naszej „Rapsodii”.

Str.170

Na zakończenie tej części chciałbym podzielić się jeszcze jedną osobistą refleksją, już dla małego relaksu czytającego ten opis. Otóż pewnego dnia w 1956 roku, po Bożym Narodzeniu, był to miesiąc styczeń, wezwał mnie do siebie szef UB w Szprotawie. Po drugiej stronie UB mieścił się budynek Komitetu Powiatowego PZPR, a parę budynków dalej prokuratura. Z nie ukrywanym strachem przyjąłem tę wiadomość. Po kilku zameldowaniach na portierniach wszedłem do gabinetu szefa. Właściwie nie wszedłem, tylko mnie sekretarka doprowadziła. Nie wiedziałem, o co chodzi, wiedziałem natomiast, że mam czyste ręce i sumienie. Znałem tego pana z widzenia. Chodził zawsze w wysokich butach (zwanym po łemkowsku „skirni”), rajtkach i skórzonym płaszczu, z kapeluszem na głowie. Ja natomiast chodziłem też w wysokich butach i rajtkach, w pożyczonym od Hryca Smalca w Borowieńcu płaszczu skórzonym, lecz zamiast kapelusza nosiłem czarny beret (mam takie zdjęcie do dziś). Było nas w Szprotawie tylko dwóch tak ubranych. Ażeby dokończyć ten wątek wspomnę jeszcze, że w takim stroju pojechałem na pierwszą zabawę do Wrocławia, jaką organizowało Ukraińskie Stowarzyszenie. Gospodarz zabawy, witający zaproszonych gości powitał mnie tak: „Sławku, wyglądasz jak Witos - tacy dzisiaj są potrzebni - oczywiście po łemkowsku”. Wracajmy do gabinetu szefa UB w Szprotawie. Po kilku pytaniach o pracy, szef rozpoczął zasadniczy temat. „Wiem, że jesteście Łemkiem, wiem, że spotykacie się z Łemkami, chciałbym żebyście przekazywali mnie wszystkie wiadomości, gdzie jaka krzywda dzieje (się) Ukraińcom z akcji »W«”. Powiadam: „Nie czuję się Ukraińcem”. Ale też od razu mówię: „W Przemkowie Andrzej Smalec nie może dostać lokalu na zakład szewski, a Pacan na zakład krawiecki, prezes GS-u w Przemkowie źle traktuje naszych ludzi, w Lesznie mieszkają w ruderach”. „Dziękuję, meldujcie mi o wszystkich niedociągnięciach”. Na tym skończyła się nasza rozmowa i znajomości. Nigdy więcej nie próbował mnie wzywać.

Jednak nasze następne spotkanie odbyło się w dziwacznych okolicznościach. Mieszkając na kawalerce uczyłem się języka angielskiego. Otrzymywałem dużą ilość skryptów z Łodzi. Pewnego dnia byłem na kontroli w PSS-ie w Szprotawie. Dyrektor, p. Książkiewicz, mówi do mnie: „Panie inspektorze - nasza kadrowa chciałaby z panem porozmawiać”. W tamtych czasach - w tych chyba też - kadry, to jakbyśmy nomenklaturowo powiedzieli - przedłużone ramię rządzącej partii i służb specjalnych. Wszedłem do pokoju kadrowej i aż zdębiałem. Obok kadrowej siedzi

Str.171

szef UB. Kadrowa, bardzo elegancka babka mówi: „Panie inspektorze, wiem, że uczy się pan angielskiego, chciałam pana prosić o wypożyczenie skryptów”. Spojrzałem na nią, potem na niego, a ona szybko mówi: „Zapomniałam was przedstawić, to mój mąż, a to inspektor”. Odetchnąłem, coś zażartowałem o tym angielskim i obiecałem przynieść skrypty. Prawdopodobnie chciano sprawdzić, czy ten mój angielski i te

skrypty to nie jest jakaś szpiegowska robota. Po kilku dniach skrypty przyniosłem. Podobała mi się ta kobieta. Te skrypty przynosiłem jeszcze wiele razy. Zostały one do dzisiaj u kadrowej w Szprotawie. Nigdy więcej nie spotkałem jej męża. Koniec osobistych refleksji. Wracamy do spraw łemkowskich.

W 1956 roku zarysował się wyraźny podział wśród łemków. Jedni przyjęli kurs państwowy, tj. praca kulturalno-oświatowa - Ukraińcy z akcji „W”, inni takiego kierunku nie przyjęli i dalej domagali się powrotów na swoje ziemie. Ktoś podrzucił tym łemkom, niby Ukraińcom, a może i czuli się nimi i czują się do dzisiaj, ich to sprawa - słowo separatyzm. Właściwie nie było od kogo się separować, bo całą tę robotę wszędzie prowadzili łemkowie. Tak już będzie przez wiele lat wśród samych łemków, działacze na górze uważają się za Ukraińców, ludzie na dole za łemków. W 1956 roku kończy się i moja praca w Szprotawie. Przeniesiono mnie do jednostki wojewódzkiej, tu mam jeszcze większe pole do działania, tu spotykam znaczną ilość inteligencji łemkowskiej. Od tego czasu zaczyna się już ostra polityczna działalność.

O tym opowiemy w III części wspomnień. Koniec części II.

Kończąc część II chcę przeprosić wszystkich tych, którzy będą moje opowiadania czytać za szereg błędów, za styl, za niepoprawność języka, piszę bowiem bez sporządzania brudnopisów. Wybaczcie. Jednocześnie wyjaśniam: całość pracy składa się z trzech części - pod jednym wspólnym tytułem Rapsodia dla łemków, cz. I to temat: Moja wieś Florynka lata 1939-1947 - łącznie z wysiedleniem, część II - to dzisiejsza strona tytułowa oraz cz. III będzie nosiła nazwę Ruch łemkowski na Ziemiach Zachodnich w latach 1956-1959 (środowisko zielonogórskie).

Str. 172

Spis treści

Słowo wstępne 5

WOJCIECH SITEK, Strategie mniejszości w warunkach zagrożenia 9

Pamiętniki

LUBOMIRA BIŃCZAROWSKA-CIOŁKA, Problemy łemków po II wojnie światowej. Niektóre wybrane zagadnienia - formą wspomnień 27

ROMAN CHOMIAK, (Wspomnienia) 34

Dziennik księdza, przeł. Albin Pietras 53

JANINA KISIELEWICZ, (Wspomnienia) 92

TEODOZJA KOLICZKO, Akcja wysiedleńcza łemków 97

SEMAN MADZELAN, Spowiedź z nie popełnionych grzechów 99

JAN PAWEŁCZAK, Wspomnienia moje o tragedii mego narodu 116

MICHAŁ SKIRPAN, (Wspomnienia) 123

ANDRZEJ SOKACZ, (Wspomnienia) 132

NADIA WISŁOCKA, (Wspomnienia) 137

JAROSŁAW ZWOLIŃSKI, Rapsodia dla Łemków. Część II 143

Str.173